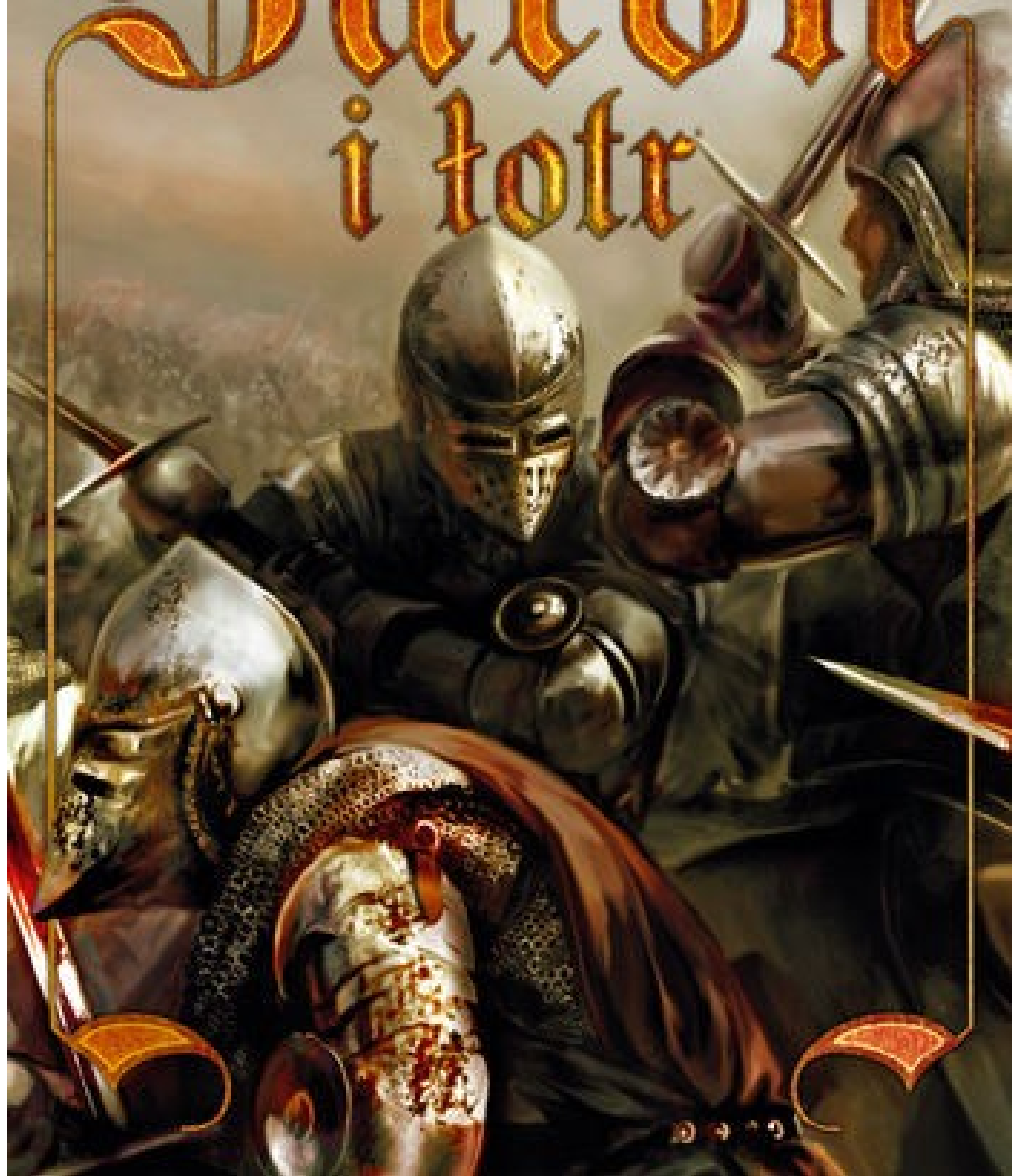


✠ KAMIL GRUCA *vel*  
*sir* ROBERT NEVILLE ✠

# Baron i tott



2019

**Baron i lotr**

**Kamil Gruca vel sir Robert Neville**

**Wydawnictwo Znak**

## Rozdział 1

Ostatnie wierzchowce orszaku wjechały na polanę. Pan Ysambart d'Azincourt nie zwracał już jednak uwagi na swoich ludzi. Większość z nich zdążyła zresztą odjechać ze skradzionymi końmi w stronę zamku. Rycerz skupił wzrok i myśli na obładowanym łupem wozie. Z twarzy bił mu rumieniec zmęczenia i ekscytacji. Nie potrafił jeszcze do końca uwierzyć, że karkołomny plan przyniósł zamierzony skutek.

– Sprawdźmy? - zagadnął, obracając konia, Robinet de Bournonville. Kilkudziesięciu zbrojnych spoglądało wyczekująco na obu rycerzy.

– Zajrzyjmy, czemuż by nie... - odrzekł Ysambart, a jego słowom towarzyszył pomruk ogólnego ukontentowania.

Dwóch serjeantów zeskoczyło zwinnie z koni i podeszło do wozu. Woźnica ubrany w brygandyne i bigwanty pomógł im otworzyć wieko kufra leżącego na wierzchu sterty przedmiotów. Kamienie szlachetne błysnęły im w oczy, a na spocone oblicza mimowolnie wypłynęły szerokie uśmiechy.

– No! Tośmy się, panowie, obłowili. Niech mi własne psy gończe narobią w buty, jeśli nie patrzę właśnie na ceremonialny miecz króla Anglii! - zakrzyknął radośnie Ysambart.

W tej samej chwili usłyszał zgrzyt blachy. De Bournonville trzymał mu rękę na naramienniku. Pan Azincourt sądził w pierwszej chwili, że kompan chce po prostu precyzyjnie się do wozu i zerknąć na łupy, ale Robinet miał głowę zwróconą gdzie indziej. Patrzył w kierunku leśnej ścieżki, którą uciekali spod angielskiego taboru. Pozostali też zerknęli z niepokojem w tamtą stronę, sądząc, że król zdołał mimo trwania zaciętej walki zorganizować pościg. Po chwili na polanę wpadło kilkunastu ciężkozbrojnych jeźdźców. Zabłyszczały wyśmienite białe zbroje. Załopotwały kropierze i tabardy. Zebrani na polanie chwycili bez przekonania za rękojeści mieczów i drzewce toporów. Podejrzewali, że mają do czynienia ze swoimi, jako że nie natknęli się na komych Anglików w czasie bitwy. Zdawali sobie sprawę z tego, że ich zbójcecki proceder mógł nie przypaść do gustu wielkim panom. Ostatecznie, choć posiadali liczebną przewagę, ludzie Ysambarda byli znacznie lżej uzbrojeni niż nadjeżdżający. Wszystko to sprawiło, że wesoła atmosfera panująca na polanie ulotniła się w mgnieniu oka.

Ciężkozbrojni rozluźnili szyk i podjechali stępa. Z chrap i boków olbrzymich destrierów były kłęby pary. Wspaniale lśniące z oddali pancerze przy bliższych oględzinach traciły na okazałości. W wielu miejscach widniały wgniecenia i rozcięcia, jak również ślady krwi. Wystające spod uniesionych zasłon oblicza raziły bladością, znać było na nich zmęczenie. Podarte, zabłocone tabardy i kropierze dopełniały obrazu klęski. Oddział prowadził Clignet de Brabant. Strzemię w strzemię ze słynnym wojownikiem jechał giermek oparty odsłoniętą głową o naramiennik swojego pana. Krew z rozciętego czoła zalewała mu oczy i spływała po lewym naręczaku podtrzymującego go rycerza.

– Witajcie, panie, czyż może to być, że to wy w tak skąpej eskorcie i... - przemówił, wychodząc na czoło własnego

orszaku, Ysambart, ale nie dane mu było skończyć.

– Stul pysk, głupcze!

Nietrudno było wnieść, jaki skutek przyniesie takie powitanie. Czerwone plamy zrazu wystąpiły na twarz pana d'Azincourta.

– Co!? Jakim prawem... - zaryczał.

Tymczasem Clignet de Brabant ułożył ostrożnie krwawiącego giermka na szyi jego własnego wierzchowca i niespiesznie podjechał do Ysambarta.

– Stul pysk i nie mów mi o prawach. Jestem w prawie położyć cię tutaj trupem za to, coś uczynił!

Na te słowa pan Azincourt nie wytrzymał. Wiedział, że nakradł, ale w pewien trudny do rozsądnego wytłumaczenia sposób wiedział też, że nie wolno go bezczelnie obrażać kilkaset metrów od jego domu. Wydobył wprawnie miecz i natarł na stojącego przed nim ciężkozbrojnego. Zanim jednak koń d'Azincourta przebył niewielki dystans dzielący go od przeciwnika, w ręce de Brabanta również błysnęło ostrze. Następnie ogromny bojowy rumak rycerza dał susa przed siebie, jakby wetknięto mu w zad dzidę. Nabral przy tym takiego przyspieszenia, że obserwatorom zdawało się, iż to nie panowie nacierają na siebie wzajemnie, ale że to jedynie de Brabant wpadł na nieruchomego Ysambarta. Uderzony piersią nacierającego destriera wierzchowiec d'Azincourta przysiadł na zadzie, z trudem łapiąc równowagę. Jeździec wypadł z siodła, a jego przygotowana do cięcia broń załopotala jak liść na wietrze. De Bournonville nawet nie drgnął, patrząc, jak jego towarzysz leci z krzykiem pod kopyta własnego konia. Pozostali zbrojni gorliwie brali z niego przykład i w milczeniu obserwowali porażkę seniora. Tymczasem kilkunastu ciężkozbrojnych spoglądało na nieruchomych serjeantów wyzywająco i prawdopodobnie właśnie to bardziej powstrzymywało przed interwencją ludzi Ysambarta niż chęć zadośćuczynienia zasadom rządzącym pojedynczą walką możliwych.

Pan Clignet kopnął chwiejnie unoszącego się z ziemi Ysambarta stalowym trzewikiem prosto w wystającą spod odsloniętej zasłony żuchwę. D'Azincourt wrzasnął, wypuścił broń i pochwycił obiema dłońmi okaleczoną twarz. Pan z Brabantu niespiesznie schował miecz do okutej posrebrzaną stalą pochwy i podjechał do wyjącego z bólu przeciwnika. D'Azincourt odjął wreszcie ręce od twarzy i wyprostował się z trudem. Clignet naparł na niego rumakiem. Brzęknęło, a odbity od ladrów mężczyzna poleciał na ziemię. Pan z Brabantu spojrział pogardliwie na leżącego. Kiedy już nacieszył się tym widokiem, przemówił głośno, powoli cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

– Powiniennem cię rozdeptać jak nędznego robaka, Ysambardzie, jako że tego właśnie jesteś wart! Okradłeś króla Anglii, podstępnie atakując tabor w trakcie bitwy!

– Ależ wziąłem jedynie łup, który wyrwałem obrońcom taboru! - krzyknął nieco niewyraźnie d'Azincourt, plując krwią z rozbitych ust.

– Milcz, ścierwo! Przez twoją nędzną napaść Anglicy pomyśleli, że chcemy ich okrążyć. Henryk z obawy przed tym

kazał stracić jeńców! Na te słowa Ysambart zbladł.

– Nie myślałem...

– Otóż to, głupcze! Nie myślałeś, a teraz bacz uważnie, byś pojął właściwie, co mam ci do powiedzenia. Mam ze sobą trzech rannych, z którymi nijak mi stąd uchodzić. Wezmiesz ich do swojej twierdzy, dasz schronienie i będziesz doglądał lepiej niż własnych pacholąt!

– Ale...

– Milcz, bo na świętego Denisa, nie ręczę za siebie! Masz ich pielęgnować aż do pełnego wyzdrowienia!

Zrozumiałeś?

– Tak...

– Daj słowo przy wszystkich, że będziesz czuwał nad moimi ludźmi.

– Daję słowo - odparł z rezygnacją d'Azincourt.

Pan Clignet ściągnął wodze w bok i przerzucił spojrzenie na stojących przed nim zbrojnych.

– Wasz pan jest osłem i nędznym rzezimieszkiem! Jeśli którykolwiek z was odstąpi od niego w tej chwili, to ma mój parol, że włączę go do własnego pocztu i przyjmę na służbę.

Serjeanci spojrzeli po sobie niepewnie, zerkali też na podnoszącego się niemrawo d'Azincourta i przemawiającego do nich rycerza. Kilku popędziło konie i stanęło po przeciwnej stronie polany.

– A cóż to? Cóż tam robicie, panie de Bournonville? Stoicie tak bez ruchu, pomyślałby kto, że to posąg... - zdziwił się de Brabant. Robinet de Bournonville drgnął lekko wyraźnie zasmucony, że nie udało mu się po cichu wkomponować w otaczającą polanę sosny.

– Witajcie, panie! Walczyłem razem z obecnym tu panem Ysambartem na naszym prawym skrzydle, gdzie mi wyznaczono miejsce - sumitował się mało stanowczo młody rycerz.

– Wstyd to dla was i dla waszego rodu, żeście się z takim człowiekiem zadali. Radzę wam, póki jeszcze można, wycofać się z tego łajna, w któreście wjechali tak głęboko w tej marnej kompanii. Ani to dla was estyma, ani zysk. Dlaczego nie to pierwsze, chyba sami snadnie pojmujecie. A zysk żaden, bo tego, coście ukradli, nikomu w tym królestwie bez nadstawiania karku nie odsprzedacie.

Po tych słowach kilku kolejnych zbrojnych odłączyło od dawnego pocztu. Pan Bournonville stał jednak dalej na swoim miejscu.

– Zobaczmy, jak będzie, ale dziękuję wam za radę, panie.

Clignet de Brabant wrzucił jedynie obleczonymi stałą ramionami. Popatrzył jeszcze w milczeniu, jak jego trzech rannych trafia pod opiekę ludzi d'Azincourta, po czym nakazał odwrót.

Około czwartej po południu było już po wszystkim. Ostatnie rozproszone grupki broniących się Francuzów zostały wycięte lub wystrzelane przez harcujących po polu bitewnym zwycięskich Anglików. Trzecia fala uderzeniowa konnych odjechała, widząc porażkę dwóch pierwszych batalii. Niewielki oddział ciężkozbrojnych, którzy nie chcieli przystać na ucieczkę, przypuścił jeszcze jedną szarżę. Jedynym efektem było zwiększenie liczby poległych po stronie przegranych. Przechadzający się między trupami łucznicy dorzynali ciężko rannych i tych, za których nie dostaliby znacznego wykupu. Zadanie wykonywali w niewielkich grupach, metodycznie i sumiennie, mimo ogromnego zmęczenia wielodniowym marszem i wysiłkiem bitewnym. Nie dręczyło ich sumienie. Wychodzili z założenia, że skoro Bóg dał ich wrogom tak nieoczekiwaną klęskę, pewnie stało się to za sprawą owych nieprzyjaciół ogromnej grzeszności. Przekonanie to wsparła przemowa króla, który przecież wyraźnie powiedział, że zwyciężył nie dzięki własnej sile, lecz jedynie dzięki boskiej przychylności. Wszystko było więc jasne, a liczba rannych malała szybko.

Sir Tomasz Chaucer miał pełne ręce roboty. Po pierwsze: nadzorował własnych ludzi, by - wbrew zaleceniom monarchy - nie zebrali więcej łupów, niż są w stanie unieść. Po drugie: usiłował na gwałt znaleźć jakiś wóz, na którym mógłby transportować zdobyte dobra. Jego tabor został uprowadzony w czasie bitwy. W wyniku łupieżczego ataku pana Ysambarta d'Azincourta na tyły angielskich wojsk zginął nie tylko ceremonialny miecz króla, ale też znaczna część koni i wozów. Sir Ralf z kolei początkowo myślał jedynie o tym, by w bezpiecznym miejscu zostawić rannego, nieprzytomnego syna. Giermek pana Moorowa mimo własnych obrażeń rozstawił jeden z namiotów i przygotował posłanie, na którym natychmiast położono sir Roberta. Do tego czasu baron Pitchfork sprowadził obeznanego z medycyną kapelana. Dopiero gdy młody Neville trafił pod opiekę uczonego, pan Moorow przypomniał sobie, że warto byłoby zatroszczyć się o własny łup. Wziął więc ze sobą będącego u kresu sił Guillaume'a oraz dwóch woźniców, którzy jakimś cudem przetrwali atak d'Azincourta, i nakazał im wypakować wozy znalezionymi na polobojowisku sprzętami. Jako doświadczony rycerz zaznaczył też od razu, żeby nie brali rzeczy dużych, trudnych do transportu, a skupili się raczej na kosztownych drobiazgach. Instrukcja ta nie była potrzebna Guillaume'owi, który dzięki bystremu oku i zręcznym palcom potrafiłby swoimi zdolnościami doliniarskimi zawstydzić najzaciejszych paryskich kieszonkowców. Minęło sporo czasu, nim sir Ralf odnalazł w ciżbie pogrążonych w grabunku żołnierzy sir Tomasza Chaucera. Syn wielkiego poety miotał wokół komendy, jakby bitwa się jeszcze nie skończyła. Dopiero po chwili zauważył obecność kompana:

– Witaj, Ralfie! Co mogę dla ciebie zrobić, jestem nieco za... stój, do licha! Czyś zdurniał? Dokąd leziesz z tym naczołkiem!? Może masz konia, na którego mógłbyś to wsadzić, a możeś chciał tym przykryć własny ośli łeb? - drugą część zdania Chaucer skierował do jednego z łuczników, który najwyraźniej nie zrozumiał jeszcze królewskiego rozporządzenia i próbował na przekór przeciwnościom unieść ogromny kawał kunsztownie ozdobionej miedzią stali.

– Czyżbyś potrzebował konia, Tomaszu? - zagadnął po krótkim namyśle sir Ralf.

– A któż na moim miejscu by nie potrzebował?! Nie tylko zrabowano mi wszystkie konie, ale też uprowadzono wóz! - parsknął gniewnie pan Tomasz.

– Nie troszcz się o to zbytnio. W poczcie barona Pitchforka ostały się dwa wozy wraz z końmi, a nawet woźnicami, jedynie sług nam braknie, by je godnie zapełnić...

Oczy Chaucera zabłyśły.

– No to jesteśmy bogaci! - zakrzyknął, nie umiejąc powstrzymać wzruszenia.

To była pracowita noc. Spali tylko ranni. Pozostali grabili lub pilnowali grabiących. Mimo całego zamieszania i wielu spraw wymagających nadzoru sir Ralf znalazł trochę czasu, by porozmawiać z bratankiem.

– Opowiedz zatem, drogi Arturze, co się działo z tobą i Robertem od czasu naszego rozstania - rozpoczął zachrypniętym, zmęczonym głosem sir Ralf.

Wystawił przed namiot składane drewniane krzesło i dał znak baronowi, by ten mu towarzyszył. Nie chciał obudzić odpoczywającego w głębi namiotu syna. Sir Artur podążył za Ralfem, a gdy byli już na zewnątrz, usiadł ciężko na swoim płaszczu.

– Od czego tu zacząć? - Oblicze barona nachmurzyło się, gdy zbierał myśli.

– Nim rozpoczniesz, chcę, byś wiedział, iż opuściłem was wówczas w czasie walki, by mieć pewność, że ktoś doniesie królowi o tym, co nas spotkało - sir Ralf mówił wolno i z wyraźną skruchą. Artur przerwał swoje rozmyślenia i twardo spojrzął na stryja.

– Nigdy nie sądziłem, iż mogło być inaczej - stwierdził dobitnie i szczerze. Oblicze sir Ralfa złagodniało.

– Cieszę się, że we mnie nie zwątpiłeś, Arturze. Ale przerwałem ci. Miałeś opowiedzieć o tym, co was spotkało, po tym jak starliśmy się z panem Rambures na trakcie pod Noyon - sir Ralf spojrzął żywiej na bratanka pokrzepiony jego słowami.

– Ruszyliśmy wraz z Robertem, Huxleyem i kilkoma łucznikami na poszukiwania owej karczmy, w której mieliśmy spotkać burgundzkich posłów - kontynuował baron, wpatrując się w rozświetlone ogniskami pobojowisko - nie pamiętam dokładnie, jak do tego doszło, ale nagle Huxley chciał się od nas odłączyć. Wymachiwał przy tym swoim dokumentem z fałszywą pieczęcią królewską. To jest my wówczas nie byliśmy pewni, że pieczęć jest fałszywa. Dopiero teraz kiedy ją mamy, będziemy mogli to z całą pewnością stwierdzić.

– Co? Czy dobrze usłyszałem? - sir Ralf z ekscytacją wszedł bratankowi w słowo, przy czym omal nie spadł z chybliwego krzesła.

– No... udało się wyciągnąć szkatułę z listami Huxleya z ognia. Tuszę, iż jest tam i ten list, no i zapewne także pieczęć - sir Artur mówił wolno. Nie wykazywał przy tym zupełnie zrozumienia dla reakcji stryja.

– Mniejsza o to. Mów dalej - zakomenderował sir Ralf, nie miał bowiem ochoty wydłużać całej rozmowy, a ciekaw był pozostałych szczegółów.

– Cóż, Huxley chciał nam czmychnąć. Próbowałem go powstrzymać. Temu zawdzięczam ranę na nodze i tę

bliznę - baron przejechał po policzku wzdłuż pokaźnej szramy ściągniętej solidnym, ale niezbyt ładnym żołnierskim szwem.

– Stałeś się podobniejszy królom - skomentował z lekkim uśmiechem pan Moorow, czyniąc aluzję do blizny Henryka V.

Baron dopiero po chwili wyłowił sens słów stryja, a wówczas i na jego oblicze wypląnął uśmiech. Oko mu zabłysło i z nową siłą kontynuował opowieść.

– Warto, bym ci teraz, drogi stryju, opowiedział, jak przebiegła moja walka z Huxleyem. Była ona bowiem nie tylko dość krótka, lecz też i pouczająca. Następnym razem z pewnością nie będę równie lekkomyślny. Zacząłem od szarży i ciosu w głowę. On przyjął, zwinnie piwotując za-razem.

– Arturze... pewien jestem, iż walka była piękna, jednak mów raczej o innych sprawach, które się jeszcze wydarzyły. Nie czas teraz na zbytnią dbałość o szczegóły. Musimy wszak zaraz wracać na pole, by dopilnować załadunku łupów - sir Ralf ponownie przerwał bratankowi.

Zrobił przy tym wielce przepraszającą minę. Sir Artur westchnął tylko, czując, iż nie dane mu będzie opowiedzieć najbardziej smakowitej części historii, i znów przemówił:

– Kiedy Huxley mnie powalił, okazało się, że i owi łucznicy, którzy z nami ciągnęli na spotkanie z Burgundczykami, są zdrajcami. Pobili

Roberta, choć jestem pewien, że mężnie przeciw nim stawał.

– Arturze... - upomniał sir Ralf.

– Ach tak. A z ważniejszych spraw: zostaliśmy pojmani przez łuczników, ale potem odbił nas mistrz kuszników pan Rambures. Ten sam, z którym starliśmy się na trakcie. Ojciec ukochanej Roberta. A skoro już o niej mówię, to musisz wiedzieć stryju, że i ona tam była.

– Rzecz to dla mnie oczywista, że Maria z wami wówczas była. Wszak dlatego starliśmy się z poczem pana Rambures, iż chciał on ją odbić. Myślał bowiem, iż bierzemy ją dla okupu. Nie wiedział, że po prostu prowadzimy ją z sobą dla jej własnego bezpieczeństwa, no i żeby nie było świadków naszej misji. Powiadaj lepiej o tym, czego nie wiem Arturze - poprosił pan Moorow.

Rycerz był już bardzo utrudzony bitwą i zbieraniem łupów. Słuchanie opowieści było dla niego dodatkowo uciążliwe na skutek małej domyślności barona.

– No tak, wybac, stryju. Nie przyszło mi to do głowy, iż się tego domyślisz, a teraz widzę, że było to zupełnie jasne. Tak więc przestaliśmy być więźniami łuczników, a staliśmy się jeńcami pana Rambures'a i pana Clermonta, i pana Vindroit, no i był tam jeszcze Montmerty. Przepraszam, stryju, już wracam do rzeczy - poprawił się szybko sir Artur, dostrzegając karcące spojrzenie rozmówcy. - Ci rycerze ruszyli do jakiegoś miasta, tu w Pikardii. Chyba to było Bapaume, i tam stały się dwie rzeczy. Po pierwsze, w nocy uciekła panna Maria. Wcześniej rozmawiała o tym chyba z Robertem, bo on później liczył na jej pomoc. Ale już po twojej minie widzę, że zagmatwałem całą sprawę - tu sir



Artur podrapał silnie zarośnięty podbródek.

– Zostawmy moje domysły, dość, że panna Maria uciekła - skonstatował Artur, po czym podjął wywód. – Któregoś z kolejnych dni, nad ranem, korzystając z ogólnego tumultu, uciekł też i Huxley, pojmany i prowadzony z nami przez pana Rambures'a. No i to właściwie tyle. Potem Francuzi powiedli nas tu, na tę wieś. Jak ją zwać?

– Azincourt, drogi Arturze. Azincourt, zapamiętaj tę nazwę, gdyż jeszcze twoje wnuki będą cię o nią wypytywać - odrzekł w zamyśleniu sir Ralf. Obaj zamilkli na moment, ważąc właśnie wypowiedziane słowa.

– W całym tym bitewnym zamieszaniu straciłem z oczu Roberta i Marię. Jeden z Francuzów, pan Clermont, pomógł nam raz, powstrzymując Huxleya. Ten chciał bowiem odebrać nam nasze i jeszcze jakieś inne listy. Potem się rozdzieliliśmy i jak już rzekłem, straciłem Marię i Roberta z oczu. I muszę wyznać stryju, że bardzo się boję, iż Huxley mógł zabić lub porwać pannę Marię - zakończył smutno baron.

– Oby Robert przeżył. Potem zatroszczymy się o Marię, na razie ważne, by dotrzeć do Calais, tu jesteśmy jeszcze ciągle na francuskiej ziemi - głowa sir Ralfa opadła na kołnierz aketonu.

Rycerz jednak przewyciężył senność i podniósł głowę.

– Dałem Robertowi słowo, że doprowadzę do jego ślubu z panną Rambures. I tak też się stanie - zapewnił twardo sir Artur, a słowa te wypowiedział bardziej do siebie niż do stryja, którego miał za śpiącego.

Guillaume wracał do namiotu, powłócząc nogami. Oddychał uważnie gdyż przy każdym gwałtowniejszym wdechu przypominały o sobie pokiereszowane żebra. Wokół łucznicy upakowywali ostatnie zdarte z wroga łupy. Wielu z nich zaczęło już popijać wino, którego całkiem pokaźny zapas znaleźli w obozie francuskim. Robili to nad podziw wytrwale, wzięwszy pod uwagę skrajne wyczerpanie i gnębiącą wielu z nich dyzenterię. Giermek był już przy samym namiocie, gdy nagle ktoś szturchnął go w spoczywającą na temblaku rękę. Syknął z bólu i obrzucił wściekłym spojrzeniem stojącą z boku postać. Sięgnął po puginał, widząc gęsto zarośniętą twarz nieznanego mężczyzny. Nieznajomy - sądząc po stroju, łucznik - uśmiechał się zagadkowo. Na głowie miał wełnianą czapkę z przyszpilonym do niej sterczącym zawadiacko gęsim piórem. Guillaume nabrał gwałtownej chęci zmazania mu z twarzy kretyńskiego uśmiechu i strącenia w błoto tej czapki, gdy nagle usłyszał za sobą znajomy głos:

– Witaj, Guillaume, nawet nie wiesz, jak cieszy mnie myśl, że jednak nie zaginałeś.

Giermek wykonał obrót, spodziewając się ujrzeć przed sobą swojego częstego towarzysza gry w kości i wierzyciela. Ku swojemu utrapieniu, nie pomylił się. W obręb światła rzucanego przez zatkniętą przed namiotem pochodnię weszło trzech ludzi. Dwóch z nich miało na sobie niechlujnie rozwiązane przeszywanice, a przy pasach zatknięte tasaki - strój nieco rozdżianego po bitwie łucznika. Trzeci nosił się bardziej elegancko. Spod wełnianej kurtki wystawał mu kołnierz starannie związanego dubletu, a pas obciążał z lewej strony miecz. Choć ruda czupryna była wygnieciona od hełmu, zachowała modny kształt.

– Witaj, Cedryku, a zarazem żegnaj, gdyż właśnie udaję się na spoczynek - giermek ruszył w stronę wejścia do namiotu, ale jeden z łuczników zastąpił mu drogę.

– Jakże to? A co z moimi pięcioma funtami? - zagadnął nieustępliwie rycerz.

– A cóż ma z nimi być? Podliczę łupy, sprzedam, co trzeba, i dostaniesz te swoje nędzne pięć funtów...

Guillaume odepchnął energicznie zastępującego mu drogę draba i wszedł do namiotu. Nim jednak zasunął za sobą wejściową płachtę dobiegły go jeszcze słowa Cedryka.

– Obyś się tylko, drogi Guillaume, doliczył tych „nędznych” pięciu funtów wśród zacnych łupów, które z pewnością wzięłeś...

Sir Ralf wrócił do namiotu dopiero późno w nocy. Wcześniej dopilnował załadunku łupów zebranych przez łuczników sir Tomasza. Był bardzo zmęczony, ale też w głębi ducha szczęśliwy. Odnalazł syna, bratanka i wysmienitego - mimo zrzędlivosti - giermka. Ponadto wziął znaczny łup i zyskał przyjaciela. Ostatecznie nie najmniejszą radość sprawiało mu odnalezienie listów i myśl o tym, jak zostaną wykorzystane. W namiocie panowała ciemność. Kapelan medyk wyszedł już, założywszy opatrunek. Mimo mroku pan Moorow bez najmniejszego trudu ominął śpiącego Guillaume'a i sir Artura. Za przewodnika posłużyło mu donośne chrapanie. Ułożył się blisko syna. Ledwo zamknął oczy, by przespać choć parę chwil dzielących go od wschodu słońca, gdy poczuł szarpnięcie za rękaw aketonu. Wyrwany ze snu, spojrzał nieprzytomnie w ciemność.

– Ojciec? - rozległ się słaby głos.

– Synu? Odzyskałeś przytomność!

– Tak, ale jestem strasznie słaby. Nie wiem, czy wytrzymam do rana.

– Wytrzymasz, nie trap się tym i śpij.

– Ojciec? - ciche słowa znów rozbrzmiały nieopodal w ciemności.

– Słucham, Robercie.

– Obiecuj mi, że jeśli nie wytrzymam, to odnajdziesz pannę Rambures i powiesz jej, że nie żyję. Huxley wprowadził ją do zamku niejakiego Vaartbruta, to chyba gdzieś we Flandrii. Poza tym powiedział, że nazywa się Jan Haquelin.

– Obiecuję, synku, a teraz śpij już, dobrze? I nie zawracaj mi głowy, jako że twój czas jeszcze nie nadszedł. Nie może to być, żebym żonę i syna przeżył, bo aż takim grzesznikiem nie byłem... - sir Ralf zaciął się na moment, rozważając coś.

– A co ważniejsze, medyk mówi, że będzie z tobą dobrze - dokończył po chwili myśl i zaczął znów zapadać w sen.

– Ojciec?

– Jestem tu, Robercie, ale po prawdzie nie wiem, jak długo, bo jak nie zdrzemnę się choć kapkę przed jutrzeńką, to

może być ze mną krucho - odparł ochryple pan Moorow.

– Dobrze, już daję ci spać, powiedz mi tylko, czy wiesz, co się stało z doktorem Joachimem - indagował uporczywie sir Robert.

– Wiem, lecz to zbyt długa historia, by ją teraz opowiadać. Poza tym nim bym ci ją opowiedział, doktor – psia jego mać – Joachim, i tak byłby martwy, więc po cóż masz słuchać o jego losach?

Ogromne stosy rozpalone jeszcze dwa dni wcześniej przez Francuzów zdążyły zupełnie ostygnąć, a wraz z nimi ostygła krew zabitych i nadzieje tych, którzy odjechali pokonani. Na polu między Maissoncelle a Azincourt pozostali jedynie polegli i zwycięzcy.

Pierwsze, początkowo ciche i sporadyczne, dźwięki rozbrzmiały nad budzącym się obozem Anglików. Szepty, rozmów, ziewnięcia i słowa modlitw zlały się w jeden narastający szmer. Utrzymywany przez całą noc ogień trzaskał wesoło na polanach angielskich, nie robiąc sobie zbyt wiele z otaczającej go ponurej scenerii. Cierpki zapach rozchodził się wokół. Nad płomieniami, w wielkich żeliwnych kotłach, bulgotał ocet - równie wesoło i z równym brakiem szacunku dla poległych. W occie zaś bielily się zupełnie beczelnie kości. Nie były to jak zazwyczaj szczątki upolowanej zwierzyny, szykowane na posiłek dla wojska. Tym razem gotowano pozostałości możliwych angielskich, które szykowano do godnego pochówku. Nie godziło się bowiem, by brat królewski książę Gloucester bądź hrabia Oxfordu wracali do domu nadgnili czy też pocięci jak prosięta przed ucztą. Specjalnie do tego wyznaczeni łucznicy stali nad garnkami i wielkimi łyżkami wyławiali co jakiś czas kolejne ochłapy oddzielonego od kości i ugotowanego mięsa. W kotłach pozostać miały same kości, które planowano zabrać z powrotem do ziemi angielskiej. Kapelani krążyli między ogniskami, wspomagając co słabszych psychicznie krzepiącym słowem i modlitwą. Nie wszyscy jednak uczestniczyli z tą samą gorliwością w porannej obozowej krzątaniu. Niewielka grupka mężczyzn stała na skraju lasu w pewnym oddaleniu od miejsca wypoczynku armii królewskiej. Mieli bowiem do wypełnienia jeszcze jeden okrutny obowiązek.

Twarz doktora Joachima była blada ze strachu i braku snu. Wodził oczyma po otaczających go ludziach. Przyszli po niego w nocy, a przy aresztowaniu obecny był sam doradca królewski Tomasz Erpingham. Teraz otaczały pojmanego spojrzenia pełne wzdargy. Największą grozę budziło w nim oblicze sir Ralfa, ale i twarze sir Artura, Guillaume'a, a nawet kapelana i młodego sir Roberta napawały go lękiem. Rycerze stali dumnie wyprostowani ze skrzyżowanymi na piersiach przedramionami. Na twarzy pana Moorowa rysowała się największa zawziętość, jako że piekły go jeszcze wypowiedziane z butą i szyderstwem słowa *ignorantia iuris nocet*<sup>[1]</sup>. Sir Artur spoglądał z

niewiele mniejszym afektem. Nie cierpiał zdrajców, a jego nieprzyzwyczajony do subtelności umysł lubił jasno odgraniczać dobro od zła. Natomiast jego ciężka ręka lubiła karać to ostatnie. Sytuacja była dodatkowo wygodna, ponieważ to nie umysł barona miał oceniać, pod którą z dwóch kategorii podpada uczynek, wobec czego pozostawało jedynie czerpać przyjemność ze słusznej egzekucji. Pętla opadła z gałęzi sprawnie zawiązana przez łucznika oprawcę i zadyndała złowrogo obok głowy uczonego. Sir Robert obserwował całe zajście zdrowym okiem. Drugie pozostawało zakryte bandażem i ćmił w nim narastający ból. Jednak najmłodszy Neville chciał być przy egzekucji. Jeden z łuczników pocztu sir Tomasza Chaucera podtrzymywał rycerza. Medyk stwierdził, że oko nie zostało uszkodzone, jednak rana jest poważna. Odradzał jakikolwiek wysiłek. Sir Robert zlekceważył to zalecenie i kazał się doprowadzić na miejsce kaźni. Teraz sam nie bardzo wiedział dlaczego. Po pierwsze, zdrada doktora Joachima nie oburzała go tak jak kuzyna i ojca. Po drugie, publiczne obserwowanie wisielca budziło w nim przekonanie o marności gatunku ludzkiego. Ostatecznie zaś mroczyła go bólem odniesiona niedawno rana i dotarło do niego, że medyk mógł nie żartować, mówiąc „poważna”. Skoro jednak wbrew wszystkiemu był już na miejscu, postanowił uparcie wytrwać do końca, nawet jeśli to doktor Joachim miałby być świadkiem śmierci Roberta, a nie na odwrót. Jeden z dwóch oprawców nałożył pętlę na szyję uczonego.

– Za sfalszowanie pieczęci królewskiej oraz za zdradę, którejś dokonał, skazuję cię w imieniu króla Henryka na śmierć przez powieszenie. Jednakże zanim staniesz przed swoim Stwórcą, masz szansę oczyścić choć trochę swoje imię jeszcze tu, na ziemi. Czy miałeś innych współników oprócz tych, o których wiedzą tu zgromadzeni? - głos sir Tomasza brzmiał mocno i uroczyście.

– Tak, współnikami byli mi archanioł Gabriel i serafini, jak również wszyscy święci, którzy widzą nieprawości kleru stanowiące ostatnimi czasy obyczaj w królestwie Anglii.

Chaucer zmarszczył brwi. Sir Robert postanowił zabrać głos. Było mu słabo, a czuł, że rozmowa ze skazańcem może się przeciągnąć.

– Panie Tomaszu, doktor najwyraźniej nie zrozumiał pytania. Przecież nie został skazany za swoje heretyckie i wicherzycielskie zapędy ani za bycie lollardem, tylko za nędzne fałszerstwo i tchórzliwą zdradę. Jeśli twierdzi, że w czynach tak niskich pomogli mu aniołowie, to albo, jako rzekłem, nie pojął, o co się go pyta, albo brnie w grzech. Żadna z tych ewentualności nie przystoi zaś doktorowi teologii.

– Macie słuszość, panie Neville - przytaknął Chaucer.

Potem skinął na łucznika, który w czasie pokoju uczestniczył w egzekucji jako oprawca. Uderzony w zad koń ruszył przed siebie. Rozległ się trzask łamanego karku. Zaraz potem wisielec zapląsał w konwulsjach. Sir Robert poczuł, że miękną mu kolana. Trzymający go łucznik wezwał do pomocy kompana z pocztu. Świat zawirował, a potem wszystko znikło. Dwóch żołnierzy chwyciło rycerza. Gdy nieśli go pośpiesznie w stronę obozu, słyszał jeszcze przejęte głosy ojca, sir Tomasza i barona Pitchforka. Potem nastąpiła cisza.

Łucznicy Chaucera składali namioty i pakowali ekwipunek na wozy. Zwijano obóz przed opuszczeniem pola bitwy. Panowie Tomasz, Ralf, Artur i Guillaume stali naprzeciw siebie pogrążeni w nerwowej dyskusji.

– Nie dojedzie do Calais. Nie da rady, tak powiedział medyk, nic na to nie poradzisz, Ralfie... - Chaucer, mówiąc, zerkał na swoich ludzi.

– Pan Tomasz ma rację, panie, nie możemy jechać z panem Robertem aż do Calais - giermek spoglądał zatroskany na sir Ralfa.

– Niech to diabli wezmą! Nie potem go odnalazł, żeby mi tu szezł w drodze... - pan Moorow kręcił lekko głową, drapiąc niedogoloną szyję.

– Jeden z moich łuczników twierdzi, że niedaleko stąd na północ jest klasztor. Nie odmówią wam raczej schronienia, jak zobaczą za wami całą armię - zaproponował bez przekonania sir Tomasz..

– Zrazu pewnie nie odmówią, ale łącznie wydadzą nas potem bajlifowi, skoro tylko król dotrze na Calais - odparł Guillaume energicznie.

– Chyba że będą nas mieli za Francuzów - rzucił sir Ralf, patrząc bystro na giermka.

– Ale jakże, panie, to zamyślacie? Nie zdziwiłoby mnie, gdyby wzięli mnie za Francuza, którym ostatecznie jestem. Pan Robert, o ile nie pomieszał mu się umysł od ran, też się wykpi swoją znajomością tutejszej mowy. Ale wy, panie, czy szanowny pan baron... - Guillaume zerknął przepaszajaco na sir Artura.

Ten jednakże zdawał się nie zauważyć aluzji do swojej znajomości francuskiego, patrzył tylko uparcie w ziemię, rozmyślając o czymś intensywnie. Nagle uniósł głowę.

– Pan Clermont. Pan Chaucer pochwycił wszakże pana Clermonta. On może uprosić mnichów, by go ukryli wraz z Robertem. Wszyscy, łącznie z baronem, byli zaskoczeni jego trzeźwą uwagą.

– Drogi bratanku, to może i nie jest zły pomysł, lecz nie ufam chyba na tyle Clermontowi, by powierzyć mu syna i samemu uchodzić z łupem do Anglii. Opowiadaliście mi o nim same dobre rzeczy, ale ostatecznie to przecież Francuz.

– Kto wie, czy nie raczej Burgundczyk...

Nikt nie zwrócił uwagi na uwagę Guillaume'a.

– Jestem pewien, że dotrzyma danego słowa - odparł żywo baron.

– Myślisz, bratanku, że można mu na tyle ufać, by powierzyć mu opiekę nad Robertem i ruszyć spokojnie do Calais? Może gdyby wysłać z nimi

Guillaume'a, żeby miał na niego oko... - głos sir Ralfa zdradzał zaangażowanie w nowy koncept.

– Tak myślę. Jego słowo jest lepsze niż gwarancja w lombardzkim banku. A jeśli chodzi o Calais, to zmierzam w inną stronę.

Znów wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na barona. Nawet pan Chaucer przestał zwracać uwagę na pochłoniętych załadunkiem łuczników.

– Jak to, drogi bratanku? Dokądże więc masz zamiar jechać?

– Mam zamiar odnaleźć tego zdrajcę Huxleya, odebrać mu pannę Marię i doprowadzić ją razem z Robertem przed ołtarz. Taki złożyłem ślub, i tak mi dopomóż Bóg.

Zebrani popatrzyli na całkowicie poważnego Artura z mieszkanką zakłopotania i podziwu. Baron nie pierwszy raz wprowadził ich w taki stan. Zdało im się, jakby przybył z innej epoki albo wręcz z jakiejś starej pieśni.

– Ależ, drogi Arturze... - zaczął łagodnie sir Ralf, ale widząc zaciętą twarz bratanka, odchrząknął i nieco zmieszany, zmienił ton.

– No dobrze, ale jak zamierzasz tego dokonać? Odnalezienie Huxleya byłoby trudne, nawet gdybyśmy go szukali w baronii Pitchfork, ale szukanie go tu, we Francji... nie znasz wszakże miejscowej mowy ani traktów, jakże więc? Lecz cóż mówię „Francji”? Wszak Robert wyznał mi, że ów cały Vaartbrut ma kasztel we Flandrii. Czy i tam sam dotrzesz?

– Wątpię i właśnie dlatego liczyłem w tym przedsięwzięciu na twoje, stryju, wsparcie. Razem, jak sędzę, moglibyśmy tego dokonać.

W pierwszej chwili oblicze sir Ralfa wyrażało niepomierne zdziwienie. Potem pojawił się na nim cień wątpienia, ale szybko ustąpił jakiejś nagłej iskrze radości.

– A czemuż by nie? Raz matka rodziła! Przynajmniej zrobię coś dla syna, a nuż się uda? Panie Tomaszu, jak sądzicie, ile tego będzie na wozach?

Sir Tomasz oszacował wprawnym okiem zebrane sprzęty.

– Będzie z tysiąc na moje oko...

– Tysiąc funtów... - westchnął, nie umiejąc się powstrzymać Guillaume. Rycerze spojrzeli na niego krzywo, po czym wrócili do rozmowy.

– Pięćset dla was, pięćset dla właściciela wozów, obecnego tu pana Pitchforka? - zaproponował sir Ralf. Chaucer długo się namyślał.

– Niech będzie. Dowiozę ponadto wasze dobra do Anglii i oddam tego jeńca Clermonta.

– Będę twoim dłużnikiem, Tomaszu, jeśli przeżyję tę przygodę, odpłacę ci jakoś twoją szczodrość - odparł z zapalem sir Ralf.

– Przyjaciel jest w dzisiejszych czasach wart więcej niż kilkaset funtów. To był prosty rachunek... - uśmiechnął się serdecznie Chaucer.

Pan Clermont siedział na ziemi w ogromnym kole utworzonym z wziętych do niewoli francuskich rycerzy. Słaby deszcz sączył się przez bezlistne korony niewielkich jabłonek sadu i padał na skulone posępne postaci. Jeszcze kilkanaście godzin temu czuli wiatr świszczący w wizurach i otworach wentylacyjnych hełmów. Teraz pozostało im

kulenie się z zimna w ciężkich, mokrych aketonach. Niedaleko Clermonta tkwił nieruchomo książę Karol. Dawno zaschnięte łzy zdążyły wyłobić jaśniejsze smugi w umorusanej błotem twarzy. Obok spoczywał Charles d'Artois oparty o pień jabłonki. Młody hrabia zasnął jakiś czas wcześniej i dopiero wówczas przestał zawzięcie zgrzytać zębami. Clermont zerknął na zgliszcza dworku. Spalono w nim z rozkazu królewskiego nadmiar dóbr, którego Anglicy nie zdolaliby unieść ze sobą z pola. Przerzucił wzrok na otaczający ich kordon łuczników. Żołnierze nie szczędzili przegranym najgorszych obelg i złośliwości. Gruby drab pokazywał kompanom palcem księcia orleańskiego, po czym udawał płacz i ocierał wierzchem dłoni suchy nieogolony policzek. Towarzysze byli wniebowzięci. Jeden z nich zawołał nawet coś łamaną francuszczyzną. Clermont wytężył słuch, by zrozumieć jego bełkot.

– Mój pan smutny!? Możesz chcieć mleko na otarcie łoża!? Jeśli tak, to tu niedaleko jest dobry zamtuż.

Tamtejsze dziwki chętnie pomóc książę...

Nie dokończył, pacnięty przez kogoś w głowę. Clermont rozpoznał napastnika.

– Precz! - rzucił krótko Guillaume i popchnął odchodzącego niemrawo łucznika.

Mężczyzna zerknął gniewnie, ale nie podniósł ręki na lepiej urodzonego. Giermek spojrzał natomiast w tłum jeńców, ignorując żołnierza.

– Panie Clermont! - zakrzyknął, widząc znajomą twarz i wyśmienitą zbroję.

Pikardyjski rycerz jako jeden z niewielu Francuzów zachował swój pancerz, ponieważ znaleziono go dosyć późno i mało kto miał ochotę zwracać na niego uwagę wobec szalejącej wokół grabieży.

Pan Bertrand wstał powoli, wspierając się o pień niewielkiego drzewka.

– Tak? - spytał głucho rycerz.

– Pozwólcie ze mną - rzucił Guillaume, czyniąc zapraszający gest ręką.

Clermont przecisnął się do czekającego giermka. Odprowadził go szmer szeptów i pomruków. Był tak bardzo przygnębiony, że nie zwracał uwagi na te oznaki braku zaufania ze strony towarzyszy broni.

– O co chodzi? - spytał zmęczonym głosem.

– Powiem wam po drodze, chodźcie za mną - Guillaume przeprowadził rycerza przez kordon łuczników i zaczął opowiadać, w czym rzecz.

W miarę trwania opowieści na twarzy Clermonta zmęczenie ustępowało coraz większemu zdziwieniu.

Zgrzytnęły koła nielicznych wozów. Szczęśliwcy, którym nie skradziono koni, popędzili je, unikając chmurnych spojrzeń spieszonych kompanów. Clermont w ogóle nie potrafił zrozumieć, o co Guillaume'owi chodzi. Początkowo sądził, że ma ruszyć wraz z baronem Pitchforkiem szukać córki pana Rambures'a. Później giermek objaśnił, że jego rola polegałaby na zaprowadzeniu rannego sir Roberta do pobliskiego klasztoru i na poręczeniu za niego słowem. Następnie okazało się, że miałby co prawda oddać młodego Neville'a w ręce mnichów, ale

udając równocześnie, że jest on jego towarzyszem broni. Nim dołączyli do pozostałych, Clermont nie wiedział, ani z kim ma jechać, ani w jakim celu, ani co ma powiedzieć. Sir Ralf zaczął więc sam wyjaśniać, o co chodzi. Szybko okazało się jednak, że pan Moorow nie wyłuszczał sprawy jaśniej, zapewne dlatego że sam ostatecznie nie wiedział, co chce osiągnąć.

Tymczasem armia sunęła powoli, mijając skraj usłanego trupami pola. Ten i ów zmówił jakąś modlitwę lub ten jej fragment, który akurat znał. Wielu uczyniło znak krzyża. Porozrzucane chaotycznie, często całkowicie obdarte z odzieży i pokaleczone ciała tworzyły smutną mozaikę na tle rozmiękłego błota. Grupki okolicznych chłopów, którzy przybyli o świcie, chcąc również na swój skromny sposób uczcić grabieżą pamięć poległych rycerzy, rozpierzchnęli się przed nadchodzącą armią. Tylko rozleniwione wrony i kruki nie przerywały sobie uczyty, szczęśliwe z powodu nieoczekiwanej obfitości jada. Gdy żołnierze minęli wreszcie pobojowisko, minstrele spróbowali wyrwać ich z przygnębienia, intonując pieśń z akompaniamentem piszczałki i bębnów. Z czasem pojedyncze żołnierskie głosy dołączały do pieśni, tak że po kilku minutach przydrożne lasy dudniły od coraz śmielej wyśpiewywanych słów. Ostatecznie zmęczenie i przywodząca na myśl Sąd Ostateczny sceneria nie zdołały na długo powstrzymać radości z wielkiego zwycięstwa. Sir Ralf uniósł nieco wzrok.

– Tyle dusz stanęło wczoraj przed Stwórcą, pewnie niektórzy jeszcze czekają w kolejce.

– Myślę, że tam w dole dłuższa kolejka, panie... - skomentował z uśmiechem Guillaume, któremu udzielał się coraz przedniejszy nastrój.

– Może być... a zresztą *vae victis!* - to powiedziawszy, pan Moorow dołączył swój donośny baryton do żołdeckiego chóru.

Clermont szedł, jakby przytroczono mu do pleców koło młyńskie, i spoglądał smętnie to w przydrożne chaszczki, to znów na usłane trupami rodaków pole. Tymczasem świeżo narodzona pieśń zagrzewała do dziarskiego marszu.

*Our king went forth to Normandy, With grace and might of chivalry;*

*There God for him wrought marvellously, Wherefore England may call and cry*

*Deo gratias: Deo gratias, Anglia, redde pro victoria. He set a siege, the sooth for to say,*

*To Harfleur town with royal array; That town he won and made a fray, That France shall rue till Domesday.*

*Deo gratias: Deo gratias, Anglia, redde pro victoria*<sup>[2]</sup>.

Przystanęli na skraju lasu. Przed nimi rozciągały się pola uprawne, między którymi biegła niewielka, ale dobrze przetarta ścieżka prowadząca do zabudowań klasztornych. Słowa pieśni ucichły wreszcie zupełnie, pozostawiało



ustalić dalszy plan. Sir Ralf zdołał pośpiesznie rozmówić się z panem Erpinghamem i uzyskał królewską zgodę na opuszczenie armii z powodu fatalnego stanu zdrowia syna. Wykrycie zdrajcy tak blisko króla było dla sędziwego doradcy bardzo niepokojące. Tym chętniej więc przyjął propozycję opuszczenia szeregów Henryka V przez Neville'ów posiadających o całej sprawie dużą wiedzę.

Sir Robert leżał w dalszym ciągu nieprzytomny na prowizorycznych noszach skleconych z dwóch kijów i trzech tarcz. Clermont stał odziany w swoją wspaniałą, mimo zabrudzenia, zbroję. Był zagubiony i spoglądał wyczekująco na trzech Anglików. Guillaume i sir Artur zerkali natomiast na pana Moorowa. Rycerz w końcu oderwał wzrok od leżącego na noszach syna i przemówił.

– Zrobimy tak: pan Clermont i Guillaume udadzą się do klasztoru. Jeżeli mnisi zgodzą się przyjąć Roberta do siebie, zostaniesz przy nim, Guillaume, a pan Bertrand wróci tu do nas. Jeśli nie zgodzą się dać wam schronienia, wrócicie tu i coś wymyślimy.

Giermek podrapał markotnie policzek.

– A jeśli zechcą nas przyjąć? Jak długo mamy u nich zabawić i cóż nam przyjdzie czynić, gdy już pan Robert dojdzie do siebie? Jesteście pewni, panie, że chcecie mnie przy nim zostawić? Może być, że będziecie mnie potrzebować w czasie podróży. Przyda się wam z pewnością dodatkowy miecz...

– Zostaniesz z moim synem. Masz potrzaskane żebra i złamaną rękę. Większy będę miał z ciebie pożytek, jeśli tu zostaniesz i przypilnujesz Roberta.

Giermek zrozumiał, że to koniec dyskusji. Przetłumaczono podjętą decyzję Clermontowi, który zgodził się bez oporu. Pan Bertrand chwycił nosze z jednej strony, a sir Artur założył ich drugi koniec na barki Guillaume'a, tak aby mimo kontuzji ręki mógł je nieść. Przeszli zaledwie parę kroków, gdy usłyszeli za sobą krótki okrzyk sir Ralfa:

– Stójcie!

Zdziwiony Giermek odwrócił głowę i ujrzał swojego pana tuż przy sobie z obnażonym, długim na stopę ostrzem puginału. W pierwszej chwili pomyślał, że rycerzowi pomieszało się od smutku w głowie. Sir Ralf miał jednak bystre i spokojne spojrzenie.

– Twoje krzyże... - rzekł chłodno, odpruwając dwa znaki naszyte na grubym lnianym aketonie Guillaume'a.

Czerwony krzyż świętego Jerzego stanowił niechybną oznakę przynależności do wyprawy króla Henryka. Giermek odetchnął z ulgą i ruszyli dalej ścieżką prowadzącą do bramy klasztornej.

Sir Ralf z baronem spoglądali z niecierpliwością na oddalających się towarzyszy. Powiał chłodniejszy wiatr, a niebo po raz kolejny zasnuły chmury.

– Daj Bóg, by się to wszystko dobrze ułożyło. Niemaló już ludzi straciło życie dla niewiasty.

– Dobrześ rzekł, stryju, gdyś postanowił się do mnie przyłączyć w poszukiwaniach - odparł zagadkowo baron, nie odwracając wzroku od idących przez pole towarzyszy.

– Tak, a cóżem takiego rzekł?

– Raz matka rodziła, ot co.

## Rozdział 2

Szli powoli, ostrożnie stawiając stopy na nierównej ścieżce. Prowizoryczne nosze kołysały się niepokojąco na bok. Sir Robert jęczał przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Z przodu zupełnie wyraźnie widzieli już mury klasztorne. Najbardziej przykuwała uwagę górująca nad okolicą czworościenna dzwonnica. Podobnie jak kościół z którego wyrastała, zrobiona była z jasnego kamienia. Boczne ściany budowli zdobiły i wysmuklały podłużne, zaokrąglone u góry okna. Połowę dolnej części kościoła przysłaniał sad ogrodzony niezbyt wysokim murem, zza którego wystawały nagie czubki drzew. Z lewej strony sąsiedował z nim dwupiętrowy kamienny budynek okryty spadzistym drewnianym dachem. Od niego, na wysokość drugiego piętra, ciągnął się zewnętrzny mur. Podeszli w końcu do wysuniętego przed klasztor sadu. Ponad niewielkie kamienne ogrodzenie wystawały, jak okazało się przy bliższych oględzinach, nie tylko czubki drzew, ale też zwrócone w stronę dróżki głowy sadowników. Przekroczyli uchylone drzwi. Naprzeciwko nich stało kilku zdziwionych ludzi. Przy pniach leżały pękate worki wypełnione zebranymi owocami. Wśród pracowników był tylko jeden młody zakonnik, który zastygł na drabinie z gruszką w wyciągniętej ręce.

– Chcę rozmawiać z opatem - Clermont przerwał ciszę.

Zakonnik nie odpowiedział. Zamiast tego wskazał trzymanym owocem na bramę po drugiej stronie sadu. Poszli dalej odprowadzeni uważnymi spojrzeniami. Na wewnętrznym dziedzińcu, który sąsiedował z wirydarzem, było pusto, jeśli nie liczyć samotnego zamyślnego mnicha. Podeszli bliżej do stojącego ze spuszczoną głową mężczyzny. Nie zareagował. Gdyby nie brunatny odcień habitu, rycerze zapewne przeszliby mimo owego dziwaczego indywiduum, biorąc je za posąg.

– Wybaczcie panie... ehm... bracie, gdzie znajdę opata? - zagaił nieśmiało Clermont.

– Co? Nie wiem... - wyrwany z rozmyślań mężczyzna spojrzał nieobecny wzrokiem na rycerza.

– Rozumiem. A gdzie mieszka opat?

– Tam.

Zakonnik wskazał grupę stojących razem budynków. Ruszyli w ich stronę z rosnącym niepokojem.

– Bardzo ciekaw, jak wygląda pasterz tych niesfornych owieczek - wysapał Guillaume, gdy tylko odeszli na kilkanaście kroków od napotkanego myśliciela.

Tamten zaś ponownie spuścił głowę i pogрузzył się znowu w swoich medytacjach.

Ułożyli ostrożnie nosze na kamiennej ścieżce krużganka. Pan Bertrand zapukał w niewielkie, lecz grube i solidnie okute drzwi. Czekali dość długo, nim usłyszeli szcęk przesuwanej zasuwy, a potem zobaczyli niedużego siwiejącego mężczyznę. Zakonnik był bardzo zdziwiony.

– Czym może służyć sługa Pański? - spytał cicho, lekko pochylając głowę.

– Jesteście, panie, opatem? - odparł nadal zakłopotany swoją rolą Clermont.

– Tak.

– Czy wiecie panie o bitwie?

– Niestety, doszły nas słuchy o strasznej walce. Słyszeliśmy hałasy. Modliłem się o sprawiedliwy wyrok i jakież się okazał? - zakonnik podniósł wzrok, by patrzeć rycerzowi w twarz.

– Klęska. Zostaliśmy ze szczętem pobici.

Guillaume postarał się zrobić minę podobną do wyrazu twarzy przemawiającego Clermonta. Zakonnik na szczęście nie zwrócił uwagi na jego nieudolną grę aktorską. Załamał tylko ręce i spuścił wzrok, ujmując zwisający przy opłatającym habit sznurze różaniec. Wyszeptał coś po łacinie i dopiero chwilę później znów zwrócił uwagę na przybyszy.

– Zali przyszliście jedynie przynieść smutną nowinę, byśmy mogli oddać się modlitwom za dusze umarłych?

– Nie. Przywiodłem tu ze sobą rannego towarzysza. Przechowajcie go, proszę, u siebie, bracie - to mówiąc, pan Bertrand wskazał na leżące nieopodal nosze.

– Ojciec - poprawił go zakonnik. – Jestem przede wszystkim kapłanem. Zajmiemy się waszym przyjacielem, panie, nie martwcie się o to. - Opat zerknął z ukosa na leżące nieprzytomnie sir Roberta.

– Nie mam przy sobie pieniędzy, lecz mój towarzysz lub ja sam, skoro tylko tu wrócę... Kapłan wybawił rycerza od dokończenia niezręcznej wypowiedzi.

– Nie myślcie o tym, panie. W taki czas warto dumać jeno o cnotach. O nagrodach, a zwłaszcza doczesnych, myśleć nie przystoi - opat położył pojednawczo rękę na ramieniu rycerza i uśmiechnął się smutno.

– Zostawię też giermka mego kompana, bo za nic nie chce się z nim rozstać.

Guillaume szybko zwrócił uwagę na rozmowę, po tym jak od jakiegoś już czasu oglądał sobie niewielki klasztorny dziedziniec. Nie bardzo wiedząc, w czym rzecz, przytaknął jednak energicznie.

– Dobrze. Będziemy pewnie potrzebowali rąk do pracy... - skwitował opat, mierząc giermka wzrokiem.

– Będziecie mieli z niego, panie, pożytek mimo że obito mu potężnie żebra i ma potrzaskaną rękę, zobaczycie.

– Tak, z pewnością. Z pewnością się o tym przekonam - dodał zakonnik głosem niezdradzającym bynajmniej chęci osiągnięcia poznawczej satysfakcji.

Guillaume uśmiechnął się niezgrabnie.

– Może źle zrobiliśmy, ufając temu Clermontowi... - sir Ralf spoglądał uważnie na pustą ścieżkę prowadzącą między zabudowania klasztorne.

– Jeśli coś im się niepomyślnego przytrafiło, to na pewno nie za sprawą Clermonta - odparł z przekonaniem baron, a zaraz potem wskazał na dróżkę.

– Chyba ktoś ku nam zmierza, widzisz, stryju? Tam, przy bramie.

– Zdaje się, że słusznie mówisz, choć wzrok już mi nieco szwankuje.

Sir Artur miał rację i po jakimś czasie stanął przed nimi pan Bertrand. Opowiedział pokrótce o rozmowie z opatem. Prowadzona na poły po francusku i angielsku rozmowa zaowocowała po dość długim czasie paroma wnioskami. Ustalono, że należy się udać do Flandrii do zamku niejakiego Jakuba Vaartbruta, tam bowiem miał zmierzać Huxley. Na myśl tę padł przelotnie cień hipotezy głoszącej, że niekoniecznie mówił prawdę. Wsparło ją uzasadnienie, że lepiej nie mówić prawdy o celu swojej podróży człowiekowi, który ma interes w tym, by nas ścigać. Ostatecznie jednak postanowili zaryzykować, jako że Clermont stwierdził, że nawet jeśli Huxley nie pojedzie do Vaartbruta, to znajdą tam żonę mistrza kuszników i jego drugą córkę, a może nawet synów, jeśli ci zdołali przeżyć. Wymyślono też, że będą podawali się za francuski poczet uchodzący po porażce z pola bitwy. Clermont miał być rycerzem, co było dość naturalne, natomiast sir Ralf i baron mieli odgrywać jego giermków.

Sir Artur nie dał się zbyt łatwo namówić na ten plan, ale ostatecznie zrozumiał, że jego znakomite pochodzenie nie zjedna mu na razie przychylności okolicznych mieszkańców. Miał też udawać głupka niemowę z racji słabej znajomości francuskiego. W tej kwestii nawet nie protestował. Uzgodniono ponadto, że starszy Neville będzie się podawał za Gaskończyka, uznano bowiem, że wielu uzna akcent sir Ralfa właśnie za gaskoński. Na szczęście Clermont wiedział mniej więcej, którędy mają dostać się do Flandrii, więc bez dalszej zwłoki ruszyli w drogę.

Z długiego wzgórza, którego łagodne zbocze usłane było kłosami pszenicy, rozciągał się widok na spokojną po bitwie okolicę. Nie widać stąd było samego pobojuwiska. Mimo to wzrok grupy rycerzy zwrócony był właśnie w jego kierunku. Większość już skończyła modlitwę i czekała na swego młodego seniora. Przedłużające się ponad miarę oczekiwanie przerwał wreszcie stary doradca poległego mistrza kuszników Dawida Rambures'a.

– Panie... powinniśmy ruszać - przytłumiony głos pana Vindroit zdawał się dochodzić z daleka, mimo że Alan Rambures czuł na swoim ramieniu dłoń najbardziej zaufanego przyjaciela ojca.

Odjął opancerzone ręce od spoconej, zapłakanej twarzy. Obrazy padających między młóćące poleaxy braci były nadal żywe. Nie wiedział, co ostatecznie spotkało ojca. Widział tylko, jak wywleczono go z tłumu w głąb angielskich szeregów. Powstał z wolna, pokonując zmęczenie i ciężar zbroi. Popatrzył na garstkę ocalałych z pocztu mistrza kuszników ludzi. Stali ze spuszczoneymi głowami, a ich powyginane i niekompletne zbroje komponowały się z widokiem okolicznych bezlistnych drzew. Vindroit wyczekująco przecierał mokre wąsy.

– Macie rację, panie Vindroit, ruszajmy - odparł wreszcie młody rycerz.

– Tylko dokąd, panie Alanie? Do Rambures? - w głosie starego doradcy pobrzmiwał niepokój.

– Nie, skądże! Nie zostawię siostry i matki pod opieką Vaartbruta! Trzeba je jak najrychlej sprowadzić do domu.

– Jestem przekonany, że wasz ojciec, panie, postąpiłby tak samo. Na koń!

Komenda tchnęła na moment życie w zdziesiątkowany oddział. Wśród zgrzytu pancerzy i kilku jęków zbrojnic

zasiedli na powrót w siodłach. Nie było rozmów, nie było przekleństw, każdy przeżuwał w milczeniu swoją hańbę i żal. Ruszyli na wschód ku granicy flandryjskiej.

Pierwszy postój armii królewskiej został przez wielu przywitany z ogromną radością. Niektórzy byli jednak tak pochłonięci wizją zysku ze świeżo zdobytych łupów, jak również niepokojem o ich losy, że woleli maszerować dalej mimo wycieńczenia. Do takich przedsiębiorczych jednostek należał sir Tomasz Chaucer. Ze zniecierpliwieniem obserwował swoich łuczników, którzy leniwie układali się na rozwiniętych kocach i siadali na zwalonych drzewach. Patrzył, jak pomału wyprzęgali konie, które niemrawo wsadzały pyski w worki z obrokiem. Wreszcie nie mogąc nic na to poradzić, gdyż wypoczynek został zarządzony przez samego króla, usiadł ciężko na przydrożnym pniu. Ledwo zdążył poczuć zmęczenie w nogach, gdy zauważył kręcącego się przy wozie łucznika z gęsim piórem zatkniętym w wełnianą czapkę. Zerknął uważniej i ku swojemu zdziwieniu zorientował się, że krążący wokół łupów żołnierz nie należy do jego pocztu. Poczł wzbierające oburzenie na myśl, iż ktoś nikczemnego pochodzenia w tak bezczelny sposób może próbować pozbawić rycerza jego zdobyczy. Podniósł się żwawo i podszedł prędko do intruza.

– Z czyjego jesteś pocztu? - zaryczał niemal wprost do żołdackiego ucha.

Drab aż podskoczył lekko i zwrócił niepamiętające brzytwy oblicze na rycerza.

– Jestem sługą Cedryka Rainforda.

– Czyżby twemu panu nie dostawało zdobyczy, łachmyto? Mężczyzna wykrzywił twarz w grymasie niezrozumienia.

– Nie, nie sędzę, a dlaczegoż to pytaacie, wielmożny panie? - mimo braku rozeznania w sytuacji drab przyjął na wszelki wypadek uniżoną postawę.

– Dlaczego pytam? - ryknął sir Tomasz. – A dlaczegoż to wężysz perfidnie przy moim wozie? Może coś po drodze żeś zgubił i myślałeś, że akurat pod wóz spadło? Prowadź mnie do swego pana, rozmówię się z nim. Co za bezczelność, żeby świeży łup próbować mi na moich oczach ucapić - ostatnie słowa sir Tomasz wypowiedział, popychając łucznika w kierunku, z którego tamten przyszedł.

– Ależ, panie, ja tylko chciałem kogoś znaleźć, nie chciałem waszego łupu zabierać, przysięgam... - mężczyzna zdjął czapkę i tarmosząc ją wraz z przyczepionym do niej piórem, ukłonił się parokrotnie, ale popchnięty, zaczął iść ze spuszczoną głową.

– A kogoś tak szukał akurat tutaj?

– Szukałem pewnego giermka z pocztu pana Neville'a, mówiono mi na czele kolumny, że z waszym pocztem szedł pan Pitchfork i jeszcze kilku rycerzy. Wśród nich pewnie był ów człek.

Pan Tomasz przystanął.

– A jak się ów człek zwał i po coś go szukał? - zagadnął podejrzliwie.

– Bo... - mężczyzna zawahał się i wykręcił ściskaną w garściach czapkę, łamiąc pióro – bo go pan mój szukał, bo dług chciał odzyskać. A zwał go z francuska Guillaume. To jest giermka Neville'a tak zwał, nie mojego pana - sprostował żołnierz, widząc skrzywione oblicze pana Tomasza.

Jednak sir Tomasz nie spochmurniał za sprawą nieścistości wypowiedzi łuczника.

– Jakie twój pan ma interesy i układy z giermkim pana Neville'a, rzecz mi niewiadoma, ale to ci rzeknę, że żadnych długów teraz nie zbierzesz, bo odłączyli ci panowie od armii naszej. Przekaż tę wieść swemu panu. Choć jestem powiernikiem ich zdobyczego mienia, ani ćwierci groata, ani złamanego florenckiego miedziaka nie dam bez przytomności któregoś z Neville'ów. Jeśli to twemu panu nie w smak, to niech sam do mnie przyjdzie i się rozmówi, a nie wysyła swoje sługi, żeby mi wokół łupu węszyli - to powiedziawszy, sir Tomasz wejrzał jeszcze łucznikowi w oczy, jakby chciał się upewnić, że tamten wszystko pojął, a może chcąc siebie przekonać, że dobrze zrobił, wierząc jego słowom. Potem ruszył do swojego siedziska, a drab oddalił się, klnąc pod nosem i rzucając w błoto połamane pióro.

Dano już sygnał do zakończenia popasu, gdy niepokieszony wysłaniec wrócił do swoich. Cedryk Rainford bębnił palcami po szerokim stalowym pasie. Zabrano mu wóz i konia, maszerował więc w zbroi. Samo to wystarczyło, by popsuć mu humor. Ponadto nabrał z pola bitwy mało, co więcej, był przekonany, iż jego słudzy pochowali niektóre co ciekawsze znaleziska, a na domiar złego, miał dziurę w bucie i błoto między palcami. Widząc swego pana, Stephen Archer zwolnił kroku i jeszcze niżej pochylił głowę.

– No i co? Znalazłeś go?

Archer po cichu powtórzył słowa Chaucera. Potem armia ruszyła w dalszy pochód, ale nawet szczęk setek zbrój i kroki tysięcy żołnierzy nie były w stanie zagłuszyć przekleństw ciskanych przez Cedryka Rainforda. To było o pięć straconych funtów za dużo.

Ból pulsował regularnie od czoła i przesywał najodleglejsze zakamarki jej głowy. Gdy otwierała oczy, zdawało jej się, że czynność ta wymaga więcej wysiłku niż uniesienie zwodzonego mostu. Rozsiane tu i ówdzie rozmyte plamy utworzyły w końcu w miarę stabilny obraz. Siedziała przywiązana do drzewa na miękkiej usłanej opadłymi liśćmi ściółce. Nieopodal stał rozkulbaczony siwy koń wyskubujący uważnie co bardziej soczyste kępki trawy. Przekręciła nieco głowę. Ból przeszył ją z nową mocą, jakby ktoś dobił tkwiące między oczyma dłuto. W ustach poczuła zakrzepłą krew. Kiedy przestało ją mroczyć, ujrzała kolejny fragment krajobrazu. Między wysokimi bukami płonęło małe ognisko. Przy zeliwnym ustawionym na polanach kociołku krzątał się mężczyzna o trudnym do ustaleniu wieku. Siwe przycięte po rycersku do linii uszu włosy dodawały mu lat. Nie miał jednak wąsów ani brody, a jego sprężyste

ruchy sugerowały, że jest całkiem młody. Maria spróbowała coś powiedzieć, ale zamiast słów z jej ust wyleciała zakrzepła krew, a z gardła dobył się charkot. Mężczyzna zwrócił głowę w jej stronę. Dopiero teraz, ujrawszy niezwykle zielone oczy, pojęła, z kim ma do czynienia. Nagle wróciły straszne wspomnienia, a wraz z nimi sam strach. Huxley podszedł do niej powoli, ściskając coś w garści. Klęknął i podniósł rękę do jej twarzy. Odruchowo przymknęła oczy i odwróciła głowę.

– Ależ nie ma się czego obawiać, panno Rambures.

Poczuła na twarzy chłodny wilgotny materiał. Spojrzała ze zdziwieniem.

– Ja też uważam, że niezbyt fortunnie zaczęliśmy naszą znajomość, ale można temu jeszcze, jak sądzę, zaradzić - kontynuował łagodnym głosem Huxley.

Przemycie twarzy chustką przyniosło ulgę. Zajrzała bystro w spokojne oczy Haquelina. Nie było w nich widać nienawiści ani nawet złości. Pomyślała przelotnie, że może wyczytać w tych rysach nawet współczucie. Zaraz potem zrozumiała, że mogłaby z nich wyczytać dokładnie cokolwiek, bo były po prostu zimne i opanowane. Poczuła lęk.

– Nie sądzę... - odrzekła z przekonaniem.

Dalszy postój nie miał trwać długo. Huxley zdjął z ognia i oczyścił piaskiem żeliwny kociołek, następnie wsadził go do lnianej torby, zawiązał. Osiodłał konie, założył juki. Był to moment, w którym nie zwracał uwagi na związaną Marię. Ona zaś myślała intensywnie i obserwowała okolicę, zastanawiając się nad sposobem ucieczki. Nagle ku swojej wielkiej radości ujrzała przemykające między drzewami ludzkie postacie.

– Ratunku!!! Pomocy!!! - krzyknęła ile sił w płucach. Postacie przystanęły.

– Milcz! - warknął Huxley, podchodząc do drzewa, przy którym była związana.

Tymczasem spomiędzy buków wyjechało z wolna czterech konnych. Mieli na sobie kolczugi i brygandyny. Każdy miał broń boczna, a na głowie stalowy basinet, który dzięki brakowi zasłony dawał całkiem pokaźne pole widzenia. Stanęli na polance, uważnie obserwując Huxleya i Marię.

– Niech będzie pochwalony... - przemówił Haquelin, równocześnie stając tak, aby zbrojni nie mogli dokładnie zobaczyć dziewczyny.

– Pomocy, dobrzy ludzie! Ten człowiek więzi mnie wbrew mojej woli! - krzyknęła zza pleców Huxleya Maria.

„Dobrzy ludzie” spojrzeli po sobie nieco zdziwieni, po czym jak na komendę zsiadli z koni i podeszli bliżej.

– A cóż to? Więzicie niewiastę? - spytał jeden ze zbrojnych, wychodząc przed szereg. Na jego twarz wypląnął obleśny uśmiech.

– Jestem wysłany z woli jej ojca jako jej eskorta, a niewiasta jest krnąbrna i stąd cały ambaras. A wy cóż tu porabiacie, pewnie uchodzicie z pola bitwy? - głos Huxleya był jak zwykle spokojny, a nawet pojednawczy. Jednakże nie spuszczał ani na moment z oczu stojących przed nim żołnierzy.



– A postąpcie nieco na bok, byśmy się pannie przyjrżeli... - zaproponował zbrojny, a uśmiech na jego nieogolonej twarzy stracił jakikolwiek pozór wieloznaczności.

– Odjedźcie w swoją stronę. To córka pana Rambures, mistrza kuszników.

Na te słowa mężczyzna przestał się uśmiechać i spojrzał jakby pytająco na kompanów.

– Ale przecie pan Rambures nie żyje lub wzięty do niewoli, jak wszyscy, którzy stali w pierwszej batalii - odparł niespodziewanie jeden z drabów.

– Racja, Raul, racja... wychodzi jednak na to, że chcielibyśmy się dziewczce przyrzyć - najbardziej chwacki z kompanii odzyskał utracony na moment kontenans i postąpił w stronę czujnie obserwującego go Huxleya.

Był już dość blisko, gdy fechtmistrz przemówił cicho, ale twardo.

– Cofnij się, póki możesz. A dziewczki ci tu żadnej nie ma, jakoż i nie ma tu twojej matki.

Zbrojny przystanął na chwilę zdziwiony, po czym, najwyraźniej zrozumiawszy, postąpił energicznie w stronę Huxleya. Równocześnie położył dłoń na rękojeści miecza i zakrzyknął.

– Ty...

Huxley błyskawicznie wyprowadził lewy prosty na krtań i dalsze słowa zbrojnego zmieniły się w bełkotliwy charkot. Zanim plujący krwią żołnierz padł na kolana, a jego towarzysze zdążyli dobyć oręża, fechtmistrz trzymał już w obu rękach broń. Jedną z nich był jego własny miecz, drugą klinga, którą zdążył wyszarpnąć z pochwy osuwającego się na ziemię draba. Mimo przewagi zaskoczenia Huxley zdawał sobie sprawę z tego, że jego sytuacja jest marna. Walka z trzema zaprawionymi w wojaczce przeciwnikami stanowiła wyzwanie nawet dla niego. Świadom tego, postanowił działać zgodnie z zasadami sztuki. Zaatakował pierwszy, tnąc na nogę najbardziej wysuniętego na prawo zbrojnego. Mężczyzna sparował i uderzył na piętą, z góry. Huxley zszedł z linii ciosu jednym płynnym ruchem. Obszedł walczącego z nim zbrojnego, tym samym wykluczając na moment z walki pozostałych dwóch. Drab zaatakował długim ukośnym cięciem od dołu, próbując wykorzystać pozycję po nieudanym ciosie. W efekcie znów przeciął powietrze, a co gorsza, uniósł zbyt wysoko ramiona. Huxley zszedł niżej nogach, uderzył szeroko i płasko. Spod rozciętej, nieosłoniętej brygandyną pachy chlusnęła krew. Nim dwóch pozostałych zbrojnych zdołało dopaść do fechtmistrza i związać go na nowo walką, ich towarzysz leżał blady na ziemi, usiłując ostatkiem sił powstrzymać krwotok. Widząc poranionych towarzyszy, pozostali nabrali czujności. Nie starali się już za wszelką cenę dopaść Huxleya pierwszym ciosem. Zaczęli wykorzystywać przewagę. Atakowali tylko wówczas, gdy nie widzieli możliwości szybkiej kontry. Fechtmistrz próbował parokrotnie obejścia, by uwolnić się choć na moment od jednego z przeciwników. Na próżno. Nacierali ramię w ramię, spychając Haquelina coraz bardziej do brzegu polanki. Tymczasem Maria od jakiegoś czasu z całych sił usiłowała przetrzeć krępujący jej ręce powróż o pień buku, do którego ją przywiązano. Była roztrzęsiona. Przed chwilą na jej oczach zeszywniał uderzony w krtań mężczyzna. W głowie kołatała jej myśl, że jej ojciec być może zginął w bitwie. Próbowwała o tym nie myśleć. Sznur zgrzytał rozcierany

o pień. Poczula ciepło na nadgarstkach, a potem ból, nie przestała.

Fechtmistrz oddawał pole, nie mogąc przełamać natarcia. Miał na sobie jedynie przeszywanicę, przyjęcie ciosu na ciało nie wchodziło w rachubę. Przy kolejnym kroku poczuł pod stopą korzenie okalających polanę drzew. Wchodzenie tyłem w las było fatalnym pomysłem. Następną wymianą ciosów skończyłaby się zapewne bezowocnie, gdyby nie to, że Huxley postanowił za wszelką cenę przejść do kontrataku. Przyjął kolejny zadany z dużego dystansu cios lewą ręką, prawą zbił uderzenie na nogę i ruszył przed siebie. W dwóch małych, ale bardzo szybkich krokach dopadł jednego z drabów. Krótkie cięcie wyprowadzone z łokcia było nie do sparowania. Jednakże na nieszczęście dla Huxleya zbrojny w krytycznym momencie sam nastąpił na korzeń i runął plackiem między opadłe liście. Gdyby to była walka jeden na jednego, to poślizgnięcie stanowiłoby jej przedostatni epizod. Teraz jednak fechtmistrz znalazł się nagle w fatalnej sytuacji. Liczył na to, że trafiony przeciwnik zasłoni przez moment linię ataku swojemu towarzyszowi. Ten natomiast wykorzystał umiejętnie okazję. Ciął nisko na dociążone po ataku udo. Huxley wiedział, że nie zdąży sparować. Zamiast więc próbować, również wykorzystał nagle skrócenie menzury i pchnął lewą ręką, mierząc tuż pod linię hełmu. Klinga fechtmistrza weszła głęboko w oczodół draba. Jednak nawet śmierć nie zdołała zatrzymać wyprowadzonego ciosu. Siła zadanego prawie bezwładną ręką uderzenia nie była na tyle duża, aby rozciąć przeszywanicę i skaleczyć poważnie nogę. Huxley wykonał zwinnie piwot, ustawiając stopy między korzeniami, i równocześnie przyspilił do ziemi próbującego wstać zbrojnego. Spojrzał na rozcięty spód pancerza. Ostrze ledwie zahaczyło o udo. Zerknął w stronę polany i zaklął. Powróż ustąpił i Maria rzuciła się co tchu w stronę przywiązanych koni. Niestety, zdrętwiałe kończyny odmawiały posłuszeństwa. W efekcie to, co miało być pędem ku wolności, zamieniło się w pełen potknięć przyspieszony chód.

– Stój! - wrzasnął Huxley i nie licząc przesadnie na reakcję, puścił się biegiem przez polanę.

Fechtmistrz zbliżał się bardzo szybko, jednakże panna Rambures była już bardzo blisko koni. Nie zwracała uwagi na groźne okrzyki i zniewagi rzucające pod jej adresem. Odwiązała swojego wierzchowca. Włożyła drżącą z wysiłku i nerwów stopę w strzemień. Wprawnie oparła rękę na łęku. Wybiła się i zaczęła przekładać nogę nad końskim zadem, gdy poczuła silne szarpnięcie. Zrzucił ją na ziemię jednym energicznym ruchem bez najmniejszego trudu. Gruchnęła o ściółkę i na powrót otoczyła ją ciemność.

Przebudzenie było jeszcze gorsze niż ostatnim razem. Przywiązano ją do tego samego drzewa co wcześniej. Tym razem więzy spleciono tak mocno, że ledwo czuła krew krążącą w dłoniach. Huxley stał nad nią, czekając, aż dojdzie trochę do siebie.

– Ciekawaś była, co będzie, co? Starczy ci już czy będziesz dalej próbowała? Spojrzała w bok i ścisnęła usta.

– Patrz na mnie, jak do ciebie mówię! - w głosie Huxleya pobrzmiwała groźba, tym dotkliwsza, że wypowiedziana

spokojnie.

Wokół zuchwy panny Rambures zacisnęła się mocno dłoń fehmistrza. Obrócił jej twarz ku swojej. Trzymał ją bardzo mocno. Pomyślała, że mógłby jej złamać kość gołą ręką, gdyby tylko chciał.

– Więc jak, będziesz dalej próbowała uciekać? Jakby co, to mogę jeszcze trochę ścisnąć ten powróż i jeszcze dorzucę knebel. Co ty na to? Maria pokręciła nieznacznie prawie unieruchomioną głową.

– Dobrze... - Huxley zwolnił pomału uścisk, ale dalej świdrował Marię wzrokiem.

– Zresztą sama z pewnością potrafisz wyciągnąć dobry wniosek z tego, co tu zaszło. Gdyby nie ja, tych czterech jurnych chwatów miałyby z tobą nie lada uciechę. Zapewniam cię, że po okolicy panoszy się więcej takich zmęczonych wojaczką żołnierzy.

– Zaiste, bardzo to z twojej strony rycerskie, że tak dbasz o moją cześć. Prawie gotowam uwierzyć, żeś jest szlachcicem, i to skorym do mojej obrony.

Przez twarz Huxleya przemknął grymas rozdrażnienia, ale szybko zastąpił go lekceważącym uśmiechem.

– Jestem szlachcicem i wychodzi na to, że masz we mnie obecnie obrońcę, nawet jeśli działam wbrew twojej woli. Radzę ci już więcej nie kpić ze mnie, panno Rambures.

Intuicja podpowiedziała Marii, że rada była jak najbardziej szczerą. Huxley opatrzył sobie wprawnie udo, przerzucił bagaże na jednego ze świeżo zwolnionych wierzchowców, po czym wyruszyli, zostawiając za sobą trzy osiodłane konie i rozrzucone między bukami ciała.

Strażnik klejnotów, pierwszy pokojowiec, a zarazem powiernik pieczęci księcia Burgundii Filip Munier, zwany Jossequinem, był zdenerwowany. Przyszedł do rezydencji swojego pana nie w porę. Jan bez Trwogów nie zdążył jeszcze przebrać się po polowaniu, więc oczekujący jego nadejścia dworzanie stali stłoczeni w sali audiencyjnej. Munier nie lubił tłumów, a ludzie, którzy otaczali go w tej chwili, byli znacznie gorsi od zwykłej cizby. Dwóch zniecierpliwionych szambelanów rzucało mu pełne pogardy spojrzenia. Przekaz był na tyle jasny, że nie musieli nic mówić, a brzmiał: „Kto wpuścił tego parweniusza na dwór? Dlaczego książę darzy go takim zaufaniem?”. Munier odwrócił od nich spojrzenie i natrafił na wzrok młodego pazia, który po naukę dworskich obyczajów przyjechał aż z Bawarii. Nie było to dziwne, ludzie z dużo odleglejszych zakątków kontynentu wysyłali swoje potomstwo, by nabrało obycia na słynnym dworze Burgundii. Niebieskooki chłopak o równo przyciętych na wysokości podbródka włosach uśmiechał się przyjacielsko.

„Widać, jeszcześ o mnie nie słyszał - pomyślał Jossequin, ocierając nerwowo pot z czoła. – Ciekawym, jak się będziesz uśmiechał za parę dni, jak opadną cię te błękitnokrwiste sępy. Od razu odwrócisz wzrok od dobrego książęcego sługi” - dodał w myślach z rosnącą irytacją.

– Witajcie panie, czy to wy zaś jesteście Filip Munier? - zagaił niespodziewanie paź. W jego poprawnie złożonej wypowiedzi pobrzmiwał twardo brzmiący zagraniczny akcent.

– Tak, to ja. - Jossephine zmieszał się nieco nieprzygotowany na zaczepkę.

– Gdy jechałem na dwór, minąłem w Dijon piękny dom, zwany, jak mi powiedziano, Petit Hôtel Neuf. Cóż za skromna nazwa dla tak wspaniałej siedziby! Skoro tylko dowiedziałem się, że dom ten należy do wiernego poddanego księcia Jana, pomyślałem od razu: wspaniały musi być to pan, który tak hojnie nagradza swoje sługi.

Słyszając te słowa, jeden z szambelanów parsknął pogardliwie. Munier rzucił mu wściekle spojrzenie, ale zaraz potem na jego twarz wrócił spokój. Ostatecznie miał piękny dom, a pan obiecał mu już kolejną zącą pensję. Nie potrzebował klótni z ludźmi, którzy mimo lepszego urodzenia musieli często bardziej zabiegać o mniejsze fawory. Na dalsze głaskanie własnej próżności nie było już jednak czasu gdyż do sali wszedł Jan bez Trwogi. Kilkanaście głów opadło w ukłonie. Po księciu jeszcze było widać, że całkiem niedawno wrócił z łowów. Na twarzy bił mu rumieniec, a w oczach tliła się radość - uwielbiał polowania. Jedwabna zielona houppelande falowała lekko przy każdym jego kroku. Wyhaftowane złotą nicią na rękawach liście dębu przykuwały wzrok dworzan. Ich jak zwykle wspaniały suweren zaszczycił ich w końcu swoją obecnością i wynagrodził pięknym strojem długie oczekiwanie. Tym większe nastąpiło rozczarowanie, gdy nagle drzwi do sali audiencyjnej otworzono na oścież i stanął w nich zaaferowany odźwierny. Książę obrzucił sługę lodowatym spojrzeniem.

– Kapitan Oudenaarde, pan Baudouin Olivier, z bardzo ważną nowiną do najjaśniejszego pana - odźwierny przełknął głośno ślinę, widząc nachmurzone oblicze Jana bez Trwogi.

– Niech wejdzie, mam nadzieję, że sprawa nie cierpi zwłoki co najmniej w równym stopniu, jak ja nie cierpię zakłócania spokoju tego dworu. Sługa złożył krótki ukłon i cofnął się ku drzwiom. Po chwili do sali audiencyjnej wkroczył ubrany w podróżne szaty mężczyzna. Przy każdym kroku zostawiał ślady z ociekającego po cholewach błota. Po twarzy ciekł mu pot i z trudem łapał oddech. Jossequin przeczuł, że nie dane mu będzie tego dnia przekazać księciu dobrej wieści. Nie mylił się.

– Książę! - zakrzyknął posłaniec. Następnie wziął głębszy wdech i dopiero podjął przemowę:

– Armia królewska zniesiona! Pod Azincourt, w Artois, na drodze do Calais, leży pobity kwiat francuskiego rycerstwa! Zapadło milczenie, w którym słycać było jedynie świszczący oddech kapitana Oudenaarde.

„Kwiat rycerstwa pobity, znaczy się sterczałem tu po próżnicy” - pomyślał Jossequin potrafiący mimo strasznych wieści zachować chłodny umysł.

– Klęska straszliwa, tysiące zabitych, wśród nich: konetabl i książę Alençon! Książę Karol z Orleanu wzięty do niewoli!

Wieści te bynajmniej nie zasmuciły zebranych, przeciwnie, radzi byli, że ci ważni przedstawiciele wrogiego armaniackiego obozu zostali usunięci. Zdyszany Flamand budował tylko napięcie albo chciał osłodzić znacznie posępniejszą wiadomość.

– Książę! Legł też Antoni książę Brabantu i Filip hrabia Nevers!

Słowa przeszły przez salę jak piorun, dworzanie zerknęli z przestraszeniem na księcia, znając jego porywczosć.

Jan bez Trwogi pobladł w mgnieniu oka i usiadł na pobliskim krześle.

– Obaj moi bracia legli, powiadasz? - wypowiedział cicho, z trudem składając słowa.

– Obaj... - potwierdził, spuszczać głowę pan Baudouin.

– Kto jeszcze?

Księżę patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, w żadnym razie nie wyglądał, jakby miał uważnie wysłuchiwać dalszego wyliczania. Jednak kapitan odpowiedział.

– Ogromna liczba panie. Z tych, których będzie nam najbardziej brakowało: Jean de Croy, Jacques de Heilly, Jean, pan Bois i Annequin, Wicart de Bourse, Antoine de Craon...

Na twarzach dworzan odbijał się narastający smutek. Niektórzy spoglądali z obawą na milczącego i nieobecnego pana. Inni, słysząc nazwiska przyjaciół, pochylali głowy i płakali.

– Mistrz kuszników Dawid Rambures wraz z trzema synami, Jean de La Hamaide, Robert de Wavrin... - Flamand wypowiedział powoli kolejne imiona, nazwiska i tytuły.

Gdy już wymienił ważniejszych poległych, przeszedł do pochwyconych w niewolę. Tym razem lista również była długa, a wspominał tylko o ludziach najsilniej związanych z burgundzkim dworem. Gdy zamilkł, nastąpiła taka cisza, że słychać było skwierczenie knotów świec. Przerwał ją dopiero płacz Jana bez Trwogi. Zawtórowali mu dworzanie, zawsze skorzy do - często udawanych - wzruszeń. Tym razem jednak poruszenie było dla wielu autentyczne. Dla niektórych był to dobry moment do wyrażenia obawy o swoją przyszłość, dla innych zupełnie naturalny smutek spowodowany utratą kogoś bliskiego.

Nadchodził listopad. Po wsiach przygotowywano ostatnie zapasy na zimę i zaczęto świniobicie. Mało kto podróżował, więc Jakub Martyre wraz ze swoimi sługami mógł się zająć wyłącznie gospodarstwem. Naprawiono drzwi do obory, połatano chlewik i kurnik, do którego ostatnimi czasy szukały dostępu przyciśnięte głodem lisy. W końcu przystąpiono do dawno pomyślanego przedsięwzięcia: budowy nowej szopy. Dwa dni po Wszystkich Świętych blade słońce wyjrzało zza chmur i ustał nieprzyjemny zimny wiatr. Odślonięto więc złożone w sześcian, przywiezione aż z Tournai bloczki i zaczęto robotę. Jakub Martyre zawsze doglądał ważniejszych prac w swoim obejściu, a w tych, które mu szczególnie leżały na sercu, brał udział osobiście. Tak też planował zrobić tym razem. Już zmierzył krokami i odznaczył konopnym sznurkiem obwód budynku. Już wyciągnął z płóciennego worka świeżo odebrane z kuźni narzędzia. Już miał położyć pierwszy bloczek, gdy nagle przybiegł podekscytowany sługa, oznajmiając, że przybyli jacyś podróżni. Dawniej Martyre jako dobry gospodarz na każdego przyjeźdnego patrzył z radością, widząc w nim klienta. Po ostatnich wydarzeniach zaczął się jednak zastanawiać, czy nie zarzucić prowadzenia

karczmy na rzecz hodowli świń lub bartnictwa. Ostatecznie przeklął pod nosem i cisnąwszy szpachlę, ruszył do izby. Mimo wszystko był nadal człowiekiem interesu. Stał się niemrawo za szynkwasem. Jedno spojrzenie na podchodzących gości pozwoliło mu stwierdzić, że mają nabite kabzy, pochodzą z daleka i wiedzą, co robić z zatkniętymi za pasy kordami.

– Witajcie! - rozbrzmiało głośno wypowiedziane ze śpiewnym akcentem powitanie.

Ciemnoskórą twarz pierwszego z gości zdobił podejrzenie szeroki uśmiech. Mężczyzna był dość korpulentny, ale cienki wełniany płaszcz przerzucony wokół ramion utrudniał dokładne oszacowanie jego gabarytów. Mógł być pulchnym kupcem, jak sugerowało okrągłe, ozdobione niewielkim wąsem oblicze. Mógł równie dobrze mieć budowę przysadzistego zapaśnika. Kimkolwiek był, jego towarzysz wyglądał przy nim jak tyczka. Niewiele wyższy, ale bardzo szczupły, stał spokojnie, rzucając wokół nerwowe spojrzenie małych ciemnych oczu. Martyre w lot zrozumiał, że ludzie, którzy przed nim stoją, poruszą śmierdzący temat, miał tylko nadzieję, że nie spytają o bloczki, które posłużyły ostatnio zabójcy do obciążenia topionych zwłok.

– Witajcie, panie. Zapewne długa droga za wami, spoczniście, proszę - odparł z rezerwą karczmarz. Uśmiech nie zniknął z twarzy cudzoziemca, ale grzecznie odmówił gestem.

– Ależ przeciwnie! Droga nasza krótka, gdyż przybywamy z Noyon! Zatem spoczynku nam nie trzeba. Przepłuczemy jedynie gardła ciepłym przyprawionym winem i pojedziemy dalej.

Na twarzy Martyre'a zagościła iskra nadziei.

„Może jednak nie będą pytali” - pomyślał, odszpuntowując niewielką dębową beczułkę.

– Powiedźcie jeszcze tylko, panie karczmarzu, czy nie było tu niedawnymi czasy pewnego szlachcica nazwiskiem Rouecourt. Gospodarz westchnął ciężko, po czym zwrócił się do gości, stawiając przed nimi drewniany kubek.

– Był...

– Azali był tu może człek zwący się Huxley lub Haquelin? - ciągnął dalej podróżnik, uważnie obserwując gospodarza.

– A tego panie nie wiem, może jakbyście...

– Wzrostu mojego kompana, jeno nieco tęższy, siwa czupryna, zapewne broda i wąs, oczy zielone, na pewno byście spamiętali, osobliwy to bowiem człek, choć zgoła nieszukający rozgłosu.

– Był. Zaiste, osobliwy...

Drugi kubek wylądował z głuchym stukotem na blacie. Przybysz nadal uśmiechał się życzliwie.

– A wiecie, gdzie go można znaleźć?

– Kogo panie, Rouecourta czy Haxque... jak go tam zwaliście.

– Huxleya, karczmarzu... wiadomo mi gdzie znaleźć Rouecourta, jako że odwiedziliśmy z bratem cmentarz przy zakrystii w Noyon...

– Nie wiem, panie, nic ponadto, że wraz z jakimś możliwym panem ruszył na północ. Uśmiech przybysza nieco przygasł.

– Z jakim panem, pamiętacie?

– Oj... chyba mu było Rembourse... czy jakoś tak... - zawahał się karczmarz.

– No dobrze, a ów możliwy był sam czy ze świtą? – indagował cudzoziemiec.

– O, panie! Z całym poczem ci tu przybył, ale po prawdzie to straszne powsinogi, nakradli mi sprzętów, że chyba musieli świeczkę świętemu Mikołajowi postawić, że im tak poszczęścił.

Cudzoziemiec słuchający do tej pory z dobrodusznym uśmiechem, zmarszczył teraz brwi w wyrazie głębokiego niezrozumienia.

– Co mówicie? A cóż ma do tej historii święty Mikołaj?!

– Jak to co? - odparł nie mniej zdziwiony karczmarz. – Przecie to patron złodziei.

– Nie może to być, żeby zaś święty złodziejom patronował, coś żeście chyba pomieszali, panie gospodarzu...

– Nie pomieszałem, jeno wy widać o świętych mało wiecie. Każda profesja ma swojego świętego, tak to już sobie Bóg pomyślał.

Martyre wyjął lekko wargi jak człowiek, którego sprawdzone wieści podawane są w wątpliwość. Śniadoskóry gość poczuł, że teraz jemu rzucono wyzwanie.

– Wiem, że Mikołaj to zacy święty, który w opiece swojej ma żeglarzy, rybaków, właścicieli lombardów i bodajże małych chłopców... U nas w kraju na południu, w Bari, jest nawet sanktuarium, w którym spoczywają wyrwane Saracenom relikwie od tego świętego męża pochodzące. Ale, żeby on złodziejom patronował, to mi się wydaje niemożliwe...

– Alberto... - odezwał się w końcu milczący do tej pory gość tonem nagany.

– Ach, tak... Zostawmy to zresztą. Może i stawiali mu świeczkę, może i on sam dopomógł im w plądrowaniu waszego obejścia, mniejsza z tym. Dość, że było ich wielu i że ruszyli na północ. Bądź zdrów karczmarzu, z Bogiem.

– Z Bogiem - odparł Martyre gotów dalej bronić swojej hagiograficznej koncepcji w ogniu dyskusji.

Na blacie zakręciło się z brzękiem parę miedzianych monet i mężczyźni odeszli. Gdy byli już za progiem przysadzisty wybuchnął gromkim niskim śmiechem.

– Słyszałeś, Luigi, te brednie!?! Złodziejom, przedstaw sobie, patronuje święty Mikołaj - mężczyzna płakał ze śmiechu, a idąc, ścisnął brzuch. Jego kompan pozostał jednak zimny jak lód.

– A to ci dopiero! Mają tu ludziska wyobraźnię, nie ma co! Już nie żałuję, żeśmy tu przyjechali! Ha, ha, a jaki był pewny swego, widziałeś? Słuchaj Luigi, ale jeśli to prawda? - mężczyzna przystanął i spróbował na moment przybrać poważny wyraz twarzy, ale mówiąc kolejne zdanie, posapywał z wysiłku, by powstrzymać atak rozbawienia.

– Bo wiesz... tak sobie teraz pomyślałem, że skoro złodzieje mają swoich patronów, to może my też! Co ty na to braciszku?

– Wątpię - odrzekł sucho Luigi i z posepną miną wdrapał się na stojącego przy płocie konia.



### Rozdział 3

*Najdroższy panie Bertrandzie!*

*Słowa, które dyktuje mi sama Miłość, piszę w wielkim smutku. Nikt chyba na całym świecie nie tęsknił tak za ukochanym, jak ja tęsknię za Wami teraz, jestem tego całkiem pewna. Zamknięto mnie tu z mą czcigodną matką w ponurym zamczysku człowieka, którego odpychająca aparycja i brak wdzięku w mowie są dla mnie karą gorszą niż zamknięcie w owym zamku. Gdzie jesteście, najdroższy? Czyście żywi, panie Bertrandzie?! Nie potrafię bez Was żyć, niczym słowik nie mogący żyć bez swych treli lub róża bez swej łodygi. Jestem tu i czekam, wspominając słodycz chwil minionych. Być może wyda Wam się nieprzystojne, by niewiasta w tak żarliwych słowach rozprawiała o stanie swojej duszy. Być może wyda Wam się niestosowne, że rozprawia wpiśmie, używając sztuki właściwej wszak uczonej mężom, lecz nie dbam o to. Nie dbam o to, najmilszy panie Bertrandzie, a jedynie o Was. O Was i oczywiście o matkę, o siostrę, o braci i o ojca, i o Boga. Bo kimże bym była, gdybym o nich nie dbała? Lecz ja dbam o to wszystko, panie Bertrandzie, więc nie myślcie, proszę, że nie stała i nieznająca czci dla porządku ludzkiego i boskiego. Nie myślcie tego, bo popełnicie omyłkę, a przy tym wyrzadzicie krzywdę tej, która kocha Was z całych swoich sił. Za oknem nastał chłód, lecz nie ostudzi on, nie lękajcie się, żaru mego serca. Jedynie przyjedźcie tu już po mnie, panie Bertrandzie, bo źle mi tutaj. Tutaj, czyli na zamku pana Vaart- bruta, co niniejszym piszę, byście wiedzieli, gdzie mnie szukać. Nie wiem tylko, czy uda mi się wysłać stąd zaufanego gońca. Ale już czuję, że niepotrzebnie to ostatnie napisałam, tak jak ostatnio, gdy pisałam. Lecz wszystko to dlatego, że za Wami już bardzo tęsknię, i boję się, że Wam się coś strasznie stało, i bardzo pragnę Was ujrzeć, i podzielić się z Wami wszystkim, co mnie otacza i o czym myślę.*

J.

Wyprostowała się nad niewielkim składanym pulpitem swojej matki i westchnęła. Odłożyła gęsie pióro i rozejrzała się rozmarzonym wzrokiem po komnacie. Niestety, kamienne wnętrza i kolorowa mozaika drewnianych płytek na podłodze nie miały w sobie nic godnego uwagi. Podeszła do okna, wzdychając, i wyjrzała na dziedziniec. Wszystko wyglądało niemal identycznie jak co dzień. Krzątania służby, dym i hałas dobiegające z kuźni. Uciekająca młodemu pacholce kuchennemu kura. Z westchnieniem odeszła od okna i stanęła przy naszykowanej balii. Już miała klasnąć w dłonie, by przywołać służkę, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Po cóż miała odbierać sobie na własne życzenie jedną z tak rzadkich ostatnich czasy rozrywek. Rozplątała sięgający pośladków warkocz i zamoczyła głowę.

Namacala dzbanek ze starannie przygotowaną mieszanką białka, popiołu i tłuszczu. Wcierała długo i skrupulatnie, centymetr po centymetrze, myśląc o marności swojego położenia.

– Panno Julio, panno Julio, nie potrzebuje panna asysty?! - rozległ się przytłumiony głos służki zza drzwi.

– Nie, nie, poradzę sobie sama, Krystyno.

Pokaźnych rozmiarów gruda mieszanki spłynęła na podłogę, zaraz potem dołączyła do niej następna.

– Krystyno!

– Tak proszę pani?

– Pomocy!

Drzwi ustąpiły i młoda służka przybiegła z odsieczą. Wprawnym ruchem zawinęła włosy, by tworzyły w miarę spójną całość, nadstawiła balię z wodą i usadowiła pannę na skraju łoża. Już po chwili sytuacja została całkowicie opanowana. Krystyna zręcznie rozczesywała gęste włosy panny Julii drewnianym grzebieniem zdobionym w wycięte prostokąty. Od kiedy rozstały się z siostrą, Krystyna, mimo niskiego pochodzenia, stała się dla Julii najbliższą przyjaciółką. Panna Rambures rozmawiała z nią z całkowitą szczerością.

– Chyba nie wytrzymam bez pana Clermonta. Tutaj nie dzieje się nic ciekawego. Tylko ten wstrętny Vaartbrut przysłał mi nowe suknie. Myślałby kto, że chce zdobyć mnie, a nie moją siostrę.

– Ehm... z tego, co wiem, pani Anna również dostaje suknie.

– Ojciec by się wściekł.

– Ehm... z tego, co wiem, to nie takie znowu szczególne wydarzenie, żeby pan Rambures wpadł w gniew.

Julia spojrzała na nią z lekkim wyrzutem, lecz po chwili pomyślała, że nie ma sensu dąsać się na jedyną siostrzaną duszę w okolicy.

– To prawda, że pan ojciec bywa porywczy, ale za nim też już strasznie tęsknię i za braćmi... no i oczywiście za Marią. Zapadła nieprzyjemna cisza, którą przerwała wreszcie służka.

– Jak chcecie dziś, pani, ułożyć włosy? Czy zapleść warkocz jak zwykle?

– Tak... albo nie. Czy znasz ten modny ostatnimi czasy sposób *à cornes*<sup>[3]</sup>?

Krystyna zarumieniła się lekko, oczy jej pojaśniały.

– Znam, ale...

– Żadnych „ale”, dobrze wiem, że moja siostra miała wszystko, czego do tego potrzeba. Przybory powinny być w jej skrzyni. Weźmiesz je i uczeszysz mnie *à cornes*. Nie patrz tak, tylko idź.

Przy niewielkim dębowym stole pan Vaartbrut wraz z panią Anną Rambures jedli śniadanie. W pomieszczeniu rozchodził się delikatny zapach lawendy, ulubionych perfum matki Julii.

– Jesteś spóźniona, moje dziecko - cierpkim słowem matki nie towarzyszyło nawet spojrzenie.

Pani na zamku Rambures siedziała wyprostowana przy suto zastawionym stole. Naprzeciw niej skulony nad kurczakiem Vaartbrut obrócił głowę w stronę nadchodzącej Julii. Na pulchną, umorusaną tłuszczem twarz wypłynął łagodny uśmiech. Panienka odsunęła głośno krzesło i usiadła. Dopiero ten hałas zdołał sprowokować chłodne spojrzenie matki.

– Cóż ty masz na głowie, moja droga? - spytała, krytycznie marszcząc brwi pani Anna.

Starannie ułożone w dwa trójkątne różki włosy okryte były odpowiednio uformowanym aksamitnym czepcem. Całość podtrzymywała gęsto zapleciona metalowa siatka.

– To moja nowa fryzura, matko - odparła niedbale Julia, sięgając po udko kurczaka.

– Bardzo modna i elegancka, jeśli wolno mi coś wtrącić - zawyrokował rozpromieniony Flamand. Pani Anna zerknęła spod zwężonych powiek na Vaartbruta.

– Dziękuję w imieniu córki za ten szczodry komplement. Odczytuję go jako próbę wybawienia jej z niezręcznej sytuacji, w której się postawiła, przychodząc na wspólny posiłek nieprzystojnie uczesana. Teraz, moja droga, pójdziesz się przebrać i wrócisz, jak już będziesz gotowa.

Na twarz młodej panny uderzył rumieniec nie tyle pokornego wstydu, ile zaciętości.

– Już nawet nie mogę nosić modnych fryzur?! To może lepiej bym zrobiła, uciekając tak jak Maria!

– Kochanie, nie ośmieszaj się ponad miarę i idź się uczesać, jak przystoi niewieście w twoim wieku.

– W moim wieku? To znaczy w jakim wieku, matko? Powinnam już być zamężna i byłabym niechybnie, gdyby nie moja ślamazarna siostra - Julia oddychała szybko i mówiła zdecydowanie zbyt głośno. Dopiero po chwili spojrzała na matkę. To ją nieco ostudziło.

– Natychmiast idź się uczesać. Nie będziesz dziś śniadać, skoro nie potrafisz zasiąść do stołu. Porozmawiamy później - zakończyła dyskusję dobitnie lodowatym, choć spokojnym głosem pani Anna.

Julia fuknęła jak zamoczona kotka, po czym wstała i wyszła.

– Proszę wybaczyć, jest w trudnym wieku.

– Czyżby?

Vaartbrut zdobył się w końcu na zabranie głosu.

– Nie bardzo rozumiem - odparła chłodno pani Anna.

– No cóż, poeci mawiają, że po dwudziestej piątej wiosnie niewiasta wkracza na pustynię miłości... Pani Rambures odczekała z odpowiedzią dość długo, by Flamand zdążył pożałować swoich insynuacji.

– Jak sądzę, oboje zgadzamy się co do tego, że nie tylko żadnej z moich córek nie grozi pustynia miłości, ale że jedna z nich stoi już właściwie u progu miłosnego ogrodu, którym jest małżeństwo. Dokładnie jedna, panie Jakubie...

– Ależ, oczywiście... - odburknął Flamand, skupiając na powrót uwagę na kurczaku.

Dość szybko uporał się z posiłkiem i spojrzał wyczekująco na towarzyszkę biesiady. Pani Anna zdążyła już zapoznać się ze zwyczajami biesiadowania Vaartbruta. Stosował taktykę: napchać brzuch jak najszybciej i odejść. Pani Anna nie zamierzała jednak być tego dnia pobłażliwa. Skubała swojego kurczaka drobnymi kęsami, robiąc często przerwy, by dokładnie przyjrzeć się czemuś w strukturze mięsa. Vaartbrut kręcił się na krześle i sapał lekko. Parę razy powstrzymał z ogromnym wysiłkiem beknięcie. Wstanie od stołu byłoby jednak zbyt grubą impertynencją, czekał więc niecierpliwie. Pani Rambures zrobiła małą przerwę przed zjedzeniem ostatnich kilku kawałków na dopicie swojego wina. Każdy łyk smakowała, tak jakby dość przeciętnej jakości wino, które jej podano, było najlepszym towarem z Burgundii. Flamand spotniał jak na mękach, ale nie zdobył się na odejście od stołu. Tortury dobiegły po jakimś czasie końca i sługa zabrał ostatni talerz.

– Dziękuję za wspaniały posiłek, panie Jakubie, polubiłam te nasze wspólne śniadania. Będzie mi ich brakowało, gdy już wrócę do domu. A mówiąc już o tym, nie ma przypadkiem żadnych wieści?

– Nie, pani, ale oczywiście pójde zapytać ponownie. Posiłek z wami jest dla mnie również wielką przyjemnością - Vaartbrut uśmiechnął się niewyraźnie.

Sklonił się lekko, po czym syknął ukłuty bólem w jeszcze nie do końca wyleczonych żebrach. Potem wyszedł. Dopiero gdy już dzieliły go od jadalni dwie komnaty i kręte schody, dał upust tamowanej wściekłości, klnąc i kopiąc mijane sprzęty. Nim wyszedł na dziedziniec, był już spokojny. Ostatecznie nie miał znowu aż takich powodów do złości. Panował nad sytuacją, a owe drobne złośliwości były nieistotne. Wyszedł z wysiłkiem na mury, wołając już od schodów.

– Eelke! Eelke, gdzie jesteś, do cholery?! Nie chce mi się do ciebie gramolić, zejdz do mnie.

Z góry schodów dobiegły dźwięki kroków i po chwili przed spoconym Vaartbrutem stanął kapitan straży zamkowej Eelke Heynstra.

– Witaj, panie!

– Tak, tak, witam. Jakieś wieści? - ponaglił bezceremonialnie Vaartbrut.

– Jak codziennie już od kilku dni. Cała okolica trąbi o wielkiej porażce armii francuskiej - odparł żywo zbrojny.

– Dobrze. Pilnujesz wszystkich, by trzymali gęby na kłódki?

– Naturalnie. Powiedziałem moim ludziom i służbie, zresztą niewiele osób na zamku zna francuski. W promieniu kilku mil nasi goście są jedynymi ludźmi, którzy nie słyszeli jeszcze o Azincourt.

– I tak ma być. A jakieś wieści o Ramburesie, o jego synach lub córce? - Na twarzy Vaartbruta zagościło napięcie.

– Jelle coś dziś opowiadał, gdy przyjechał z transportem. - Zbrojny uniósł potężną osłoniętą zbrojnikami rękę wskazując na dziedziniec.

– Tak? A pojechał już czy jeszcze jest?

– No nie wiem, panie, chyba się właśnie będzie zabierał z powrotem do warsztatu, spróbuję go jeszcze złapać, jeśli

wola.

– Biegnij, a jakże, złap go, Eelke, i powiedz mu, że z nim pojedę. Mam i tak do pomówienia z jego ojcem.

– Dobrze, panie.

Po tych słowach kapitan minął, nie bez pewnych problemów, swojego pana w przejściu i pobiegł przed bramę. Udało się złapać młodego kupca, zanim ten odjechał. Niedługo później wsadzono Vaartbruta na wóz, co godnie zastąpiło wcześniejszy ładunek, na który składały się bale świeżo utkanego płótna. Strzelił bat i niepokieszone woły ruszyły w drogę powrotną do warsztatu.

Wóz podskakiwał co chwilę na drobnych nierównościach. Każdemu podskokowi towarzyszył lekki syk Vaartbruta, któremu boleśnie przypominały o sobie żebra. Dwóch czeladników położyło się z tyłu, wykorzystując w pełni chwilowy brak zajęcia. Jakub spojrział na powożącego chłopaczka.

– Ile właściwie masz wiosen, Jelle?

– Będzie ze szesnaście, stryju...

– Jak ten czas szybko leci... pamiętam, jakby to było wczoraj, jak latałem z twoim ojcem po tych polach z kiejem. Goniliśmy dzikie gęsi. Chcieliśmy być rycerzami, wiesz?

Chłopaczek uśmiechnął się cokolwiek nieszczerze.

– No, oczywiście twój ojciec nie mógł raczej zostać rycerzem jako bękart... Ale marzyć zawsze można.

– Taaa... - Jelle zerknął kątem oka na Vaartbruta.

– A jak się wam wiedzie, stryju, w stanie rycerskim... chyba nie najlepiej? Czemu tak syczycie jak pogoniona gęś?

– Ech, Jelle, Jelle...

Jakub przyciągnął chłopaczka i potarł mu mocno włosy. Dla Jelle był to nieomylny znak, że udało mu się dopieć stryjowi. Po chwili wyłoniły się przed nimi zabudowania wsi, w której mieścił się okazały warsztat tkacki Jana Vaartbruta. Minęli niewielki cmentarzyk, przykryty jak kołdrą schnącym rozwieszonym płótnem. Wjechali do skromnej wozowni. Czeladnicy, wzdychając, zeskoczyli na ziemię i zaczęli wyprzęgać woły. Jelle pomógł zejść stryjowi z wozu, po czym ruszyli w głąb warsztatu. W przedsionku minęli kilka kobiet zajętych czesaniem naszykowanej wełny. Dalej kolejna grupa nakładała kądziele na wrzeciona. Inne tkaczki obsługiwały okazałych rozmiarów krosna. W kolejnym pomieszczeniu folusznicy spłinali utkaną płótna w glinianych kadziach, inni rozwieszali je na hakach na pobliskim cmentarzu, by nie zapełniać ciasnej przestrzeni w samym warsztacie. Wyszli na zewnątrz. Płótna, które zdążyły wyschnąć, były teraz badane przez dwóch eswardeurów. Mężczyźni, z których jednym był sam właściciel, pieczołowicie obserwowali piędź po piędzi każde płótno, zanim wydali polecenie zrolowania go w okazałą belę na przygotowanych wcześniej deskach. To od ich werdyktu zależały dalsze losy w mozole

szkowanymi materiałami. Kilka gotowych partii płótna stało już opartych o ścianę, czekając na transport lub przeniesienie do magazynu.

– Witaj, Janie.

– Witaj, Jakubie.

Mężczyzna przekazał trzymany w ręce fragment płótna drugiemu eswardeurowi i uściskał gościa.

– Cóż cię sprowadza, Jakubie? - spytał Jan, zerkając jeszcze ukradkowo na ręce swojego doświadczonego pomocnika.

– Dawnośmy się nie widzieli. Pomyślałem więc: znajdę, pokażę się, zapytam, jak interesy... ostatecznie jesteśmy rodziną.

Jakub uśmiechnął się nieszczercze. Jan odwzajemnił uśmiech i wskazał na budynek, w którym znajdowała się jego izba mieszkalna. Na odchodnym rzucił jeszcze do syna:

– Nie stój jak gamoń, tylko każ załadować kolejne bale. Ja nie wiem, Jelle... jak mnie zabraknie, to chyba przyjdzie ci iść do miasta na żebry. Chłopak spuścił głowę i niemrawo ruszył w stronę stojącego pod ścianą płótna.

Izba, w której mieszkał Jan, nie odzwierciedlała jego majątności. Wnętrze urządzone było nader skromnie. Oprócz zaścielonego łóżka, sporej, okutej żelazem skrzyni i stołu nie było mebli. Małe okno wychodzące na podwórko warsztatu wpuszczało niewiele światła do zakurzonego wnętrza. Jakub rozejrzał się po pomieszczeniu, kręcąc głową.

– Oj, Janie, Janie... przydałaby ci się jaka niewiasta albo choć trochę rozrywki. A ty tylko praca i praca.

– O co chodzi? - przerwał lekko poirytowanym głosem właściciel warsztatu.

– O nic szczególnego... po co się tak od razu obruszasz? Ot, chciałem zapytać, jak nam idzie - szlachcic uśmiechnął się lekko.

– Chcesz przestudiować księgi czy jak zwykle wystarczy ci pobieżna ustna relacja?

– Jak zwykle...

– Jest dobrze. Wygrana Anglików jest nam jak najbardziej na rękę, zwłaszcza że książę Jan nie brał udziału w tej masakrze. Anglicy będą handlowali wełną jak dotychczas, a przy okazji nasz książę żyje i zaoszczędził, bo nikt nie stał w jego armii.

– Może się jednakowoż obruszyć tym, że mu zabito dwóch braci... Cóż wtedy?

– Nie zerwie układów z Anglikami, nawet gdyby się nie wiem jak obruszył. Od kogo dostanie pieniądze na wojnę, jak nie od nas? A które miasto mu da we Flandrii pieniądze na wojnę z Anglią, znasz takie?

– Nie - przyznał Jakub.

– Wytwarzamy coraz więcej, praca w warsztacie wre, kupcy są, jesteśmy coraz bogatsi. Jeżeli to wszystko, co

chciałeś wiedzieć, to się pożegnam. Cieszę się, że zajrzałeś, i do zobaczenia, mam siła pracy.

– Ech... Janie, kiedyś inaczej to wszystko wyglądało. - Jakub popatrzył troskliwie na brata. Ten odwrócił wzrok i zaczął w milczeniu obserwować pracujących na podwórzu.

– Ale przynajmniej teraz jesteśmy bogaci... - odparł po jakimś czasie.

– Znajdź sobie żonę, dobrze ci radzę. A tymczasem wracam do siebie, nic tu po mnie. Był już przy drzwiach, gdy Jan odwrócił się w jego stronę.

– A co z twoją narzeczoną, Jakubie? Odnaleźli ją aby?

– Nie, nie odnaleźli. Ale coraz lepiej poznaję jej siostrę i muszę przyznać, że całkiem chwyciła mnie za serce... Jan pokręcił z rezygnacją głową.

Filip Munier, zwany Jossequinem, wspinał się pomału na kręte schody wieży posiadłości książęcej w Dijon. Nie lubił, gdy powierzone mu zadania schodziły na dalszy plan. Tymczasem śmierć książęcych braci i wielu zaufanych dworzan, jak również zmiana układu sił w królestwie po niedawnej bitwie przyćmiły prawie zupełnie sprawę szpiega-zdrajcy. Do tego dochodził jeszcze sobór w Konstancji, na który książę posłał cały zastęp oddanych mu prawników i teologów, jak również setki litrów wina z Beane na łąpówki. Głównym celem tego wzmożonego duchowego zaangażowania było wzmocnienie dość chwiejnej teoretycznie doktryny tyranobójstwa wypracowanej na oczekaniu przez Jana Petita. Poza tym dobrze było mieć oko na sprawy, na które miał oko cesarz. Jossequin stanął ze spuszczoną głową przed drzwiami. Nie był nawet przekonany, czy książę Jan będzie miał czas go wysłuchać. Odźwierny uchylił usłużnie drzwi. Munier znalazł się w dobrze znanym pomieszczeniu. Książę siedział na skraju łoża odziany olśniewająco mimo żaloby. Tym razem jego houppelande wykonana była z czarnego jedwabiu, na którym widniało jedynie kilka wyhaftowanych srebrną nicią ozdób. Rękawy, spód oraz kołnierz sukni zdradzały podbicie z lisich brzuchów. Naprzeciw księcia stało trzech szambelanów. Widząc Jossequina, przerwali rozmowę. Książę odwrócił się w stronę nowo przybyłego.

– Witaj, Filipie... poczekaj chwilę, tylko skończymy naradę i wysłucham tego, co masz mi do powiedzenia, wiem, że próbujesz ze mną zamienić słowo już od dawna.

Munier skłonił się nisko i stanął w kącie izby. Zaczął wodzić wzrokiem po złotych gałązkach chmielu wyhaftowanych na szkarłatnej pościeli. Jednak większą uwagę poświęcał nasłuchiowaniu toczącej się rozmowy.

– Cieszę się, że zgadzacie się ze mną co do konieczności tego posunięcia - podsumował książę głosem najmniejszym dźwiękiem niezdradzającym zadeklarowanej radości.

– Było to nie tylko konieczne, ale też bezprzykładnie rycerskie - podchwycił jeden z szambelanów.

– Wysłanie królowi Henrykowi rękawicy otworzy nowy rozdział w stosunkach burgundzko-angielskich, jestem

tego pewien, mój panie - drugi szambelan nie pozostał w tyle z komplementami.

Trzeci pokiwał tylko głową, zerkając na Muniera. Był wyraźnie mniej zachwycony przedsięwzięciem, ale wolał zachować miejsce w szeregu. Jossequin, słysząc tak niespodziewaną wiadomość, podniósł brwi tak wysoko, że niemal dotknęły przystrzyżonych krótko włosów.

– Dobrze, panowie, to wszystko jak na ten czas. Słucham cię, Filipie... Filipie, czyżbyś pierwszy raz w życiu widział to prześcieradło, dlaczego tak wytrzeszczasz oczy?

Słowom Jana bez Trwogi towarzyszył szmer radości szambelanów zawsze gotowych podrwić z Jossequina.

– Yyy, nie. Wybaczcie, panie - Filip przyklęknął i ucałował nadstawioną upierścienioną dłoń.

– Z czym przyszedłeś?

– Otrzymałem wieści od naszych ludzi - Munier odchrząknął, zerkając na szambelanów.

– Których ludzi? Ach, już sobie przypominam całą sprawę. Dobrze, zechciejcie nas na moment opuścić, panowie - flegmatyczny głos księcia uciął błyskawicznie wesołość szambelanów.

Ciskając pełne pogardy spojrzenia w stronę Jossequina, opuścili gęsiego komnatę, kłaniając się uprzednio księciu.

– Cóż z nimi?

– Znaleźli Rouecourta i jego ludzi... na cmentarzu w Noyon.

– Jak rozumiem, Rouecourt to człowiek, którego wysłałeś pierwszego?

– Tak, panie, w istocie. Nasi ludzie trafili na trop Jana Haquelina.

– Dobrze. Dopilnuj proszę, żeby ta sprawa wreszcie została zamknięta. Mam teraz zbyt dużo na głowie, by troszczyć się jeszcze o to.

– Oczywiście, panie. Tym razem wszystko zostanie zrobione, jak należy...

Jossequin zawahał się jeszcze przez chwilę, czy nie zadać palącego pytania, lecz stwierdził, że wobec ostatnich niepowodzeń nie warto dyskutować tej sprawy. Skłonił się więc tylko i ucałował pańską dłoń. Jan bez Trwogi spojrzawszy na sługę swoim lekko znudzonym spojrzeniem.

– Nie obawiaj się, Filipie, pamiętam o tobie. Postanowiłem przekazać ci obiecaną rentę jeszcze dziś. Jestem przekonany, że zmotywuje cię to do zamknięcia tej nieprzyjemnej kwestii w zadowalający mnie sposób.

– Dziękuję, jaśnie panie. Twoja wola zostanie wypełniona bez dalszych uchybień - chwycił skrawek książęcej sukni i ucałował go z nabożną czcią.

Leśna droga wiodąca z okolic Saint-Quentin do La Fere nie miała więcej niż dwa i pół metra szerokości. Doświadczeni woźnicy omijali zwykle takie dróżki, by uniknąć zatoru w razie napotkania pojazdu nadjeżdżającego z naprzeciwka. Jednakże Michał Audry postanowił tym razem zaryzykować. Miał na wozie spory ładunek nielegalnie



nabytej od przemytników soli, nie chciał więc podróżować większym traktem. Poza tym mosty były popalone, musiałby jechać aż do źródeł Sommy, by się przeprawić, co tym bardziej czyniło atrakcyjną możliwość wykorzystania leśnego skrótu i nadrobienia straconego czasu. Oprócz soli miał na wozie sporo dzbanków, misek i przeróżnych innych naczyń, które choć mniej dochodowe od kupionej za śmiesznie niską cenę soli ważyły bardzo dużo. Waga ta dawała mu prawną przewagę nad ewentualnym woźnicą jadącym z naprzeciwka, jako że wycofać powinien się człowiek mający lżejszy towar. Tak obciążony czarnorynkowymi dobrami i mając za sobą majestat prawa, Michał delectował się przejażdżką i wizją zysku. Dzień był trochę deszczowy, w miarę ciepły, dobry do podróży. Wszędzie wokół pachniało przyjemnie sosnowym borem. Audry pogratulował sobie w myślach wybrania mało uczęszczanego skrótu, a zaraz potem przeklął głośno. Na drodze za zakrętem leżała zwalona sosna. Zatrzymał konie. W pierwszej chwili chciał zeskoczyć i odciągnąć zagradzające drogę drzewo. Nim jednak zszedł z wozu, spostrzegł ślady siekiery na pniu. Przeszył go lodowaty dreszcz. Rozglądając się czujnie, sięgnął po niewielką kuszę, którą zawsze zabierał w dalszą podróż. Włożył drżącą stopę w strzemię i naciągnął cięciwę. Wyciągnął z ukrytego pod siedzeniem pojemnika bełt i prawie natychmiast go upuścił, słysząc dochodzącą z bliska komendę.

– Rzuć to!

Zerknął nieco w tył. Przy wozie stał ubrany w znoszone szaty mężczyzna z gotową do strzału kuszą. Miał na głowie kaptur, a na twarzy zawiązaną chustę, tak że Michał nie mógł dostrzec oblicza. Gdy pierwszy strach minął, pomyślał, że to nawet może lepiej, iż mierzący w niego łotrzyk jest zamaskowany - przecież gdyby chciał go zabić, nie zadawałby sobie trudu, by się ukryć. Michał ostrożnie odłożył kuszę. Wóz zachybotał się lekko. Audry zobaczył drugiego zakapturzonego mężczyznę, który stanął obok niego z wyciągniętym kordem. Już sam widok długiego prawie jak w mieczu, przypominającego nóż ostrza przyprawiał o ciarki.

– Co tam wieziesz? - zagadnął trzeci, wychodząc z pobliskich krzaków.

– Nic takiego... garnki, miski, takie tam...

– Takie tam? No to pokaż, bo bardzo ciekaw, jak wyglądają „takie tam”.

Woźnica posłusznie zszedł z kozła i przeszedł na tył pojazdu. Zaczął powoli odwiązywać przytrzymujący płócienną płachtę sznur.

– Żwawiej, dziadku, nie będziemy się tu z tobą zabawiali cały dzień - cienkim zirytowanym głosikiem odezwał się właściciel korda.

„Chryste Panie, oni są coraz młodszy...” - pomyślał z trwogą Michał, próbując równocześnie opanować drżenie rąk.

Nagle zza zakrętu dobiegł odgłos kopyt.

– Co znowu? Ruch tu dzisiaj jak w paryskim burdelu!

Kusznik pokręcił głową i niechętnie wszedł z powrotem w krzaki. To samo uczynił młodzieńki właściciel korda.

Na drodze pozostali tylko woźnica i trzeci ze zbirów, który podszedł do niego i zdjął z twarzy chustkę. Audry przełknął

ślinę, przeczuwając kłopoty.

– Milcz, ja będę mówił, jakby co...

Zza zakrętu wypadło dwóch odzianych podróżnie jeźdźców. Widząc tarasujący drogę wóz, zwolnili, a potem przystanęli. Mieli zaskakująco mocno opalone twarze i nieco zbyt krzykliwy jak na wiejski gust strój. Trójbarwne nogawki i czapki z bażancimi piórami znamionowały świątówców.

– Cóż to, drzewo zagroziło drogę? - zagadnął pogodnie niższy z jeźdźców, wychylając się głęboko w siodle i zerkając przed powóz. Miał egzotycznie brzmiący akcent.

– Tak to już jest ostatnimi czasy... zrąbie jakiś chłop drzewo bezprawnie w pańskim lesie, złęknie się i ucieknie, a dla podróżnego kłopot - stojący obok Michała zbój przemawiał płynnie, bez najmniejszego zajknięcia.

– Jaki kraj, taki obyczaj... - przytaknął z uśmiechem Alberto. Zapanowała krępująca cisza.

– Nie odciągniecie tego drzewa na bok? To też taki obyczaj? - kontynuował pogodnie Lombardczyk.

– Może zechcielibyście nam pomóc, panowie? Drzewko wygląda na spore...

– Czemu nie. Luigi, widzisz jakieś przeciwwskazania?

– *Due, forse tre*<sup>[4]</sup>... - Luigi pilnie przyglądał się okolicy.

– Mój kompan mówi, że z chęcią pomożemy, bo zaiste, trzeba trzech ludzi, by zabrać to drzewo... - przetłumaczył nie do końca wiernie Alberto.

Po tych słowach obaj zsiadli z koni. Mignęły odsłonięte na moment rękojeści kordów. Michał Audry przysiągł w duchu nie używać już nigdy skrótów. Otarł spocone czoło i zaczął iść na przód wozu popchnięty lekko przez zbira.

– Panowie z daleka?

Pytaniu bandyty towarzyszył uprzejmy gest, jakby chciał przepuścić Włochów przodem. Alberto podszedł do niego uśmiechnięty. Mężczyzna obrócił lekko oczy i kiwnął nieznacznie głową. Rozległ się świst. Nie towarzyszył mu jednak szczeł cięciwy. Na twarzy zbira zagościło zdziwienie. Stało się tym większe, gdy poczuł w brzuchu stal. Alberto przekreślił puginał i odepchnął od siebie przebitego kilkunastocentymetrowym ostrzem mężczyznę. Z krzaków wyskoczył wątłej postury opryszek, biorąc potężny zamach kordem. Dodawał sobie przy tym odwagi przeraźliwym okrzykiem, jednym z tych, które potrafi z siebie dobyć jedynie człowiek przechodzący mutację głosu. Alberto obrócił się miękko w stronę szarżującego nań bandyty. Michał Audry spojrzał z niedowierzaniem. Włoch trzymał w prawej ręce kord, a w drugiej coś na kształt grubego puginału z prostokątnymi zębami na klindze. Starcie składało się z dokładnie trzech ciosów. Najpierw młodzik zaatakował z potężnego zamachu na piątą zasłonę, mierząc prosto w głowę. Ostrze kordu utkwilo między zębami dziwnego przyrządu. Włoch uderzył w klingę nadstawionej, uwięzionej broni i złamał ją, jakby była suchym patykiem. Następnie płytkim szybkim cięciem rozciął bandycie gardło. Przerażliwy wrzask ucichł. Luigi schował tymczasem kolejny przygotowany do rzucenia nóż. Nie musiał go używać. Za pierwszym razem trafił bezbłędnie, uśmiercając kusznika na miejscu.

– Dziwny kraj... dziwne obyczaje - skomentował krótko Alberto, wyciągając zakrwawiony pugnał z ciała elokwentnego zbira. Jego głos i gesty pozostały przy tym całkiem spokojne.

– Na co tak patrzysz, człowieku? Powiedzieliśmy przecież, że ci pomożemy z tym drzewem. Nie stój tak i chwytaj pień - dodał, spoglądając na sparaliżowanego z wrażenia Audry'ego.

Sir Robert obudził się. W pierwszej chwili sądził, że jest w czyścicu. Pomyślał tak, bo pomieszczenie, w którym leżał, było zimne, zupełnie jak nie piekło, a do tego słabo oświetlone - zupełnie nie jak niebiosy. Co do tego, że jest już jedynie duszą, był przekonany. Dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że będąc jedynie substancją duchową, nawet w czyścicu nie czułby tak dotkliwego bólu. Kolejny moment pozwolił młodemu Neville'owi ustalić kilka dodatkowych okoliczności. Leżał na miękkim, wygodnym, choć małym łóżku wewnątrz malutkiej komnaty, a wręcz celi. Przez wysoko osadzone samotne okno z nasączonym oliwą pergaminem wpadało słabe światło jesiennego dnia. Nad skromnymi sosnowymi drzwiami wisiał takiż krzyż. W końcu sir Robert zrozumiał, że słabość jego wzroku należy tłumaczyć po części tym, że ma na głowie opatrunek, a pod nim pulsującą ranę. Zaczął po raz kolejny odtwarzać w myślach ciąg zdarzeń, który doprowadził go do wcale przytulnego wnętrza. Z pewnym rozbawieniem zauważył nawet, że spośród ostatnich tego rodzaju przebudzeń, które zdarzały mu się parokrotnie, to jest stosunkowo miłe. Wszystkim, co prawda, towarzyszył ból, brak rozeznania i uczucie straty, ale tym razem przynajmniej łóżko było suche i wygodne. Rozległo się skrzypnięcie i w drzwiach stanął mężczyzna w habicie z odrzuconym na plecy kapturem. Człowiek ten był bardzo wątłej postury, jego głowa zaś zdawała się ponad miarę duża, co uwypuklała dodatkowo tonsura.

– O! Rad jestem, że się ocknęliście, panie - ochoczo ucieszył się zakonnik, po czym wszedł do komnaty, zamykając za sobą drzwi.

– Co najmniej równie rad z tego wydarzenia, możecie mi wierzyć - odparł słabo sir Robert.

Zaniepokoiło go nieco to, że rozmówca przemówił po francusku. Pochwalił w duchu swój odruch odpowiadania w języku, w którym się do niego zwracano.

Zakonnik uśmiechnął się i wbił w rycerza żywe ciekawskie spojrzenie.

– Jest tu z wami wasz giermek, panie, czy mam po niego posłać?

– Giermek? - młody Neville bezwiednie dał wyraz zdziwieniu. „Czyli jednak czyściec?” - pomyślał skołowany.

Zakonnik uniósł lekko brwi, nie mniej zaskoczony.

– Czyżbyście nie mieli giermka?

– No cóż, mam - odparł po namyśle i nieco smutno sir Robert.

Uświadomił sobie, że strata młodego kompana nie była najgorszą rzeczą, jaka przydarzyła mu się ostatnimi

czasu. Przypomniał sobie o zdrajcy porwijącym ukochaną i zmarkotniał do reszty. Zakonnik zbliżył się i usiadł na stojącej nieopodal łóżka skrzyni, w milczeniu obserwując oblicze Neville'a.

– Wybaczcie, ale mam sporo utrapień - rzucił rycerz, nie chcąc okazać braku obycia domniemanemu pielęgniarzowi.

– Wielu z nas je ma, nic tu do wybaczenia. Jeśli chcecie mi o tym opowiedzieć, to wiedźcie, że jako kapłanowi możecie się choćby wyspowiadać.

– Kapłanowi? Jaki jest wasz zakon? - zdziwił się trochę sir Robert, wiedząc że mnisi, nawet posiadający święcenia, nieczęsto się z tym wychylają.

– Jesteśmy kanonikami, regułę swoją czerpiemy wprost z nauczania świętego Augustyna.

– Ach tak.

– Macie osobliwy akcent, panie. Skąd pochodzicie i jak was zwą? To pytanie wprowadziło sir Roberta w spore zakłopotanie.

– Z Gaskonii. Jestem Robert de Neufville - odparł po krótkim namyśle pozwalającym na zlokalizowanie jakiegoś odległego zakątka królestwa i szybką grę słowną.

– A was? Jak was zwą? - młody rycerz spróbował szybko oddalić rozmowę od siebie.

– Jestem brat Marcin... to długą drogę przebyliście tu do nas - zakonnik cały czas uważnie wpatrywał się w rycerza.

– Tak, dość długą, choć czymże jest przejechać domenę miłościwie nam panującego króla Karola, skoro w jego służbie pozostając i stając naprzeciw jego nieprzyjaciółom, tak godne świadectwo swojej lojalności uczynić można?

- sir Robert skupił się na eleganckim wypowiedaniu każdego słowa.

– Niczym, zaiste, podobnie jak inne zdarzenia tego świata - mężczyzna uśmiechnął się lekko.

– Mowa godna zakonnika, choć pozostająca w niezgodzie z moją. Co więcej, dziwne byłoby, gdyby wszystkie nasze postęпки były li tylko niczym. Chyba są jednak czymś - sir Robert odzyskał pewność siebie, gdy tylko poczuł, że dyskusja odbiega od tematów osobistych.

Uśmiech zakonnika rozszerzył się, ukazując rzędy niewielkich zniszczonych zębów.

– Macie w zupełności rację. Rzeczy owe są choćby częścią natury, czyli najogólniejszego spośród rodzajów, ale chyba nie to mieliście na myśli... - zakonnik zdawał się zafrapowany wypowiedzią Roberta.

– Ależ coś na ten kształt właśnie... chodziło mi o poruszenie problemu istoty nicości i tego, jak dziwne jest to pojęcie. Myślę, że argument nawiązujący do Jana Szkota Eriugeny i jego rozumienia natury jest w waszych ustach nader trafny. Wszak wszystko, co możemy pomyśleć, jest czymś, naturą, jak chce tego Eriugena. Jednak czymże miałoby być owo coś, skoro prócz należenia do najogólniejszego z rodzajów nie sposób mu przypisać żadnej własności? Chyba jednak nie jest to, mimo wszystko, takie trafne.

Sir Robert zagłębił się na moment w swoich rozmyślaniach, po czym spojrzał na kanonika. Oczy mężczyzny aż

łśniły, a cała jego twarz zdradzała ogromne zaciekawienie.

– Przemawiacie z uczonością kleryka, a to rzadkość u rycerza. Uwielbiam dialektyczne dyskusje i chętnie bym z wami jeszcze porozmawiał, lecz... - zakonnik zawiesił głos.

– Lecz cóż? - dopytał szybko młody Neville.

– Wiecie, panie, niegdyś uczeni Grecy, nim dali komuś przystąpić do uczonej dyskusji, kazali mu wpierw studiować matematykę... To jest - też moim zdaniem - słuszna droga. Czy znacie panie matematykę?

– Owszem, studiowałem nieco arytmetyki i geometrii, a nawet algebry...

– No proszę, posiadacie więc wiedzę wykraczającą nawet poza quadrivium. Wiecie, co to liczba pierwsza?

– Tak.

– A wiecie, ile jest takich liczb? - ciągnął zakonnik, a w jego oczy skrzyły niemal od jakiegoś dziwnego poruszenia.

– Przypuszczam, że nieskończona liczba...

– Nie pytam o przypuszczenie, jeno o wiedzę, więc odpowiedzcie, proszę.

– Nie wiem - sir Robert pochylił głowę ze skruchą.

– Tym lepiej. Zastanówcie się nad tym. Jeżeli przedstawicie dowód, przejdziemy do dalszej dyskusji, tymczasem wypocznijcie, boście jeszcze słabi. Porozmawiam z bratem Teodorem, może znajdzie w herbarium coś mogącego wam przynieść ulgę.

Zakonnik odszedł, zostawiając sir Roberta sam na sam z jego myślami. Dzięki dyskusji te ostatnie odeszły od bieżących trosk młodego

Anglika i skupiły się na rozważaniu postawionego problemu.

Rozmyślenia sir Roberta przerwało wkroczenie do jego komnaty innego zakonnika. Tym razem gość miał znacznie pełniejsze kształty, w rękach trzymał cynowe naczynie, a przez ramię przewiesił lnianą chustkę. Podeszedł bez słowa do posłania rycerza i w milczeniu usiadł na skrzyni, kładąc ostrożnie naczynie na kolanach. Sir Robert nie czuł się zbyt dobrze, ale mimo wszystko postanowił rozpocząć rozmowę z milczącym od wejścia bratem.

– Wy pewnie jesteście bratem Teodorem...

– Tak - odparł zakonnik, maczając chustkę w zawartości naczynia.

– Z tego, co powiedział mi brat Marcin, to wy trzymacie pieczę nad herbarium.

– Owszem. Ponadto zajmuję się też ogrodem i lazaretem - tym razem głos dobiegający spod obszernego kaptura był żywszy. Sir Robert postanowił to wykorzystać.

– To opatrunek dla mnie, jak rozumiem. Czyżby jakiś miejscowy specyfik?

– Naturalnie - mężczyzna podniósł głowę, ukazując z lekka krągłe oblicze i zaciekawione małe oczy.

– Nie podałem pacjentowi czegoś, co nie wyrosło pod moją czujną opieką. Przyniosłem wam wyciąg z *Herbae sanguisorbae*... powinien powstrzymać krwawienie.

– *Nomen omen* - podchwycił nieśmiało sir Robert nie do końca jednak pewny, czy chce, aby jakaś roślina wysysała z niego krew. Dał temu mimo woli wyraz w podejrzliwym spojrzeniu na miskę.

– No proszę, wykształcony z was, panie, człowiek. Nie bójcie się jednak, krwiściąg nie zabierze wam zbyt dużo krwi, a pomoże na rany. Zresztą już wcześniej wam zrobiłem z niego okład i wygląda na to, że pomogło.

– Skoro tak twierdzicie... - sir Robert dał za wygraną i już bez dalszych oporów poddał się zabiegom pielęgnacyjnym.

Zakonnik wprawnie zmienił opatrunek, a następnie zabrał naczynie i już zbierał się do odejścia, gdy tuż przed drzwiami zatrzymał się i spojrzał z wahaniem na rycerza.

– Poznaliście, panie, zapewne brata Marcina. Nie moja to może rzecz, ale... czy on wie, że znacie łacinę?

– Nie wiem. Odbyliśmy jednak krótką rozmowę zdradzającą moje wykształcenie.

– Hmm... no cóż - zakonnik miał niewyraźną minę. - Brat Marcin to człek wielce niepośledniego intelektu. Niestety, jego umysł potrafi z łatwością zakłócać spokój jego duszy, gdy poświęca zbyt dużo wysiłku na rozmyślanie. Chyba nie wyrażam się jasno, ale może w ogóle nie powinienem być tego mówić. Po prostu starajcie się, panie, nie rozbudzać zbyt jego żądz naukowej.

Sir Robert popatrzył na zakonnika wzrokiem domagającym się wyjaśnień.

– Chyba jednak niezbyt jasno mówię, w czym rzecz. Nieważne, zapomnijcie o moich słowach. Odpoczywajcie w spokoju, a stanie się wola

Boża.

Kanonik zniknął za drzwiami, pozostawiając zaintrygowanego rycerza samemu sobie.

Sir Robert nie miał wystarczająco dużo czasu, by uporać się choćby ze skromną częścią myśli, które cisnęły mu się do głowy, do jego celi wparował bowiem Guillaume. Giermek pana Moorowa ucieszył się jak dziecko, widząc, że młody Neville oprzytomniał. Przyskoczył od progu do łóżka i chwycił oburącz dłoń Roberta. Dopiero po tym pierwszym uniesieniu stęknął lekko, a jego twarz wykrzywił grymas bólu wywołanego kontuzją żeber.

– Też się cieszę, że cię widzę w dobrym zdrowiu, Guillaume - powiedział z szyderczym uśmiechem młody rycerz.

Giermek puścił rękę Neville'a i z właściwą sobie naburmuszoną miną przesiadł się na stojącą nieopodal skrzynię.

Gdy pierwsze dąsy ustąpiły, a sir Robert wytłumaczył się z niewinnego żartu, rozpoczęli żywą rozmowę. W jej trakcie Guillaume opowiedział o śmiałej ekspedycji podjętej przez barona i sir Ralfa. Wspomniał też o pomocy

Clermonta i szlachetnej postawie sir Tomasza. Cała ta historia wywołała w rycerzu mieszane uczucia. Z jednej strony cieszył się niezmiernie, że ojciec i kuzyn z takim oddaniem poświęcili się dla jego dobra. Z drugiej - zaczynał odczuwać brzemień tak ogromnego długu wdzięczności. Ponad wszystko zaś żałował, że nie jest mu dane uczestniczyć w tej wyprawie, która w przeciwieństwie do ostatniej, miała dla niego ogromne znaczenie i ważki cel.

Gdy Guillaume opuścił wreszcie celę, udając się na spoczynek, sir Roberta opadły na nowo gnębiące go myśli. Leżał w samotności i wręcz cieszył się z fizycznego bólu, który mącił choć trochę gorzkość i tęsknotę. Tej nocy nieraz przyszło mu żałować stawania do końca w królewskiej sprawie i próby ochrony listów za wszelką cenę. Doszedł do wniosku, że zapłata za tę śmiałość była jednak o wiele za wysoka.

## Rozdział 4

Pole pomiędzy Azincourt i Maisoncelle nie straciło wiele ze swojej przygnębiającej malowniczości od czasu zakończenia bitwy. Minęło parę dni, zanim mnisi z klasztoru w Ruisseauville zdecydowali się, korzystając z pomocy najemnych robotników i okolicznych wieśniaków, pogrzebać ciała zalegające pole i lasy. W końcu opat podjął decyzję o dopełnieniu naturalnej powinności chrześcijańskiej wobec zmarłych. Nie bez znaczenia pozostawało też to, że wielu z nieboszczyków cieszyło się dużą sławą i bogactwem za życia, a ich krewni gotowi byli wynagrodzić dbałość o doczesne szczątki członków rodziny. Powstał nawet projekt kapliczki, ale najpierw należało się zająć godnym pochówkiem.

Guillaume szedł wraz z zakonnikami ścieżką prowadzącą na pobojowisko. Ręka dokuczała mu jeszcze wprowadzając, podobnie jak żebra, ale opuszczenie murów klasztornych dało mu chwilę radości. Sam był zdziwiony tym, jak ochoczo myślał o pracy. Przesiadanie w klasztorze działało na niego przygnębiająco. Teraz rześkie powietrze na twarzy i nachylone nad drogą bezlistne gałęzie cieszyły jego oczy. Korowód zakapturzonych mnichów nie zdołał przejść nawet połowy drogi na pobojowisko, gdy pojawiła się idąca z naprzeciwka grupka ludzi. Guillaume szybko przerzucił wzrok na nadchodzące postaci i nie pożałował. W grupce kobiet i mężczyzn niosących, jak rychło wywnioskował giermek, prowiant dla klasztoru, jego szczególną uwagę przykuła pewna niewiasta. Na jej widok kanonicy zgodnie, jakby na zawołanie, pospuszczali głowy, zatapiając twarze w głębi przepastnych kapturów. Giermek pana Moorowa ani myślał brać z nich przykładu. Rumiane oblicze wieśniaczki i jej falujące przy każdym kroku piersi podziały na mężczyznę bez porównania lepiej niż chłodny jesienny wiatr i drzewa. Rozumiejąc krótkość żywota ludzkiego i nikłe szanse na zbawienie swojej jakże grzesznej duszy, Guillaume postanowił działać niezwłocznie. Przechodząc obok dziewczki, która niosła pod pachą spore naczynie, giermek wejrzał jej głęboko w oczy, a zaraz potem runął przed nią jak długi w symulowanym upadku. Dwóch zamykających pochód kanoników podeszło, by pomóc leżącemu, ten jednak zdołał już do tego czasu powstać. Dziewka podała giermkowi krzepkie ramię, a ten stanął przed nią, bacznie się jej przyglądając. Ku swej uciechu nie spostrzegł na jej obliczu śladów płochy ani zmieszania. Przeciwnie, kobieta patrzyła na niego uważnie i z zainteresowaniem.

– Wybaczcie moją niezdarność, lecz będąc gościem klasztoru, już dawno nie szedłem tak wyboistą drogą. Me nogi przywykły raczej do ubitej ziemi na dziedzińcu stajennym - to powiedziawszy, uśmiechnął się szeroko, ukazując nawet dość jasne zęby, i wbił wyczekujące spojrzenie w niewiastę.

– Zatem uważajcie, panie, kędy stąpacie... i kiedy, bo wieczorną porą i na płaskim przewrócić się łatwo - odrzekła cicho.

Potem uśmiechnęła się lekko i odeszła. Guillaume puścił przodem dwóch młodych zakonników, żeby móc jeszcze



chwilę popatrzeć na wdzięki mleczarki. Potem otrzepał się nieco i dołączył do końca kolumny. Pomyślał, że dzień byłby dobry na kości, jako że Fortuna postawiła na jego drodze dziewczkę nie tylko gładką i chętną, ale i bystrą.

Guillaume przerzucał ziemię w milczeniu. Pozostali robotnicy, spośród których większość stanowili pracownicy najemni z okolicznych wsi, a resztę mnisi z klasztoru Ruisseauville, byli również pogrążeni w pracy. Zbiorowa mogiła powiększała się szybko i była szansa, że zdążą z jej wypełnieniem przed sekstą. Guillaume'owi odpowiadało powierzone mu zadanie. Wprawdzie musiał parę razy zacisnąć zęby, gdy pokusił się o głębszy zamach, ale w sumie była to znikoma cena za uwolnienie od bezczynności. Chowanie zmarłych było zajęciem pożytecznym i zbożnym, zwiększającym szanse zbawienia, co również miało dla giermka ogromne znaczenie, zwłaszcza ze względu na burzliwe wydarzenia ostatnich tygodni, w których nieraz przyszło mu przelać chrześcijańską krew. Myśli te zakłócała tylko nieznacznie wizja spotkania z mleczarką. Guillaume podszedł wraz z jednym z kanoników do kolejnego ciała. Już miał zdejmować chroniący wielkie ciało pancierz, gdy nagle przystanął. Spojrzał w czarną ranę przebitego oczodołu i mimo przyzwyczajenia do przebywania ze zmarłymi wstrzymał na chwilę oddech.

– Znaliście tego człowieka? - spytał zaciekawiony mnich.

– Tak. To przecież wielki mistrz kuszników pan Dawid Rambures. Zakonnik wzruszył ramionami i wrócił do ściągania z nieboszczyka zbroi.

– W obliczu śmierci wszyscy równi. Z rana pochowaliśmy samego konetabla, Panie, miej go w swojej opiece. Myślałem, że ten tu to może jakiś wasz krewny lub przyjaciel.

Guillaume sam zdziwił się smutkiem, który poczuł, widząc rozciągnięte przed sobą ciało pana na zamku Rambures. Czuł szacunek dla tego rycerza, który przecież zachował się honorowo, aż do końca broniąc swoich ziem. Nie było to jednak ani właściwe miejsce, ani okazja do dzielenia się tego rodzaju refleksjami. Giermek wrócił więc do swego zajęcia i zaczął rozpinać obszerny napierśnik. Nie dokończył jeszcze, gdy wokół zapanowało jakieś poruszenie. Guillaume wyprostował się i porzuciwszy zdejmowanie z nieboszczyka zbroi, rozejrzał się. Kilku robotników i brat Marcin, którzy pracowali przy kopaniu grobu, stali wpatrzeni w pobliski trakt. Na drodze majaczyły sylwetki dwóch jeźdźców. Po niedługim czasie wierzchowce stanęły, prychając, nad brzegiem wykopu. Zwierzęta były wyraźnie zaniepokojone obecnością licznych ciał porzrzucanych w beładzie na polu, ale dosiadający je mężczyźni potrafili nad nimi zapanować. Ich odzienie było krzykliwe i modne. Mieli przy boku broń, a ich niezwykle opalone oblicza od razu skłaniały do przypuszczenia, że są cudzoziemcami.

– Pochwalony! - rzucił niższy z jeźdźców, spoglądając na brata Marcina.

– Na wieki wieków - odparł zakonnik, mrużąc oczy przed słońcem.

– Widać straszna jakowaś bitwa się tu odbyła. Któż zaś zwyciężył? - kontynuował przybysz.

– Startł się tu i poległ, odnosząc klęskę, konetabl Francji z siłami uzurpatora i najeźdźcy Henryka Lancastera. Oto przed wami rozgromiona armia królewska - odparł Guillaume, rozumiejąc, że jemu najbardziej wypada zabrać głos jako uczestnikowi zdarzenia.

– Byliście przy tym? - cudzoziemiec spojrzał badawczo na giermka.

– Byłem. Wraz z moim panem. Udało nam się ująć z życiem z masakry.

– A był może w waszych szeregach niejaki pan Haquelin? Guillaume zmierzył jeźdźca wzrokiem i odparł dobitnie:

– O nikim takim nie słyszałem, ale jeśli z nami szedł, to rozejrzyjcie się, panowie, po polu, bo tu najłatwiej go znajdziecie. Konny pokiwał w zadumie głową.

– Tak też zrobimy. Chciałbym jeszcze wiedzieć, gdzie tu w okolicy jakąś ciepłą strawę dostaniemy, bo utrudzeni jesteśmy długą podróżą.

– Choćby u nas, panowie, w opactwie nieopodal stąd - zaproponował jeden z zakonników, którzy dołączyli w międzyczasie do rozmawiających mężczyzn.

– Bardzo jestem wdzięczny za tę gościnę, lecz wpierv zgodnie z radą rozejrzemy się tu nieco - to mówiąc, Alberto zeskoczył lekko z konia.

– Czy to jakiś wasz krewny? - spytał Guillaume, bardziej licząc na zmieszanie podróżnych niż na wysłuchanie historii rodzinnej.

– Nie. Chyba że mielibyśmy liczyć braterstwo broni - odparł błyskawicznie Włoch, równocześnie rzucając giermkowi przelotne spojrzenie.

Gillaume zrozumiał, że być może niepotrzebnie wychylił się z natarczym pytaniem. Choć oblicze śniadego mężczyzny było wręcz do przesady pogodne, jego spojrzenie wydało się giermkowi niepokojąco badawcze. Odwrócił więc wzrok i zabrał się z powrotem do pracy. Myślał jednak już tylko o tym, jakby wziąć przybysza i jego milczącego kompana na stronę i wycisnąć z nich, skąd znają Huxleya i co dokładnie ich z nim łączy.

Tymczasem nowo przybyli przechadzali się po poboju i ze spokojem grabarza oglądali kolejne trupy. Oczywiście ich poszukiwania nie zakończyły się sukcesem, a nad okolicą rozległ się wkrótce dźwięk dzwonu klasztornej nawołujący pracujących mnichów do powrotu na sekstę. Przed mszą pozostawiono Lombardczyków w domu gościnnym. Guillaume tymczasem opuścił ciągnący na nabożeństwo korowód tuż za murem zewnętrznym klasztoru i pośpiesznie, acz ostrożnie poszedł do izby, w której leżał sir Robert.

Młody rycerz spał, gdy do jego celi wparował zaaferowany giermek.

– Panie! Przybyli jacyś ludzie, pytają o Haquelina.

Sir Robert poderwał się do pozycji siedzącej, po czym szybko opadł na powrót w miękkie łoże porażony przeszywającym czaszkę bólem.

– Cóż mówisz? - zapytał dopiero po chwili zirytowany.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Pewnie poszli do stajni zostawić tam wierzchowce. Tam spróbuję ich przycisnąć i wypytać, kim są. Powinienem się z nimi uporać przed końcem mszy.

Giermek spojrzał jeszcze po izbie rozlatanymi oczyma. Podbiegł do skrzyni, odrzucił z hukiem wieko, dobył z wnętrza swój miecz oraz długi puginał, po czym wybiegł, zostawiając uchylone drzwi. Sir Robert został sam, uciskając pulsujące na skroniach żyły. W pierwszej chwili nie mógł zebrać myśli. Gdy w końcu to uczynił, zdało mu się, że jednak nie tworzą one powiązanej całości. Przyjął na nowo pozycję leżącą i czekał w spokoju na powrót rozochoczonego towarzysza i wyjaśnienie, które miałyby sens.

W stajni było dość cicho, jeśli nie liczyć sporadycznych, uderzających o słabo przykrytą sianem podłogę kopyt. Z dala dolatywały przytłumione głosy śpiewających psalmy zakonników. Włochi rozsiodłowali wprawdzie swoje zmęczone wierzchowce. Byli milczący i sumienni. Niższy z podróżnych skończył pierwszy, przerzucił juki przez ramię i już uchylił furtkę zagrody, by wyjść przed budynek, gdy drogę zastąpił mu Guillaume. Lombardczyk uniósł spokojnie głowę, by patrzeć giermkowi w twarz, po czym przemówił dość uprzejmym tonem:

– Czy mogę wam w czymś pomóc, panie? Bo stoicie w przejściu, jakby was nagła jaka potrzeba sparła.

– W rzeczy samej, sparła mnie potrzeba zamienienia z panami w waszej jeno przytomności słów paru - odparł z kwaśnym uśmiechem Francuz, nie ustępując przy tym na krok z przejścia, które zagroził.

Włoch nie odpowiedział, cofnął się jedynie i patrzył wyczekująco.

– Skąd znacie, panowie, Haquelina? - spytał giermek, mierząc cudzoziemców wzrokiem, a jednocześnie bacznie wypatrując u nich broni. Pamiętał przy tym, by utrzymać groźny wyraz twarzy, ale jakoś sam nie potrafił siebie przekonać, że wywiera to jakiś szczególny wpływ na rozmówców. Alberto uśmiechnął się jedynie, widząc ten badawczy wzrok.

– Jużem wam to rzekł, kiedy staliśmy na poboju. Byliśmy towarzyszami broni. Skoro jednak taka wasza wola, to powtarzam, bo jak powiadał pewien mędrzec: co warte powiedzenia raz, warte jest również powtórzenia - ostatnie słowa cudzoziemiec okraślił jeszcze szerszym uśmiechem.

– Po cóż chcecie go odnaleźć? Wiecież, że to łotr skończony, co na szlachetną pannę nie powstydził się ręki podnieść?

– Nie za to go jednak szukamy... - odparł spokojnie Alberto, a jego głos nabrał momentalnie chłodu. Guillaume zmarszczył brwi.

– Jakże to? Czego od niego chcecie?

– Nie jesteśmy tu po to, by zaspokoić waszą ciekawość, panie. Widzę jednak, że nie życzyście dobrze panu Haquelinowi, więc dobrze się dla nas składa. Nie pytajcie jednak już więcej, kto my zacy i jakie cele nasze. Niech wam

starczy dobra nowina, że nie wam jednemu i nie waszej lub jakiejś tam innej pannie ów jegomość krzywdę wyrządził. Są na tym bożym świecie możni, którym wyżej wymieniony potężnie za skórę zalazł... - zakończył zupełnie poważnie Włoch.

Koń prychnął i zatupał. Nie było już słycać śpiewanych po łacinie modlitw.

– Może lepiej powiedzcie, gdzie szukać mamy naszego wspólnego znajomego, zamiast zadawać dużo niepotrzebnych pytań niewłaściwym osobom - zasugerował Lombardczyk.

Guillaume zawahał się.

– Skąd mam mieć pewność, że nie kłamiecie, że nie wspieracie jednak tego łotra nędznego i jego poczynań?

– Nie potrafię was w żaden sposób zapewnić inaczej niż słowem...

Guillaume zachnął się, kręcąc głową, i napał plecami na furtkę, chcąc opuścić przegrodę. Zza niespokojnego konia wychynął jak cień milczący Luigi, a w jego opuszczonej wzdłuż ciała ręce zalsniło ostrze.

– Mam jednak sposoby, by was do mówienia przekonać - zakończył z naciskiem Alberto, wbijając skupiony wzrok w oblicze Guillaume'a. Giermek poznał po ruchach wyższego z mężczyzn i spokoju niższego, że ma do czynienia z zawodowcami. Dopiero teraz zrozumiał, że gdyby cudzoziemcy chcieli krwawo zakończyć tę rozmowę, zrobiliby to już jakiś czas temu, i że cała jego przebiegłość i czujność, jak również zatknięty za pasem oręż w niczym by nie pomogły.

Pojął, że coś będzie musiał powiedzieć. Przez chwilę rozważał możliwość skłamania, po czym rzekł.

– Flandria. Pojechał w stronę granicy flandryjskiej. Uprowadził ze sobą szlachetnie urodzoną damę, za której zdrowie mój pan gotów byłby słono zapłacić. Zapewne zmierza do zamku niejakiego Vaartbruta.

Włoch skinął przychylnie. Luigi schował nóż.

– Trzeba było tak od razu. Teraz chodźmy coś zjeść. Nie miejcie mi, panie, za złe, że was trochę przymusił, ale wszak sami wleźliście tu obładowani bronią i z miną wielce nasrożoną.

Włoch rozpogodził twarz i ruszył swobodnym krokiem do wyjścia. Guillaume odetchnął z ulgą i porzuciwszy podejrzliwość oraz ostrożność, wyszedł zaraz za cudzoziemcem, zostawiając za plecami nożownika. Nie stało się jednak nic złego, a już niedługo trzej mężczyźni weszli wspólnie do refektarza, gdzie czekał na nich skromny posiłek. Mnisi nie jedli wprawdzie o tej porze, ale mimo to kilku z nich pojawiło się w izbie jadalnej, by towarzyszyć podróżnym. Byli wśród nich bracia Marcin i Teodor, jak również sam opat, któremu doniesiono, iż przybysze są zapewne szlachetnego rodu. Po krótkim powitaniu rozpoczęły się zachęty do zajęcia miejsca przy stole. Lombardzcy wykazali się jednak dobrymi manierami i nalegali, by to opat i pozostali bracia usiedli pierwsi. Guillaume przyglądał się temu wszystkiemu z kwaśną miną. Ciężko było mu połączyć oglądne i pogodne zachowanie z chłodnym wyrachowaniem, którego był świadkiem w stajni. W końcu ustalono, że opat, będąc w tym towarzystwie najczcigodniejszym, zasiądzie pierwszy, po nim Włoch, a na koniec pozostali kanonicy. Gdy już szczęśliwie każdy zajął miejsce w refektarzu, jeden z nowicjuszy przyniósł szeroką misę, na której leżały sery, i okazały bochen chleba.

Goście zaczęli jeść, a młody zakonnik zaraz postawił przed nimi dwa cynowe kubki i glinianą butelkę z winem. Opat dał gościom przełknąć kilka kęsów, a następnie rozpoczął rozmowę.

– Cóż sprowadza was, panowie, w nasze skromne progi?

– Szukamy pewnego człowieka - odparł bez ogródek Alberto.

– Ach... czyżby ktoś bliski, którego straty się spodziewacie? - dopytał, przybierając strapiony wyraz twarzy, stary zakonnik.

– No, w zasadzie można by tak powiedzieć - odparł z rozbijającym szczerym uśmiechem Lombardczyk.

Guillaume spojrział na niego z niechęcią. Poza Luigim i Albertem był jedyną osobą zdolną docenić żart. Nie było mu jednak szczególnie do śmiechu. Brat przemawiającego również nie dał po sobie poznać, że cokolwiek go rozbawiło, ot, dalej przeżuwał pajdę chleba z serem. Jedynie sam Alberto rozpromienił się z lekka rozbawiony.

– Ach tak... - wyrzekł nieco zmieszany owymi słowy i towarzyszącą im wesołością opat.

– Czy znaleźliście tę osobę wśród poległych? Jeśli tak, to może zechcielibyście wspomóc nasze przedsięwzięcie? - kontynuował zakonnik, przezwyciężywszy moment zawahania.

– Nie, nie. To znaczy nie ma go wśród poległych... A cóż to za przedsięwzięcie?

Lombardczyk pomachał przecząco dłonią, potem zaś z wyraźnym trudem narzucił sobie poważny ton, nie chcąc urazić rozmówcy nadmierną wesołością.

– Chodzi o posługę dla zmarłych, której się podjęliśmy. Wystąpimy do księcia z prośbą o wsparcie, ale każdy datek na kaplicę lub choćby jakiś skromniejszy grób będzie mile widziany...

Włoch otarł rękawem kurtki usta, bębniąc po blacie stołu palcami. Na serdecznym i małym palcu mężczyzny błysnęły dwa całkiem okazałe sygnety.

– Oczywiście. Chętnie wspomozemy zbożny cel - oświadczył po krótkim namyśle Alberto, sięgając po przywiązany do pasa trzos. Lugi w milczeniu poszedł za przykładem brata, odstępując na moment od posiłku.

– Ale powiedzcie, proszę, kogóż tak szukacie? - opat spytał z czystej grzeczności, aby zagłuszyć dźwięk brzęczących monet.

– Zwą go Jan Haquelin - odparł Lombardczyk, równocześnie kładąc przed sobą parę srebrnych monet.

Nowicjusz, który cały czas stał za plecami gości, przybliżył się i dolał im wina. Równocześnie zręcznie zsunął ze stołu monety.

– Haquelin... Haquelin... coś mi to mówi. Marcinie? - opat zamyślił się, po czym zerknął na brata Marcina.

Ten odwrócił ku zwierchnikowi spojrzenie. Wyglądało jednak tak, jakby jego umysł był zupełnie gdzie indziej. Sędziwy opat znał nadto dobrze ten nieobecny wzrok brata Marcina. Wiedział, że w takich chwilach większe byłyby szanse na uzyskanie odpowiedzi od kozła. Zmarszczył więc tylko lekko brwi i zwrócił wzrok na brata Teodora.

– Przecie Haquelin to ten nieszczęsny rycerz. Azaliż on się raczej Gwidonem niżli Janem mianował - rzucił brat

Teodor bacznie śledzący konwersację.

– Ależ oczywiście! - podchwycił opat.

– Wszak ród owych Haquelinów z tych stron się wywodzi. Żyli oni jeszcze jakiś czas temu niedaleko Calais. Była to całkiem głośna historia swego czasu. Nie żebyśmy przesadnie dbali o sprawy tego świata, ale... - duchowny przyjął usprawiedliwiający ton, rozumiejąc, że jego początkowa ekscytacja była niestosowna.

Alberto patrzył na niego teraz bardzo uważnie, lekkim skinieniem zachęcając do dalszych wywodów.

– Było to jakieś dziesięć wiosen temu, nie osiem, w roku kiedy zabito księcia Ludwika. Ród Haquelinów należał do jednych z najbardziej zagorzałych zwolenników władcy Burgundii. Gotowi byli pójść za nim wszędzie. Mówiono, że sam Gwidon pomagał w organizowaniu ucieczki Jana bez Trwogi z Paryża tuż po zabójstwie Ludwika. Czy to prawda, tego nie wiem, dość, że nie było Gwidona w owym czasie w jego włościach. To rzecz pewna, jego ziemie bowiem splądrowała podówczas jakaś banda angielska. Niektórzy powiadają, że w bandzie byli nie tylko Anglicy, ale i sąsiedzi pana Gwidona, również Burgundii przychylni, lecz zawistni. Tak czy inaczej, bandyci owi wyjątkowo okrutnie obeszlę się z rodziną Haquelina. Wycięto niemal wszystkich. Ocalał bodajże tylko syn pana Gwidona... No, jemu właśnie, o ile mnie pamięć nie myli, Jan było na imię. Ten Jan dość jeszcze wówczas młody stawał ponoć bardzo dzielnie w obronie swojej rodziny i mówiono, że na krok nie odstąpił w walce, aż go na ziemię obalili przemocą. Ponoć tak był już wówczas poraniony, że go zaniechali, pewnymi będąc, że ducha wyzionął lub że przynajmniej rychło to uczyni. Później go słudzy, którzy uciekli, nie mogąc dać odporu grasantom, znaleźli porzniętego wśród zgliszczy zamku. Przeżył jednak, na swoją większą niedolę chyba. Ojciec jego, wróciwszy na swe ziemie, znalazł jedynie pył i ruinę. Syn jedyny leżał bliski śmierci, żona zaś i dwie córki zginęły. Gdy to zobaczył, bez dłuższego namysłu konia zawrócił i biorąc ze sobą garstkę zbrojnych, co przy nim służyli, na sąsiada swego ruszył - opat przymknął oczy, jakby chcąc dokładniej odtworzyć w pamięci znaną sobie historię.

– Nie pomnę, jak to tam dokładnie było, dość, że sąsiad w obronie swojej stając, pana Gwidona w walce położył. Uznano wówczas, że widać sąd Boży się między nimi odbył, i sprawę zapomniano. Wszystko poszłoby łącznie w niepamięć, gdyby nie ów nieszczęśnik Jan Haquelin. Gdy tylko doszedł do siebie, ruszył do zabójcy swego ojca i wraz rzucił mu wyzwanie. Wyrzucono go jednak z zamku, twierdząc, że nikt mu za nic satysfakcji dawał nie będzie. Powiedziano mu też, że ojciec jego na niewinnego rycerza napadł i za to poniósł sprawiedliwie śmierć. Będąc człowiekiem dość młodym a porywczym, nie mógł Jan tego despektu strzymać. Poczekał więc, aż ów sąsiad wyjedzie z zamku, i pojechał za nim aż do Lille, gdzie tamten jakoweś miał sprawunki do załatwienia. No i tam zrobił rzecz, na którą chyba tylko najbardziej oszalały z nienawiści człek zdobyć się zdoła. Rzucił się na zabójcę ojca na samym rynku pośród wielu świadków, nie mogąc najwidoczniej już dłużej wytrzymać.

– I cóż? Zabił go? - spytał Alberto w skupieniu chłonący każde słowo opata.

– Zabił go na miejscu, a wraz z nim trzech jego poddanych, którzy próbowali stawać w obronie swego pana. Musicie

bowiem wiedzieć, że był to człowiek niebywałego wprost talentu, jeśli idzie o sprawy wojenne. Pewnie mimo to nie zdołałby powalić czterech ludzi, gdyby tamci się spodziewali napaści. On jednak zaskoczył ich, ledwie któryś zdążył dobyć broni. Gdyby to wszystko działo się na ziemi pikardyjskiej, głowa tego Jana Haquelina z pewnością spadłaby już wówczas. Ale w Lille zwrócono uwagę na wielkie zasługi, które pan Gwidon oddał księciu Janowi. Rozumiano też, że może nie bez podstaw była ta chęć odwetu na sąsiedzie. Koniec końców, uznano Jana za winnego morderstwa, ale miast karać śmiercią, skazano na banicję. Od tego czasu słuch o nim zaginął. Przynajmniej w naszych stronach nic już chyba dalej o jego losach nie wiadomo.

– Dziękujemy za strawę i za pouczającą opowieść - odparł w zamyśleniu Alberto. Niedługo potem Lombardczycy ruszyli w dalszą drogę.

Powolny tupot kopyt na podmokłym klasztorным dziedzińcu był dźwiękiem nader niecodziennym. Zajęci pracami zakonnicy jeden po drugim przerywali robotę. Kolejne ozdobione tonsurami głowy zwracały się w stronę grupy jeźdźców. Konni jechali stępą, lustrując podejrzliwie okolicę. Pośrodku zbrojnego orszaku postępowało dwóch odzianych w łachmany ludzi. Końce powrozów, na których ich prowadzono, zostały starannie przywiązane do siodeł. Serjeanci mieli na sobie lekkie pancerze, głównie gambesony, spod których wystawały nieco dłuższe kolczugi. Na wierzchu zaś nosili krótkie tabardy z wymalowanymi znakami pana Azincourt. Zarówno nowo przybyli, jak i zakonnicy czuli, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Chrzęsty objijających się o kolcze spódniczki rękonożki rozbrzmiewały złowieszczo w klasztornych murach. Opat wyszedł zbrojnym na spotkanie krokiem pewnym, zupełnie tak, jakby to uczynił, chcąc przywitać każdego innego gościa. Guillaume widział całą scenę o wiele lepiej, niżby sobie tego życzył. Rozciągnięty na deskach piętra stajni, uważnie obserwował uklepany dziedziniec poniżej. Próbował na szybko obmyślić jakiś plan ucieczki dla siebie i młodego Neville'a, a równocześnie w pośpiechu wiązał sznurki saszki od spodni.

– To ludzie pana Azincourta - odezwała się szeptem mleczarka, pomagając giermkowi z saszkiem. – Ci więźniowie to chyba jacy zamorscy. U nas to raczej rudych nie masz - dodała po chwili.

Guillaume zwrócił głowę w stronę dziedzińca. Jeden z prowadzonych na powrozie mężczyzn miał rude, bardzo potargane włosy. Znać jednak było, że fryzura jego była jeszcze do niedawna niezwykle modna i elegancka. Giermek zaklął pod nosem. Sam nie potrafiłby stwierdzić, czy rozpoznanie Cedryka bardziej go zirytowało, czy zaskoczyło. Ostatecznie nie był w stanie w żaden sposób zrozumieć, jak rycerz mógł wiedzieć, gdzie go szukać, bo że doprowadził do niego oddział miejscowych zbrojnych, wydało się Guillaume'owi oczywiste.

Tymczasem wierzchowce serjeantów stanęły, zajmując podwórze. Jeden ze zbrojnych wyjechał na czoło orszaku i przemówił do opata.

– Wyście to, panie, Baudouin d’Héricourt de Canlers, opat tego klasztoru? - pytał zbrojny, z wysiłkiem artykułując nazwisko.

– Tak. Wyście zapewne zbrojni pana Ysembarta d’Azincourta. Cóż sprowadza tylu zbrojnych w obręb murów klasztornych? - w słowach opata zabrzmiała bardzo cicho reprimenda.

– Szukamy maruderów po angielskiej armii... z rozkazu pana de Peigneufa - odpowiedział uprzejmie serjeant, widząc niezadowolenie na twarzy kanonika.

– Nie ma tu nikogo takiego. Przebywa u nas jedynie pewien raniony w bitwie królewski rycerz wraz ze swoim giermkim - odparł po krótkim namyśle kanonik.

Na zarośniętym, wystającym spomiędzy kaptura kolczego i basinetu obliczu rysował się wyraz niezadowolenia.

– Prowadzimy tu ze sobą kilku Anglików. Twierdzą, że kogoś tu szukają, że to niby jakaś sprawa honorowa. Oczywiście, nikt nie daje wiary ich kłamstwom, bo rzecz pewna, że włóczą się po okolicy jak zwykli rabusie, ale... Jak zwą tego rycerza? Chciałbym z nim pomówić - żołnierz zakończył wreszcie niezgrabny wywód.

Guillaume poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Zerknął szybko na tylną ścianę stajni w poszukiwaniu drugiego wyjścia. Niestety, ściana wyglądała na zupełnie solidną konstrukcję, której twórca nie przewidział wykorzystania jej w tak niezręcznych sytuacjach. Gdy giermek pana Moorowa zwrócił głowę na powrót w stronę dziedzińca, by usłyszeć dalszą rozmowę, wyłowił kątem oka ciekawskie spojrzenie mleczarki.

– Teraz nie możecie się jeszcze z rannym zobaczyć. Przyjedźcie za parę dni, gdy jego stan się polepszy, a zwą go panem Neufville.

Słowa opata zadudniły w uszach giermka wraz z pompowaną do nich krwią. Mimo że już zmierzchało, a zbrojni trzymali się w pewnym dystansie od stajni, Guillaume zauważył wśród nich jakieś poruszenie. Był to Cedryk Rainford, który słysząc niezbyt przemyślnie zakamuflowane nazwisko, wyprostował się cały, nasłuchując. O ile wcześniej perspektywa ucieczki chyłkiem była dla Guillaume’a jedynie kusząca, o tyle teraz wybiegnięcie frontowym wejściem i puszczenie się biegiem między zbrojnymi stawało się pomysłem wręcz doskonałym. Giermek widział już w myślach, jak jego wierzyciel zdradza się ze swoim odkryciem i jak zbrojni zsiadają niespiesznie z wierzchowców, by przeszukać klasztor. Minęła chwila pełna napięcia, w której jednak nie ziściła się żadna z fatalnych wizji.

– No cóż. Trzeba nam wracać na zamek. Tych tu weźmiemy ze sobą, pewnie się ich w piwnicach o chlebie i wodzie osadzi. Co do was, wielbny ojcze, to uważajcie na siebie. Jeśliby ktoś was nękał, pošlijcie kogo do nas. My natomiast przybędziemy tu pewnikiem za parę dni, coby się z tym waszym gościem rozmówić.

– Z Bogiem - odparł krótko pan Baudouin.

Zbrojni zawrócili pośród prychnania targanych za uzdy koni i pojechali ku bramie wjazdowej. Guillaume odetchnął głośno i bezwiednie.



– Proszę, proszę. Nie sądziłam ci ja, że z takim brygandem przyjdzie mi się zadać.

Giermek zdrętwiał, uświadomiwszy sobie obecność wieśniaczki. Spojrzał uważnie w jej duże brązowe oczy. Podobnie jednak jak ton jej wypowiedzi, zdradzały one tylko figlarną uciechę, nie było w nich trwogi. Zaskoczyło go to.

– Zdaje mi się, że teraz los wasz w moich, panie, rękach - dodała zawadiacko, kierując dłoń ku miejscu, w którym spoczywał raczej los potomków Guillaume'owych niż jego własny.

To nie był łatwy poranek dla Henryka de Peigneufa. Nie był to łatwy tydzień ani miesiąc. Sięgając pamięcią wstecz, kasztelan Azincourt potrafił bez trudu wspomnieć lepsze lata. Nie chodziło nawet o to, że miał straszego kaca, ludzie w niewielkiej sieni jego kasztelu darli się wniebogłosy, a psy szczekały na nich jak opętane. Głównym problemem Henryka nie był nawet przeszywający skronie ból i szum w uszach, ilekroć któryś z wieśniaków zakrzyknął głośniejsze, popchnięty przez pilnującą porządku straż. Jego prawdziwą i głęboką zgryzotą było pole pełne trupów, na którym zaledwie dwa dni wcześniej dokonana się straszliwa masakra. Oczywiście bolało go to, że obszar podległy jego jurysdykcji zalegał ścięty kwiat francuskiego rycerstwa. Jednak główny kłopot polegał na tym, że to właśnie on musiał wszystko posprzątać. Pierwszego dnia upił się wobec tego dość wcześnie i teraz natłok bieżących spraw czekał, by zwalić się na jego barki.

Strażnik wprowadził na środek pomieszczenia mężczyznę odzianego w habit.

– Ten człowiek podaje się za wysłannika papieskiego. Ponoć handluje relikwiami. Zabraliśmy go z gospody, po tym jak doniesiono nam, że jego balsam omal nie zabił pewnego biedaka w okolicy Bapaume.

Mężczyzna kręcił się nerwowo i chciał coś powiedzieć, ale jako częsty bywalec sądów wiedział, że lepiej nie wychodzić z inicjatywą.

– Co macie na swoją obronę? - spytał kasztelan zachrypniętym głosem.

– Co do relikwii, to wszystko prawda, mam ich tu ze sobą trochę. Wszystkie pobłogosławione przez samego papieża.

– Ciekawe którego, powsinogo!?! - rozległ się krótki okrzyk kogoś z tłumnie zebranych i wystawianych na próbę cierpliwości chłopów.

– Tak, więc co do relikwii, to prawda, że przypadł mi zaszczyt posiadania kilku w mojej pieczy. Jeżeli zaś rozchodzi się o gospodę, to wszak i najbardziej pobożny pielgrzym winien jadać, nawet jeśli wykonuje zbożną misję.

– A cóż z tym balsamem? - głos pana Henryka zdradzał ogromne znużenie.

– A co ma być? Wszak wiadome jest, że relikwia służy temu jeno, kto ma czyste serce, w przeciwnym zaś razie szkodzi mu i gnębi nieczystą duszę, tak jak Pan pognębić potrafi swoich nieprzyjaciół - mężczyzna przerwał na moment, widząc, że namiestnik szepcze coś do siedzącego nieopodal skryby. – Poza tym, panie, umiem pisać i

powiniennem przed kościelnym odpowiadać sądem, jeśli w ogóle przed jakim. Możecie zresztą, panie, sami zobaczyć mój dobytek. Choćby tu przy sobie mam muszelki od świętego Jakuba - po tych słowach mężczyzna zaczął przeszukiwać swoje powłóczyste szaty.

- Nawet gdybyście mieli świętego Jerzego walczącego ze smokiem, mało mnie to ciekawi. Ważne, czy list ze stosowną pieczęcią z kancelarii papieskiej macie. Ze stosownej kancelarii stosownego papieża, ma się rozumieć - flegmatyczny głos pana Henryka z trudem przebijał się przez szmer szeptów i sporadyczne poszczekiwanie psów.

- Nie mam, niestety, bo przedstawcie sobie, panie, że kiedy przyszedł po mnie, gdy w gospodzie przebywałem, strażę, tak mnie rychło a przemocą wzięły, że ledwie tę tylko suknię i te oto parę muszelek wziąć ze sobą zdołałem - przesłuchiwany wyjął na dowód swoich słów kilka niewielkich muszelek, które wysupłał wreszcie zza fałd habitu.

- Do lochu z nim. Tydzień o chlebie i wodzie - orzekł krótko de Peigneuf. Strażnik odprowadził zrezygnowanego więźnia.

Skronie zakłuły gwałtowniej, gdy ktoś z hukiem trzasnął wejściowymi drzwiami.

- Panie! Zakonnicy z Ruisseauville zgodzili się uprzątnąć ciała. To jest uczynić zmarłym godny pochówek - poprawił się zbrojny, zerkając z ukosa na tłum petentów, którzy zamilkli na chwilę ciekawi nowinek.

Oczy kasztelana d'Azincourt wzniosły się dziękczynnie ku górze, a usta wyszeptały ciche błogosławieństwo.

- Świetnie. A właściwie to kiedy zdążyliście porozmawiać z zakonnikami? - dopiero gdy usłyszał własne słowa, pan Henryk pożałował ich wypowiedzenia.

- No cóż, panie. Już wczoraj u nich byliśmy, ale nie chcieliśmy wam przeszkadzać... - opieszale odparł serjeant.

- No dobrze. Odprawić mi tych wszystkich ludzi. Nie mam dziś czasu na sprawy chłopów, kiedy stan rycerski mnie potrzebuje.

Strażnicy zaczęli wypychać niesforną ludzką masę za drzwi sieni. Rozległy się głosy protestów. Wśród strzępków słów dało się słyszeć coś o nieszanowaniu prostych ludzi i nadużywaniu stanowiska. Było tam też o nieróbstwie, pijaństwie, jak również o podobieństwie do trzody chlewnej i gustowaniu w młodych pachółkach. Henryk ze spokojem wysłuchał i zapamiętał tych, którzy krzyczeli najgłośniej i wystarczająco wyraźnie, by można ich było zidentyfikować. Potem przez chwilę delektował się ciszą.

- Dobrze, czy jest jeszcze coś? - spytał w końcu, zerkając z nadzieją na zbrojnego.

- Tak, panie - odparł tamten nieśmiało.

Namiestnik westchnął i poprawił fałdy spływającej po poręczach dębowego krzesła sukni. Potem przyłożył dłoń do pulsującej skroni, co nadało jego postaci majestatu. Uspokoiło też nieco rytmiczne dudnienie krwi.

- Mów - padło w końcu przyzwolenie.

- Złapaliśmy nieopodal Ruisseauville jakichś Anglików, mój panie. Rycerz i jego pocztowy. Na twarzy pana Peigneufa zagościło ożywienie.

– Dawać ich tu.

Serjeant skłonił się, po czym gestem przywołał stojących za drzwiami ludzi. Między strażnikami stało dwóch mężczyzn, z których jeden miał na sobie niemal pełną zbroję.

– Rozumiecie naszą mowę? - spytał namiestnik, bacznie obserwując pochwyconych cudzoziemców.

– Tak - odparł rycerz, prostując się przy tym dumnie. Dawało się poznać, że nawet najdrobniejszym gestem nie chce ustępować przed namiestnikiem.

– Za mało się nagrabiliscie czy co? – Urzędnik nie powstrzymał szczerzej ciekawości, wlepiając spojrzenie w przybysza.

– Nie wiem, o czym, panie, mówicie. Jestem królewskim rycerzem. Wasalem pana tych ziem. Odłączyłem od armii ze względu na sprawę natury osobistej. Poszukuję dłużnika.

Namiestnik wpatrywał się w przemawiającego rycerza, wyglądając przy tym, jakby nie był pewny, czy nie dręczą go alkoholowe majaki.

– O jakimż to panu prawicie, cny gościu? Lenno z tej ziemi należy do miłościwie nam panującego Karola VI, wszak chyba nie tego pana mieliście na myśli?

– Zaiste, nie tego. Rozumiecie chyba jednak, że zaszły ostatnimi czasy zdarzenia, które odmieniły wcześniejsze bezprawne porządki. Wśród strażników rozszedł się szmer niezadowolenia. Jeden z nich podszedł do więźnia i wziął krótki zamach ściskaną w dłoniach glewią.

– Stój! - głos namiestnika powstrzymał wymierzony drzewcami cios. Żołnierz niechętnie opuścił broń i splunąwszy, odstąpił od Anglików.

– Jakkolwiek by się sprawy na naszych ziemiach miały, rozumiecie chyba, że to ja jestem tu władcą z ramienia mojego króla i że mam prawo pozbawić głów wasze harde karki. Po cóż więc przyszedłeś tutaj ze swoimi sługami? Chyba nie sądziłeś, że pozwolę poddanemu Lancastera swobodnie załatwiać swoje sprawunki na pikardyjskiej ziemi?

Ciszę, która zapanowała, przerywał jedynie odgłos łap psów, które biegały rozochocone po całym pomieszczeniu. Kasztelan Azincourt zmarszczył brwi. Rycerz tymczasem odpowiedział pomału i stanowczo.

– Otóż na to właśnie liczyłem. Nie chciałbym przez jakieś nieporozumienie zetrzeć się z waszymi ludźmi, a jak już rzekłem, mus mi tu poszukać dłużnika. Sami więc rozumiecie...

– Do lochu z nimi... - przerwał Anglikowi pan de Peigneuf. Przez chwilę myślał nad czymś, odprowadzając wzrokiem szamoczących się ze strażnikami Anglików.

– Bezczelny głupiec - skomentował pod nosem, a potem westchnąwszy, powstał z krzesła. Zakręciło mu się w głowie i pomyślał, że najwyższy czas na zasłużony odpoczynek.

## Rozdział 5

Trzej rycerze po opuszczeniu okolic klasztoru szybko znaleźli wąską ścieżkę biegnącą na wschód. Wędrowali w milczeniu, lecz towarzyszyły im miarowe szczęknięcia zbroi Clermonta. Po około dwóch kilometrach marszu sir Ralf zaczął z wolna wątpić w celowość całego przedsięwzięcia. Nie mieli koni, nie mieli pewności, że Huxley ruszył do Flandrii. Tworzyli dziwną grupę. Rycerz w pełnej zbroi do jazdy konnej w towarzystwie dwóch niby-giermków, odzianych jedynie w pikowane w pas lniane aketony. Nie dość, że szli na własnych nogach, to na dodatek nie mieli ekwipunku podróżnego. Jakoś nie widziało się weteranowi, by pierwszy lepszy urzędnik nie połapał się w ich fortelu. Z ponurych rozmyślań wyrwał sir Ralfa nowy dźwięk, który zaczął im towarzyszyć. Był to ciężki oddech Clermonta. Pan Moorow dopiero teraz zrozumiał, że ich francuski przewodnik miał na sobie dwadzieścia kilka kilogramów stali, a na stopach sabatony z przystosowanym do strzemion długim nosem. Rycerz nie zdjął nawet ostróg. Na jego twarzy, mimo chłodu, szklily się grube krople potu.

– Panie Bertrandzie... - zagadnął sir Ralf.

– Tak? - wysapał Francuz.

– To chyba jednak nie jest dobry pomysł, żebyście paradowali w tym skądinąd wyśmienitym pancerzu. Nie dojdziemy tak zbyt daleko.

– Nie wiem, o czym mówicie, panie... przecież to część konceptu, droga jest prosta, z pewnością nie pobiędzimy - Clermont mówił z wysiłkiem, ale nie zająknął się nawet.

Pan Moorow spojrzał na barona, chcąc go zachęcić do zabrania głosu w tej sprawie. Pitchfork nie zdawał się jednak ani trochę zaskoczony ripostą Clermonta.

„Masz ci los... to mi dobrany duet. Szkoda tylko, że nie ma tu jakiego skryby, żeby zdał sprawę z tych mężnych poczynañ. Oj, młodzi jeszcze jesteście. Zobaczymy, co będzie za dwie mile, ale krzepcy są obaj jak tury - pomyślał sir Ralf, zerkając to na bratanka, to znów na twardo maszerującego Clermonta. – Przyjdzie co do czego, to choćby łbami rozbiją Vaartbrutowy zameczek”.

Ledwo jednak wyobraził sobie malowniczą dwuosobową szarżę na mury, gdy zobaczył przy ścieżce osiodłanego konia skubiącego przydrożne chaszczce. Podeszli bliżej. Pochłonięte posiłkiem zwierzę nie przejęło się zbyt obecnnością ludzi.

– Ha... widać znak to niechybny, byśmy kontynuowali naszą misję w sposób godniejszy niż uprzednio - zadudnił basem sir Artur, podchodząc z uśmiechem do wierzchowca.

– Nie jest to może rumak bojowy, ale całkiem przyzwoity... jak to się po waszemu mówi, *raisin*<sup>[5]</sup>?

Sir Ralf postanowił podszlifować nieco swoją francuszczyznę. Nie przepuścił zatem okazji, by zabłysnąć

trudniejszym terminem. Clermont

zrobił zdziwioną minę.

– *Raisin?* Aaa... *roncin*<sup>[6]</sup>, tak, tak to przyzwoity *roncin*.

Pan Bertrand uśmiechnął się lekko, po czym podszedł do konia i pogłaskał go po chrapach. Sir Ralf odwzajemnił uśmiech. Na jego obliczu

malowała się duma. Pozostał nieświadom tego, że ze znanstwem w głosie wychwalał winogrono, patrząc na podjezdka.

– No to wskakuję! - zakomenderował po francusku baron, spoglądając zapraszająco na Clermonta. Po krótkiej konsternacji rycerz pojął zamysł towarzysza i sam dosiadł wierzchowca.

– Hmm... może w okolicy są inne luzaki, których moglibyśmy użyć? - zasugerował pan Moorow.

– Objadę ten bór i niebawem wrócę - zaproponował Clermont.

Sir Ralf zawahał się nieco, usłyszawszy propozycję pana Bertranda:

– Dobrze... ale wpierw chciałbym, byście dali słowo, że nie zbiegniecie i będziecie wspierać nasze przedsięwzięcie, nim zwolnimy was z tego obowiązku.

Clermont spojrział poważnie, po czym wyciągnął miecz z bogato zdobionej pochwy. Obrócił broń głowicą ku górze, chwytając za ostrze przy jelicach.

– Przysięgam na krzyż.

– Wobec tego jedźcie i wracajcie prędko - przyzwolił pan Moorow.

Clermonta nie było dość długo. Kiedy jednak wrócił, a do tego wzbogacił inwentarz grupy o dwa *ronciny*, sir Ralf i baron przywitali go ukontentowani. Gdy już wszyscy członkowie osobliwego pocztu znaleźli się w siodle, Francuz opowiedział o położonej niedaleko od drogi polance otoczonej bukowym borem. Wy tłumaczył, że tam właśnie znalazł konie, jak również cztery trupy. Zapewnił też, jakby dla uspokojenia, że żaden z zabitych nie był wysoko urodzony. Wieści te nasuwały różnorakie wnioski. Z jednej strony zrozumiałe było, że nikt nie upomni się o wierzchowce, przynajmniej w najbliższym czasie. Z drugiej, kontynuowali podróż dzięki jakiejś utarczce, raczej nie kryminalnej, sądząc po tym, że nie doszło do rabunku. Niemniej jednak doszło do zabicia czterech ludzi. Bystremu bailifowi, który odnalazłby w lesie ciała i nie mógł odszukać koni, mogłaby łatwo zaświtać myśl powiązania tych dwóch faktów i wyciągnięcia niefortunnego dla podróżnych wniosku o jak najbardziej kryminalnym, rabunkowym podłożu zajścia. Ze względu na te i podobne myśli oblicze sir Ralfa pozostało nieco skwaszone. Pan Bertrand nie szedł aż tak daleko w wyciąganiu złowróżbnych wniosków, gdyż było mu zbyt wygodnie w siodle. Do głowy przychodziły mu jedynie słowa dziękczynnej modlitwy za podarowane przez fortunę „rumaki”. Sir Artur w ogóle

nie miał zwyczaju martwić się o rzeczy przyszłe, jako że nie myślał o nich zbyt intensywnie. Rozumiał, że ma pod sobą wierzchowca, a przez to podróżuje, jak przystało na człeka jego stanu. Poza tym miał czyste sumienie, a przecież było to wszystko, czego Bóg od niego oczekiwał w obliczu ewentualnej sprawy sądowej. Chłonał więc rześkie wilgotne powietrze i cieszył oczy widokiem przydrożnych sosen.

Zaczynało już zmierzchać, gdy w końcu postanowili zjechać do widniejącej na horyzoncie wsi. Początkowe obawy przed kontaktem z miejscowymi, o których sir Ralf wiedział, że posługują się mową splątaną jak koszowa wiklina, zostały szybko rozwiane. Gospodarz, któremu szczekanie psa oznajmiło odpowiednio wcześniej przybycie obcych, wyszedł na ganek wraz z żoną, dwoma synami i córką. Kiedy ujrzał, również ze stosownym wyprzedzeniem, wymienitą zbroję Clermonta, odesłał syna szybko na powrót do izby. Gdy trzej rycerze zatrzymali wreszcie konie w obrębie gospodarstwa, pan domu osobiście przytrzymał wodze Clermonta, by ten mógł wygodniej zsiąść. Po chwili z chaty wyszedł syn i poczęstował przybyszy chlebem. Okazało się, że pikardyjski rycerz z łatwością dogaduje się z miejscowymi, których słowa były dla sir Ralfa prawie niezrozumiałe, a dla pana Pitchforka mogły być równie dobrze szczekaniem psa lub świńskim kwikiem. Jednakże dzięki temu tym lepiej udało się baronowi odegrać rolę głupka niemowy. Podjęto ich niezmiernie gościnnie. Gospodarz przedstawił siebie i całą rodzinę. Synowie i córka zajęli się końmi podróżnych, których pod swoje skrzydła rychło wzięła gospodyni. Solidnie wyglądająca drewniana chata wzniesiona została na typowej dla tego regionu kamiennej podmurówce. Wnętrze ogrzewał i oświetlał ogień z dużego kamiennego komina - świadectwo dobrobytu mieszkańców. Na odsuniętej w kąt szerokiej ławie stały dwie sosnowe dziaże. Kąt przyprószone był niesprzątniętą po pracy mąką, co świadczyło o tym, że gospodarz zajmował się najwidoczniej wyrabianiem chleba. Izbę wypełniał zapach ciasta, z lekką nutą dymu z paleniska. Cała ta sceneria silnie pobudziła wyobraźnię wygłodniałych gości. Zaraz też podano im ciepłą zupę o trudnych do ustalenia składnikach, a do tego po potężnej pajdzie chleba. Clermonta uradowała postawa gospodarza, gdyż choć nie należała do najrzadszych, nie stanowiła też typowego sposobu okazywania gościny. Tym bardziej cieszyło go to ze względu na zagranicznych towarzyszy, których mimo ciężkich okoliczności traktował jednak bardziej jak szlachetnych kompanów niż jak wrogich najeźdźców. Panowie Artur i Ralf byli również wielce radzi tej gościnie, a na Clermonta też jakoś nie potrafili patrzeć jak na jeńca, którym był, widząc w nim raczej honorowego i godnego towarzysza. Mimo więc całej osobliwości sytuacji, w której przyszło im się spotkać, trzej rycerze mieli jeszcze przed zupełnym zapadnięciem zmroku humory dość dobre, by pozwolić sobie na swobodniejszą rozmowę, która odbyła się w użyczonej im na noc stajni. Clermontowi gospodarz zaproponował co prawda swoje łożo, ale rycerz odmówił, wiedząc, że już od dawna obyczaj przewidywał odmowę w takiej sytuacji i że nie wyrządzi tym samym despektu życzliwemu człowiekowi. W stajni siana było pod dostatkiem, więc nie musieli się obawiać chłodu. Rozmowa, którą odbyli przed

snem, była niespodziewanie ciepła jak na ludzi, którzy zdążyli już ze sobą skrzyżować broń i właśnie wracali z wyprawy wojennej. Mówiono o wielu sprawach, począwszy od czynów zbrojnych, kończąc na zwierzeniach miłosnych. Sir Ralf rozwiązywał problemy językowe, pojawiające się od czasu do czasu między baronem a Clermontem, natomiast wino, którym obdarował ich gospodarz, zapewniło płynność porozumienia.

W końcu, widząc, że sir Ralf jest już bardzo senny, pan Bertrand postanowił poruszyć jeszcze jedną kwestię.

– Panowie... Wyruszyłem z wami jako wasz jeniec. Z wyjaśnień, jakich udzielił mi, panie, wasz giermek, zrozumiałem jedynie tyle, że wasz syn został zraniony przez owego zdradliwego Huxleya czy jak też kazał się ostatnio zwać, Haquelina. Pojąłem następnie, z rozmowy z wami, że uważacie, iż ów niegodny łotr zmierza z panną Rambures do granicy flandryjskiej, tam gdzie stoi zamek pana Vaartbruta - Francuz odczekał chwilę, by pozwolić sir Ralfowi przetłumaczyć swoje słowa baronowi. Potem kontynuował. – Zgodziłem się, uznając, że przykładam poczynaniami swymi rękę do sprawy godnej, a mojemu uwolnieniu służącej. Jednakże musicie, panowie, coś wiedzieć, nim wejdziemy w Vaartbrutowe progi - znów zrobił krótką pauzę, tym razem na skutek lekkiej czkawki. Następnie spojrzał trochę mętnie i podjął wywód. – Rozchodzi się bowiem o to, że ów cały Jakub Vaartbrut to zwykły tchórz i handlarz. Jest on bowiem co prawda z rycerskiego rodu, ale niezbyt sławnego, którego główną zasługą to chyba, że się jaki czas temu dał chłopom okolicznym prawie do nogi wyrznąć. Było to w czasie owych niespokojnych chwil, kiedy to pies Artevelde opanował naszą Flandrię. Ale wracając do Vaartbruta - Clermont pociągnął potężny łyk, i osuszył zupełnie pękate naczynie.

– Otóż człek to niegodny miana rycerza. Podkowy jego rdzewieją gdzieś pewnie, a pas jego z pewnością też mu nie służy, bo objąć by go nie zdołał. Nędznik ów dorobił się jednak niemałej fortuny, handlując wełną.

– Jakże to? Wełną handluje? Jakże więc w ogóle zwać go rycerzem komukolwiek do głowy przychodzi? - spytał, nie rozumiejąc, sir Ralf.

– Bo to nie on niby handluje, a brat jego, bękart, któremu się szlachectwo po ojcu nie należało. Jakub, będąc rycerzem po ojcu, a ziemi mając co nieco, bo jako wcześniej rzekłem, dostało mu się niemało w spadku po wymordowanych przodkach, handlem rąk nie chciał kalać. Pomyślał jednak, że brata wykorzysta, któremu wszak od losu dużo gorsza się dola dostała, jako że był z nieprawego łoża.

– Aha. Czyli Vaartbrut wziął pod swą opiekę bastarda po ojcu i jest mu cichym współnikiem.

– W istocie, tak jest właśnie i cała pokaźna Vaartbrutowa fortuna podszyta jest wełną z zakładów, które to niby zupełnie przypadkiem brat jego nieprawy na jego ziemiach prowadzi. A mówię to też po to, byście, panowie, właściwy sprawy ogląd mieli. Z nędznikiem przyjdzie nam mieć do czynienia, któren, jak sądzę, zechce panną szlachetną handlować. Nawet jeśli z rąk zbója miałby ją odkupić.

Po tych słowach oblicze sir Ralfa spochmurniało.

– Coś mi się widzi, że niezbyt rad wam będzie ów Flamand, panie Bertrandzie, jak już w jego włości wjedziemy -

zauważył cierpko.

– Ano niezbyt, bo to jeszcze warto wam wiedzieć, że raz mu, jak byłem na zamku Rambures, powiedziałem, co o jego rodzie i o nim samym myślę. Rzekłem mu to, gdyż zaczął jakoweś zakusy nieprzystojne do młodziutkiej panny Julii czynić.

– Panny Julii? - podchwycił z zaciekawieniem sir Ralf.

– Tak, Julii... młodszej świętej pamięci pana Ramburesa córki, a mojej... - Clermont zawahał się, mimo znacznego upojenia, przed dość mocnym wyznaniem.

– Wybranki i potajemnej pani serca - dokończył jakby z lekkim znudzeniem, kiwając głową, sir Ralf.

– Tak - przytaknął dumnie rycerz.

– Jeżeli dobrze wszystko wyrozumiałem, to wasza wypowiedź ku przestrodze była. Nie przyjdzie nam, innymi słowy, zbyt prosto po ziemiach owego Vaartbruta podróżować - podsumował bystro Anglik.

– No, łatwo nie będzie - przytaknął w zamyśleniu Francuz.

Nim ostatni z rycerzy usnął, byli już kompanami, a przelana krew i dawna podejrzliwość prawie zupełnie znikły z ich myśli, zostawiając miejsce na spokojny, krzepiący sen.

O ile wieczór, a w szczególności wieczерę, sir Ralf skłonny był zaliczyć do jak najbardziej udanych, o tyle poranek zaprezentował mu się zgoła odmiennie. Mimo że ściany stajni wykonano porządnie i nie było w nich, podobnie jak w dachach, żadnych dziur, jesienny chłód dał o sobie znać. Pan Moorow czuł go w kościach. Poza tym z wnętrzości rycerza dobywały się niepokojące bulgoty. Sir Ralf zdążył już niemal przywyknąć do codziennych dolegliwości, nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że są one z czasem coraz dotkliwsze. Wstał, rozcierając zgrabiałe dłonie i zmarznęte uszy. Sir Artur, najwidoczniej zmówiwszy już poranną modlitwę, ćwiczył wypady. Potężny tułów wojownika wychylał się płynnie w przód i w tył na nogach, które dźwigały go z łatwością. Ostrze leciało w błyskawicznym pchnięciu do przodu, po czym równie prędko wracało do pozycji wyjściowej. W ruchach barona nie widać już było nawet echa niedawnego zranienia.

– Witaj, stryju! - zawołał pogodnie pan Pitchfork, porzucając na moment ćwiczenie.

– Witaj, bratanku! Widzę, żeś równie lekki na duchu jak w nogach, skoro ryczysz do mnie od rana w naszym ojczystym języku, niepomny tego, gdzie się znajdujemy.

Wesołość przygasła nieco na twarzy sir Artura, gdy przetrawił wreszcie wypowiedziane po francusku słowa.

– A tak, w istocie... - odparł już po francusku baron.

– Tak lepiej. Pamiętaj, mój drogi chłopcze, by używać jedynie francuskiej mowy, od tego zależy pomyślność naszej misji. Teraz wybac, ale muszę cię opuścić, bo w przeciwnym razie moje kiszki gotowe tu eksplodować.



Baron pokiwał ze zrozumieniem głową i zszedł z drogi skulonemu stryjowi. Potem wrócił do ćwiczeń, do monotonnego powtarzania ruchu, który był dla niego prawie tak naturalny jak oddech.

– Witaj, Arturze - zachrypnięty głos Clermonta dobiegł zza kupy siana.

– Witaj, Bertrandzie, czyżbym słyszał w twój głos wczorajszy wino?

– Być może... - przyznał rycerz, powstając chwiejnie i otrzepując przylegające do koszuli i spodni źdźbła.

– Trening od samego rana... no, zaczynam lepiej rozumieć, czemu zawdzięczam spuchnięty nos. Baronie, żyjesz wedle prawideł naszego stanu - przyznał bez fałszywego podziwu Francuz, rozglądając się w poszukiwaniu pełnego cebra lub studni.

Nagle dochodzący zza stajni głośny dźwięk przyciągnął jego uwagę.

– Mój Boże, czyżby to sir Ralf? - spytał z niedowierzaniem.

– Tak sędzę, choć brzmi raczej jak wystrzał z hakownicy - przyznał wesoło baron.

– Cóż... mam nadzieję, że przynajmniej przyniesie panu Moorowowi ulgę ta kanonada. Wróć do izby, zapłacę gospodarzowi, zabiorę suszące się na kominie rzeczy i będziemy mogli wyruszyć.

Baron przytaknął i kręcąc młyńca mieczem, wrócił do zarzuconego zajęcia. Dopiero po chwili zorientował się, że Clermont nie odchodzi.

– To jest, powinienem był rzec: zapłaciłbym, gdybym miał przy sobie mój trzos. Ale gdy leżałem spleciony pośród lin, jacyś łucznicy obrabowali doszczętnie mój namiot, sam więc rozumiesz, Arturze...

Baron zamrugał oczyma.

– Ach tak, oczywiście... - podszedł do leżącego obok ciężkiego pasa i sięgnął po mieszek.

– Nie wiedzieć, jakie są ceny... czy pięć szylingów to godziwa zapłata za gościnność, którą otrzymaliśmy?

– Nawet hojna, szkoda jedynie, że płacona angielskim srebrem... - Clermont z wahaniem spojrział na monety, które wręczył mu sir Artur.

– No tak... - zakłopotał się baron.

– Choć z inzej strony... człek, który nas gościł, wygląda na gospodarnego. Być może tym łacniej spojrz na cięższą monetę, nawet jeśli jest zamorska... - podsumował Clermont, waząc w garści pokaźnych rozmiarów *groaty*.

Optymistyczny wniosek został dobitnie podkreślony, głośnym dźwiękiem dochodzącym zza stajni.

Podróż przebiegała znacznie wolniej, niż przewidywali. Koń Clermonta, będąc zwykłym podjezdkiem, człapał z wysiłkiem pod brzemieniem opancerzonego jeźdźca. Rozmokła niewielka droga, którą wybrali jako mniej uczęszczaną przez ludzi, wiła się między co większymi drzewami, jakby twórcy ci, którzy ją wytyczyli, nie znali siekiery lub z jakichś względów zdecydowali się jej nie używać. Kopyta grzęzły w przykrytym grubą warstwą liści

blocku, niekiedy natrafiając na ukryty korzeń. Wszystkie te niedogodności stanowiły jedynie tło dla głównego problemu - niestrawności sir Ralfa. Anglik siedział skulony w siodle, blady, umęczony i wściekły. W nieregularnych odstępach czasu, nieprzekraczających jednak trzech pacierzy, trzeba było robić postój. Następnie pan Moorow sphywał po końskim grzbiecie i chwiejnym krokiem szedł na stronę. Panowie Artur i Bertrand siedzieli w takich pozycjach wyprostowani w siodłach zajęci błąhą konwersacją, starając się ukryć rosnące zaniepokojenie stanem zdrowia towarzysza. Po każdym kolejnym powrocie z krzaków oblicze sir Ralfa było coraz mizerniejsze. Nawet zwykle optymistycznie nastawiony baron zaczął rozumieć, że sytuacja jest poważna, a dalsza jazda nieroztropna.

– Wybacz, drogi bratanku... - przerwał towarzyszące im od jakiegoś czasu milczenie sir Ralf.

– Uważam, że trzeba nam zrobić postój - wszedł mu w słowo Clermont, ratując tym samym dumę pana Moorowa, który miał już prośbę na końcu języka.

– I ja tak myślę - podchwycił ochoczo sir Artur.

Zsiedli z koni i zeszli trochę ze ścieżki, bardziej z przyzwyczajenia niż autentycznej potrzeby, bo okolica wyglądała na mało uczęszczaną. Clermont i baron szybko przywiązali własne wierzchowce i pomogli sir Ralfowi, któremu sił starczyło jedynie na usadowienie się ciężko na pniaku zwałonego drzewa. Rzut oka na niedomagającego rycerza pozwolił jego kompanom określić z grubsza czas postoju. Wynosił on wedle ich oszacowania dokładnie tyle, ile potrzeba było na sprowadzenie pomocy. Stało się jasne, że kontynuowanie męczącej podróży jest niemożliwe.

– Nawet nie ma co rozsiodływać koni. Pojadę, może znajdę w pobliżu wieś - zawyrokował Clermont, zerkając na pana Moorowa, który tymczasem w dreszczach osunął się na gałęzie.

Francuz był już w siodle, gdy baron stojący ze spuszczonej rękoma, bezradny jak pachole, przemówił:

– Dobrze więc. Nie widzę innego wyjścia.

Zaraz potem Clermont popędził wierzchowca do lekkiego galopu, ryzykownego, zważywszy usłaną mokrym listowiem ściółkę. Sir Artur odwiązał przytroczone do siodła koc. Nakrył nim stryja, potem usiadł obok niego. Patrzył na rozpalone gorączką oblicze wieloletniego opiekuna, czując coraz wyraźniej lęk, uczucie znane mu do tej pory tylko ze słyszenia.

Sir Artur zdążył zmówić parokrotnie „Zdrowaś Maryjo” i „Ojcze nasz”, nim Clermont pojawił się z powrotem na miejscu postoju. Baron sięgnął wnet po schowany w przybocznej torbie wspaniałej roboty bursztynowy różaniec, noszący znak cechowy gdańskiego rzemieślnika. Rycerz zawahał się przez moment, a potem schował drogocenny przedmiot z powrotem do torby. Doszedł bowiem do wniosku, że mogłoby mu nie starczyć czasu na zmówienie całej modlitwy. Poza tym regularne dogłądanie chorego rozpraszałoby modlącego się i czyniło cały wysiłek daremny. Tymczasem stan sir Ralfa pogorszył się znacznie. Rycerz leżał w malignie, pojękując nieprzytomnie, twarz miała bladą jak nieboszczyk i gdyby nie owe sporadyczne odgłosy, które z siebie wydawał, snadnie można by go wziąć za umarłego. Z Clermontem przybyło dwóch smolarzy prowadzących ze sobą osła, do grzbietu którego przytroczone

drewnianą konstrukcję mającą, jak się okazało, służyć za nosze. Sir Artur nie rozumiał z początku, dlaczego nie sprowadzono raczej jakiegoś wozu. Dał temu dobitny wyraz w niezwykle niejasny i niepoprawny sposób. Smolarze, nie rozumiejąc słów rozgorączkowanego rycerza, spoglądali pytająco na Clermonta, który z kolei po dłuższej chwili zdołał wytłumaczyć towarzyszowi, że las jest zbyt gęsty dla zaprzęgu. Następnie z nie mniejszym wysiłkiem przedstawił, również nie najlepiej obeznanym z francuską mową tubylcom, czego się od nich oczekuje. Zrozumiawszy wreszcie, o co chodzi, smolarze załadowali pana Moorowa na przytroczoną do oślego grzbietu konstrukcję, po czym zaczęli się intensywnie zastanawiać, gdzie w pobliżu może być jakiś medyk, znachor lub ktokolwiek posiadający nawet nikłą wiedzę lekarską. Ostatecznie ustalwszy coś między sobą, zaproponowali Clermontowi wariant bardzo ryzykowny duchowo, co uczciwie zaznaczyli, ale sprawdzony i często stosowany w okolicy. Poproszono też przy tym rycerzy, by zachowali tajemnicę dla siebie. Panowie szybko przystali na warunki, nie do końca pojmując, w czym rzecz. Następnie poprowadzono ich w głęboki las, gdzie ponoć mieszkała „wiedząca kobieta”, zielarka, zwana przez nieżyczliwych „diabelską suką”. Im bardziej smolarze zagłębiali się w opowieść o kobiecie, w której ręce miał trafić sir Ralf, tym większą ulgę odczuwał Clermont na myśl o tym, że baron zupełnie nie rozumie tutejszego dialektu.

Gęsty z początku las ustąpił po niedługim marszu znacznie rzadszemu i dość osobliwemu borowi. Okoliczne drzewa były wszystkie proste i strzeliste. Nie widać było żadnych pokurczonych ani uschniętych roślin. Ponadto baron, choć przejęty stanem stryja, nie mógł nie zauważyć jeszcze jednego. Otóż pnie równo rosnących buków porastały ze wszystkich stron mchy. Zaczęło się ściemniać. Normalnie podróżni byliby o tej porze świadkami przebudzenia nocnych stworzeń, które swoim zwyczajem wypełniają noc niepokojącymi dźwiękami. Tu jednak było cicho jak w sanktuarium. Słyszeli jedynie wytłumiony mchem szelest własnych kroków. W pewnym momencie smolarze przystanęli i w milczeniu zabrali się do odczepiania noszy. Clermont zapytał, o co chodzi, a jeden z mężczyzn wskazał rycerzowi mającący w mroku ziemny kopiec, jedyne okoliczne wzniesienie. Potem chłopci jak na komendę uczynili znak krzyża i zaczęli prowadzić osła w drogę powrotną. Pan Bertrand próbował ich nieśmiało zatrzymać, ale smolarze tylko odburknęli niechętnie, a na koniec ponownie się przeżegnali i polecili rycerzy opiece świętego Sebastiana. Pan Bertrand nie zamierzał ich do niczego przymuszać, rozumiejąc, że w grę mogą wchodzić jakieś moce nieczyste, o których wcześniej wspominali. Co więcej, prowadzone przez rycerzy konie zaczęły okazywać zdenerwowanie. Baron spróbował pociągnąć trochę mocniej swojego wierzchowca, lecz ten zaraz powrócił na miejsce. Położył też po sobie uszy i zaczął ciskać wokoło niespokojne spojrzenia. Widząc to, Clermont przywiązał po kolei wszystkie trzy wierzchowce do wyprostowanych drzew. Odbył się to przy milczącej aprobacie pana Pitchforka.

Po krótkiej rozterce i paru jękach rozgorączkowanego sir Ralfa dwie pary krzepkich rąk uniosły nosze. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że kopiec wieńczy budowla. Wokół trzech wielkich tworzących łuk głązów sklecono

prymitywną drewnianą chatę. Było coś do tego stopnia niepokojącego w tej konstrukcji, że Clermont dwukrotnie zawahał się, nim w końcu uderzył stalową rękawicą w drzwiczki. Koronami buków potrząsnął lekki lodowaty wiatr. Pan Bertrand uniósł dłoń, by ponownie zapukać, i wtedy drzwi ustąpiły, a w wejściu stanęła skąpana w bladym świetle postać.

– Wejdźcie.

Sir Artur poczuł ciarki na plecach, słysząc owo pojedyncze słowo. Głos, który je wypowiedział, należał do kobiety młodej, a przepełniał go jakiś niezwykle spokojny. Baron przestąpił próg chatki z narastającym lękiem.

Wnętrze było niewielkie i wypełnione sprzętami, na które rycerze woleli zresztą nie patrzeć. Parę świec sączyło światło na stół i dwa regały. Cienie tańczyły po zwierzęcych skórkach, kościach i dziwacznych muszlach zdobiących ściany. Wszędzie pełno było słoików wypełnionych różnobarwnymi płynami. Z sufitu zwisały suszące się zioła, które przesycaly pomieszczenie duszącą mieszaniną zapachów. Brakowało jedynie bulgoczącego kotła, z którego wystawałaby ludzka pischel, żeby rycerze ujrzeli obrazek, którym straszono ich za młodu z iluminowanych manuskryptów w przykatedralnej szkółce.

– Spocznijcie, wielmożni panowie - niewiasta wskazała gościom ułożone przy stole skóry.

Położyli nosze na blacie kierowani gestami gospodyni. Baron cały czas czuł na sobie jej wzrok i gdyby nie fatalny stan stryja, wybiegłby pewnie w las, dając upust trwodze i nie dbając o reputację w oczach towarzysza. Gdy w końcu usiedli, niewiasta zaczęła oglądać chorego. Pitchfork zerknął na jej twarz, korzystając z tego, że jest zajęta, i niemal nie jęknął. Ruda czupryna fantazyjnie poskręcanych włosów odsłaniała co jakiś czas jasną, lekko piegowatą i prześliczną twarz. Mimo ogromnego zaniedbania szat i fryzury uroda wiedźmy była po- walająca.

– Będzie żył - zawyrokował w końcu spokojny zmysłowy głos. - Ale jego życie ma swoją cenę.

Niemalże czarne oczy wiedźmy wbiły się w pana Pitchforka jak szpony jastrzębia. Baron poczuł, że od tego spojrzenia zapłonął w nim ogień.

– Jaką? – spytał, marszcząc brwi, Clermont. - Zapłacimy ile trzeba

– Zaraz się jeszcze nad tym naradzimy, ale pierwej przygotuję wielmożnym panom jakowyś skromny poczęstunek.

Rycerze popatrzyli na siebie niepewnie, jak dwoje pacholąt, które przestrzegano wielokrotnie przed braniem podpłomyków i wina od nieznanomych. Straszne obrazy tańczących nad uspiionymi nieszczęśnikami diabłów stanęły im przed oczyma jak żywe.

– Chętnie przyjęlibyśmy strawę, lecz... - brzuch Clermonta zaburczał, kompromitując żalną próbę odmowy, którą podjął jego właściciel.

– Wpierw raczej wypada się zająć tym oto rycerzem - dokończył, chcąc zyskać na czasie pan Bertrand.

Wiedźma niechętnie przerzuciła wzrok z pana Pitchforka na Francuza, a następnie skinęła leniwie głową i wyszła z izby przez zasłonkę z kozłej skóry. Z drugiego pomieszczenia zaczęły dochodzić odgłosy przelewanych płynów,

niechybna oznaka tego, że złowróźbny kociołek czaił się gdzieś jednak w czeluściach chatki.

– Może nie powinniśmy tu przychodzić, drogi kompanie. Nie powiedziałem ci tego w lesie, bo któż dałby wiarę temu, co tłuszcza gada, ale ta kobieta jest ponoć wiedźmą...

Szept Clermonta rozległ się, gdy tylko gospodyni zniknęła z pola widzenia.

– Wiedźma czy nie, stryj potrzebny pomocy - odparł nieskładnie sir Artur.

– Na świętego Antoniego i jego ognie piekielne, chodźmy stąd, póki czas! - pan Bertrand wodził niespokojnie oczyma od zboląłego napiętego oblicza kompana do kotary z kozłej skóry i z powrotem. Pan Clermont minę miał wielce nietęgą. Wyglądał, jakby w każdej chwili spodziewał się ognia piekielnego.

– Wszystko będzie dobre, Bertrandzie. Nie strasz się - sir Artur położył towarzyszowi rękę na barku.

Zadziało. Clermont przestał mówić i zdjął rękawice, rozumiejąc, że przyjdzie im tu jeszcze trochę zabawić. Po chwili, w której rycerzom zdążyła przejść przez umysł galeria makabrycznych obrazów, wiedźma wróciła. Podała siedzącym miski z ciepłą, gęstą cieczą. Sama podeszła z trzecim naczyniem do niespokojnie oddychającego sir Ralfa i wylała mu jego zawartość do gardła. Pozostali goście z lekkim oporem zanurzyli usta w płynie, który okazał się słodki i całkiem smakowity. Mile rozgrzani pierwszymi łykami, szybko zapomnieli o groźbie zatrucia i bez dalszych oporów opróżnili miski. Clermont przetarł rozpromienioną brodę i zwrócił się do wiedźmy.

– Dziękuję za strawę, dobra kobieto. Teraz czas na... - pan Bertrand zamrugał oczyma raz i drugi.

– Czas... na... - powtórzył dużo wolniej, a następnie jego głowa opadła na napierśnik.

Rycerz przechylił się w bok i zaległ pośród skór, miarowo oddychając, jakby spał tam w najlepsze co najmniej od dwóch pacierzy. Baron zerknął na towarzysza i przełknął ślinę. Spodziewał się, że zaraz sam osunie się pod stół, a wtedy będzie całkowicie zdany na łaskę wiedźmy. Jednak senność nie nadeszła.

– Chodziło o czas na ustalenie zapłaty - słowa wiedźmy zadźwięczały ponętnie w uszach Anglika.

Kobieta podeszła do siedzącego w napięciu barona i nachyliła się nad nim, spuszczając mu na twarz poskręcane loki. Sir Artur zdążył jeszcze zobaczyć jej uwodzicielski uśmiech, tuż przed tym gdy go pocałowała. Baron należał do mężczyzn cieszących się względami kobiet. Zaznał w życiu niejednej pieśczoły, ale pocałunek, którym właśnie obdarowała go właścicielka chatki, przewyższał je wszystkie. Krew zadudniła w potężnym ciele pana Pitchforka. Przed oczyma pojawiły mu się na moment ognie piekielne i tańczące wokół niego diabły. Potem diabły zniknęły i został sam ogień. Powstał ze skór, unosząc ze sobą nieprzerywającą pocałunku wiedźmę. Zerwał z niej bez trudu powłóczystą szatę, zaraz po tym gdy przyparł ją silnie do ściany. Deski skrzypnęły, kobieta wydała z siebie przytłumiony jęk, ale nie przestała ani na chwilę go całować. Przyłgnęła do niego niemalże całym ciałem, splatając nogi za jego plecami. Kilka słoików na pobliskim regale zachybotowało, a parę spadło z brzękiem na okrytą skórą podłogę. Jednakże, jak za sprawą silnego uroku, nic nie było w stanie wyrwać ze snu pana Clermonta ani leżącego w malignie sir Ralfa. Nie było też takiej siły, która powstrzymałaby dziką żądę, która wstąpiła w barona i wiedźmę.

Szare światło jesiennego świtu zaczęło z trudem przedzierać się przez otulone skórą i suchym zielem ścianki chaty. Baron Pitchfork leżał, oddychając głęboko. Ugaszona żądza ustępowała miejsca nadchodzącemu zmęczeniu. Rycerz nie potrafił jednak zasnąć. Przypominały mu się słowa niedawnej przepowiedni, którą usłyszał od dziwnego pustelnika w lesie otaczającym Noyon. Mimo ogromnego zmęczenia sir Artur myślał bardzo intensywnie i z rosnącą obawą składał swoje przemyślenia w całość. Wiedział, że strasznie zgrzeszył. Rozumiał, że nadnaturalny pociąg, który poczuł do wiedźmy, był częścią jakiegoś szerszego zamysłu. Chłód przeszedł mu po plecach na myśl o zgubie i hańbie, które na siebie ściągnął. Czarownica dotknęła jego głowy i karku. Zaczęła go głaskać jak wielkie chore zwierzę. Ukoilo to trochę mężczyznę. Dopiero po chwili, gdy nadeszło odprężenie, poczuł wszechogarniającą, intensywną woń ziół. Kolejne fale świdrującej mieszanki zapachów, z której zaledwie parę zdołałby rozpoznać, ściągały na barona coraz większą senność. Kobieta przyłgnęła do niego swym kształtnym, zupełnie nagim ciałem. Zmęczenie stawało się coraz bardziej obezwładniające. Tuż przed zaśnięciem usłyszał przyjemny szept.

– Nie bój się, rycerzu. Twój Bóg zna twoją skruchę. Czuję w sobie życie. Obiecuję, że jeśli urodzę ci syna, uczynię go wojownikiem. Będzie mógł pójść swoją drogą... - słowa zadźwięczały słodko, a na bladą twarz zasypiającego barona wystąpił lekki uśmiech.

Panowie Artur i Bertrand obudzili się niemal jednocześnie. Clermont zauważył ze zdziwieniem, że spał w zbroi. Baron z nie mniejszą konsternacją spostrzegł, że ma na sobie swe podróżne szaty, które przecież zeszedł w nocy zrzucił w chwili miłosnego uniesienia. Przez moment trzymał się jeszcze uspokajającej myśli, że być może do niczego w nocy nie doszło. Gdy jednak ujrzał schyloną nad sir Ralfem wiedźmę pojąca go ze skórzanego bukłaka, wspomnienia ożyły, a ich wyrazistość nie pozwalała na pobłażliwe domysły. Kształt talii, burza ognistorudych loków i piękne lico zbyt mocno odbiły się we wspomnieniach rycerza, by uchodzić jedynie za senną marę. Pan Pitchfork jęknął cicho a żałośnie. Trudno byłoby jednak stwierdzić, czy to odezwało się sumienie, czy raczej był to spontaniczny zachwyty nad niewiściami wdziękami. Ta wieloznaczność nie umknęła czujnemu spojrzeniu podejrziwego Clermonta.

## Rozdział 6

*Piotr bywa ukazywany jako wzór działania i wiary. Jan, teolog, jest natomiast symbolem kontemplacji i wiedzy. (...) Obydwaj jednak biegną do grobowca. Tym grobowcem Chrystusa jest Pismo Święte, w którym tajemnice Jego bóstwa i człowieczeństwa spoczywają pod ciężarem litery, jakby przytłoczone kamieniem grobowym. Jan biegnie jednak szybciej niż Piotr i wyprzedza go. W rzeczy samej, cnota oczyszczonej już kontemplacji potrafi bystrzej i szybciej przeniknąć najgłębsze tajemnice Pisma, niż zdołałoby tego dokonać działanie potrzebujące jeszcze oczyszczenia. A jednak do grobu jako pierwszy wchodzi Piotr, Jan zaś dopiero po nim. I tak, obydwaj biegną i obydwaj wchodzi. Bo Piotr symbolizuje wiarę, a Jan rozum. A ponieważ napisano: „Jeżeli nie uwierzycie, nie ostoicie się” (Iz 7, 9), dlatego konieczne jest, żeby wiara weszła do grobu Pisma jako pierwsza, a dopiero po niej, w jej ślady, wszedł także umysł, któremu dostęp umożliwiła właśnie wiara<sup>[7]</sup>.*

Gdy wreszcie sir Robert nabrał sił, by powstać ze swojego łoża, postanowił przejść się nieco. Klasztor wydał mu się nader okazały. Przemierzając jego dziedziniec, dotarł do gmachu kościoła. Teraz przypomniał sobie, że widział już tę budowlę, gdy wniesiono go na noszach w obręb murów klasztornych. Była to krótka chwila, gdy odzyskał świadomość. Zaraz potem znów pogrążył się w malignie. Z zamyślenia nad mętnymi wspomnieniami wyrwały go wypowiedziane po łacinie słowa. Rozejrzał się wokół. Znów usłyszał całkiem znajomy głos, lecz tym razem słowa wypowiedane były po francusku. Jego wzrok padł na budynek leżący po drugiej stronie niewielkiego podwórza oddzielającego kościół od sadu. Ruszył zaintrygowany w tamtą stronę. Po chwili wahania rozwarł drewniane, łukowato zakończone drzwi. W małej izbie siedziało trzech uczniów naprzeciw brata Marcina. Sądząc po wyglądzie, byli w podobnym wieku, mniej więcej czternastu lat. W pomieszczeniu znajdowało się więcej pulpity, ale sprawiały wrażenie nieużywanych. Przed uczniami, których głowy momentalnie skierowały się ku wejściu, leżały woskowe tabliczki i rysiki.

– O! Witam, usiądźcie, proszę, panie Robercie, jeśli chcecie się przyłączyć - zaprosił serdecznie brat Marcin.

Rycerz przysiadł na jednym końcu ławy postawionej wzdłuż ściany, odprowadzany ciekawskimi spojrzeniami uczniów. Izba przypominała mu krótki okres nauki w szkole przyklasztornej. Odruchowo rozejrzał się po kątach, by z pewnym rozrzewnieniem ujrzeć w jednym z nich naszykowaną różgę. Kąt ów był jednak mocno zakurzony, z czego młody rycerz wniósł o słabym zastosowaniu tego akurat narzędzia dydaktycznego. Brat Marcin zrobił obrót na pięcie, gładząc przerzedzone wokół tonsury włosy. Potem przeszedł parę kroków i zawrócił. Drepcząc, miał wzrok wbity w

podłogę. Po chwili zaczął przemawiać.

– Tak... Jakie więc zdanie wyklucza się ze zdaniem „Każdy w tej izbie jest mędrce”?

Nie słysząc odpowiedzi, zakonnik przestał na chwilę krążyć i zerknął na blade twarze uczniów.

– Nikt z was nie wie? - zapytał ze smutkiem.

– Ja chyba wiem - odrzekł nieśmiało chłopiec siedzący obok sir Roberta.

– Zatem jakie to zdanie?

– Nikt w tej izbie nie jest mędrce.

– Dobrze, Gwidonie. Dlaczego tak zwlekałeś z odpowiedzią i skąd twa niepewność?

– Chciałem dać innym szansę, nie chciałem popadać w pychę - odparł skromnie, schylając głowę, młodzieniec.

– Bardzo to zacne postępowanie z twojej strony, ale na naszych lekcjach nie będzie nikomu poczytane za pyszne przyznanie się do tej podstawowej wiedzy, którą posiadamy w zakresie dialektyki dzięki Arystotelesowi. Filipie!

– Tak mistrzu? - wywołany przez nauczyciela uczeń aż podskoczył zaskoczony. Wyglądało na to, że wykład mniej go zainteresował niż przybycie nieznanego.

– Jakie zdanie jest sprzeczne ze zdaniem „Nigdy nie uważam na lekcjach dialektyki”? - spytał złośliwie brat Marcin.

– Eee... Czasem... nie... jakby to... Zawsze uważam na lekcjach dialektyki?

– To było pytanie czy odpowiedź? - ciągnął znudzonym głosem kanonik.

– Tak... więc... zawsze uważam na lekcjach dialektyki - poprawił się pokornie uczeń.

– Nie. A skoro nie jest tak, to powiedz mi, jaka relacja zachodzi między tymi dwoma zdaniami.

– Którymi zdaniami, mistrzu? - uczeń miał nadal problemy z koncentracją.

– Między zdaniem „Nigdy nie uważam na lekcjach dialektyki” a zdaniem „Zawsze uważam na lekcjach dialektyki” - odparł spokojnie brat Marcin.

– One... emm... wykluczają się, chyba.

– Nie tylko „chyba”, ale w istocie wykluczają się, a cóż to znaczy, że się wykluczają, René? - zakonnik postanowił pobudzić do wysiłku myślowego kolejnego podopiecznego.

– To znaczy, że z siebie nie wynikają - odparł szybko, ale bez przekonania chłopiec.

– Nie wynikają z siebie, to prawda, aczkolwiek twoja odpowiedź jest daleka od wyczerpującej. Gwidonie?

– To znaczy mistrzu, że nie są nigdy równocześnie prawdziwe.

– *Ita est*<sup>[8]</sup>... Zgadza się. Na koniec coś trudniejszego.

René i Filip spojrzeli po sobie z trwogą, Gwidon natomiast skupił wzrok na nauczycielu, zupełnie jakby w każdym najdrobniejszym ruchu ust zakonnika mogła tkwić podpowiedź.



– Co wynika z takiego oto zdania: „Jestem największym mędrcem na świecie i nie jestem największym mędrcem na świecie”? Nastąpiła tak głęboka cisza, że słychać było przytłumioną przez ściany krzątanicę na dziedzińcu klasztornym.

– Ale mistrzu!

– Tak Gwidonie?

– To zdanie jest wszakże wewnętrznie sprzeczne! - na twarzy Gwidona malował się ogromny wysiłek.

– Słuszna uwaga, Gwidonie, lecz cóż wynika z tego zdania? Nastąpiła przedłużająca się cisza.

– Z tego zdania wynika każde zdanie - sir Robert postanowił włączyć się w końcu do dyskusji, widząc, że uczniowie nie podołają wyzwaniu.

– *Ita est* - brat Marcin spojrział z zaciekawieniem na młodego rycerza.

Podobnie zrobili uczniowie, z tym że w oczach Gwidona była dodatkowo iskierka zawiści.

– Jakże mistrzu? Jak to może być? - nie wytrzymał wreszcie pilny uczeń.

– Może pan Robert powie nam, jak to może być? - zaproponował z tajemniczym uśmiechem zakonnik.

– Może to być choćby dlatego, że podają to jako prawo zarówno doktorzy Duns Szkot, jak i William Ockham.

Jednakże jest za tym i inna racja niż autorytet, i to ona nas powinna interesować. Każde zdanie sprzeczne jest fałszywe, co wynika z pierwszej zasady Arystotelesa. Utwórzmy więc konsekwencję, której pierwszym członem będzie sprzeczność, a drugim dowolne zdanie. Ale dla prawdziwości konsekwencji wystarczy fałszywość pierwszego jej członu, zatem cała tak złożona konsekwencja jest prawdziwa niezależnie od tego, czy drugi jej człon jest prawdziwy czy fałszywy. Wychodzi więc na to, że ze sprzeczności wynika dowolne zdanie...

Gdy skończył mówić, usta dwóch uczniów były rozwarte jakby w niemym krzyku. Natomiast powieki trzeciego zwięzły się nieprzyjaźnie. Zakonnik pokiwał głową z uznaniem.

– Myślę, że ten wywód godnie zakończył dzisiejszą lekcję. Możecie odejść.

Uczniowie z większą lub mniejszą ochotą opuścili pomieszczenie. Sir Robert został sam na sam z bratem Marcinem.

– Gdzie studiowaliście, panie Robercie?

– W Cam... w Paryżu.

– Gdzie, gdzie?

Zakonnik nachylił się, jakby niedosłyszał.

– W Paryżu, bracie Marcinie...

– Ach tak? To zabawne.

– Dlaczego? - sir Robert domyślał się już fatalnej odpowiedzi, ale postanowił odgrywać komedię do końca.

– Bo ja też tam się uczyłem, a nawet więcej, uczyłem tam, a was jakoś nie spotkałem.

– Byłem tam zaledwie przez chwilę. Zapewne się minęliśmy albo po prostu mnie nie zauważyliście.

– Wątpię. Dobrze zapamiętuję twarze, zwłaszcza te bystrzejszych uczniów, a do takich zaliczają się zazwyczaj ci, którzy zamiast powoływać się na autorytet, próbują podać solidniejsze racje swoich sądów.

– Zaczyna mi brakować przekonujących wyjaśnień. A jednak zdaje mi się, że bardzo trudno byłoby wam okazać prawdziwość twierdzenia, że nigdy nie studiowałem w Paryżu - odparł zadziornie młody Neville.

– Cóż... są sprawy, w których sama prawda nam wystarcza i nie szukamy już dowodu - odparł z lekko prowokacyjnym uśmiechem brat Marcin.

– Nie znam takich.

– A prawdy wiary, czy szukamy dla nich zawsze dowodu?

– Ja szukam zgodnie z nauką mistrza Abelarda - zadeklarował poważnie sir Robert.

– Bardzo mnie to cieszy. Uczyliście się więc w Cambridge?

Wyrwany z abstrakcyjnych rozważań i sprowadzony na ziemię sir Robert zbaraniał na moment.

– Wasza postawa jest dla mnie dostateczną racją trafności mojego przypuszczenia. Nie obawiajcie się jednak. Nie zamierzam się dzielić z innymi braćmi swoim odkryciem.

– Ale jak właściwie to poznaliście, bo przecież domyślaliście się już wcześniej, że jestem Anglikiem? - spytał z rezygnacją rycerz.

– Tak. Mówicie z zadziwiającą biegłością po francusku. Nawet wasz akcent potrafi zmylić, ale nie, jeśli zaczynacie mówić angielskie nazwy. Nazwy, oto, co was zgubiło.

Zakonnik roześmiał się lekko, najwyraźniej pod wpływem przychodzącego mu na myśl żartu lub zabawnego skojarzenia.

– No cóż, jestem teraz na waszej łasce, bracie Marcinie - przyznał niepodzielający wesołości rozmówcy Anglik.

– Jestem człowiekiem łaskawym, zwłaszcza dla wdzięcznych dyskutantów, więc nie macie się doprawdy czego obawiać - odparł pojednawczo zakonnik.

– A czy rozwikłaliście już problem, który przed wami postawiłem? Ten dotyczący liczb pierwszych - dodał po chwili kanonik, widząc zagubienie rycerza.

– Nie, ale jeszcze o nim pomyślę - odrzekł trochę urażony Neville.

Maria była początkowo sparaliżowana strachem. Obserwowała jadącego obok niej mężczyznę i drżała na samo wspomnienie tego, jak potrafi być bezwzględny i sprawny w walce. Skulona w siodle, modliła się w myślach o to, by na nią nie spojrzął, by nie wyprowadził go czymś z równowagi albo nie skłoniła do gwałtownych działań. Chciała nawet uwierzyć w jego rycerskie pochodzenie i w to, że jej nie tknie. Czuła się kompletnie bezsilna, gnębiło ją to i wprawiało we wściekłość. Huxley jechał spokojnie. Wyglądał schludnie w ciemnym żołnierskim ubraniu, z ekwipunkiem rozlokowanym wokół końskich boków. Miał wiaderko i niewielki garnek do gotowania wody, niedużą siekierkę obozową, cztery koce, hubkę i krzesiwo, nasączone oliwą szmaty na żagwie, solone mięso i

mnóstwo innych przydatnych na postojach rzeczy. Można było odnieść wrażenie, że jechał w z dawna planowaną podróż. Był spokojny i skoncentrowany. W milczeniu oporządzał wierzchowce i gotował strawę. Wszystkie, nawet najdrobniejsze czynności wykonywał z godną kopistą uwagą i starannością. Być może dlatego butna i skora do chadzania własnymi ścieżkami panna Rambures przez pierwsze dwa dni ani przez moment nie myślała o ucieczce.

Jej niespokojna natura nie pozwoliła jej mimo wszystko zbyt długo pozostawać w tym obcym jej stanie ciągłej trwogi. Zresztą, przebywając ze swoim oprawcą cały czas, oswoiła się wreszcie z myślą o jego obecności.

Od momentu przekroczenia granicy Pikardii jechali bardzo wolno. Haquelin kluczył, omijając trakty, a nawet średniej wielkości drogi. We flandryjskich warunkach okazywało się to wcale niełatwym zadaniem. Maria pozostawała pod wrażeniem ogromnego zaludnienia i liczby zabudowań ziem, które mijali. Co rusz ocierali się o jakąś osadę, z których niektóre były całkiem okazałe. Ponadto im dalej wjeżdżali w głąb kraju, tym częściej napotykali kamienne budowle, i to nie tylko kościoły czy warownie, które były tu raczej rzadkością, ale zwykłe gospodarstwa. Szybko też dała się im we znaki zmiana klimatu. Było wilgotno i parokrotnie musieli omijać wrzosowiska oraz szerokie bagna. Największym przełomem w sposobie postrzegania fechtmistrza przez Marię było odkrycie, że ten niezbyt dobrze wie, gdzie jest. Twarz miał jak zwykle spokojną i milcząco zaciętą, ale Maria już parę razy zauważyła, że strasznie kluczą, a czasem wręcz powracają do miejsca, w którym już byli. W końcu panna Rambures nabrała pewności. To nie mogła być tylko kwestia zachowania ostrożności i unikania głównych szlaków. Huxley najzwyczajniej nie znał zbyt dobrze drogi. Raz Maria omal nie parsknęła śmiechem, gdy napotkali na swojej drodze samotnego drwala. Haquelin podjął rozpaczliwą próbę dopytania mężczyzny o drogę. Okazało się jednak, że dworska mowa królów Francji niewiele znaczyła dla prostego flamandzkiego kmiecia. Było to dla Marii dość zabawne odkrycie. Uświadomiła sobie, że poddani potężnego Jana bez Trwogi, pana jakże bliskiej Francji Burgundii, nie znają języka swojego władcy. Mimo mizernego położenia Maria odczuwała rosnącą radość z powodu zagubienia towarzyszącego jej oprawcy.

Płomienie z kominka wspomagane kilkoma świecami rzucały światło na małą kamienną komnatę. Cienie tańczyły niemrawo i rytmicznie na belkowaniu sufitu. W krzesłach z wysokim oparciem siedziały obok siebie Julia i jej matka. Pani Anna haftowała pieczołowicie róże na jedwabnej chuście, wprawnym opanowanym ruchem tworząc pomału coraz bardziej skomplikowany wzór. Julia ziewała, patrząc szklistymi oczyma w ogień.

Jej rozpoczęta robótka leżała wzgardzona obok krzesła. Jakub Vaartbrut obserwował uważnie pannę Rambures, udając, że przedmiotem jego zainteresowania jest palenisko, na tle którego zarysowywał się profil młodszej damy.

– Czy mógłbym zainteresować moich szanownych gości jakąś grą? - zapytał, patrząc na kolejne ziewnięcie Julii.  
- Mam ich wiele w mojej komnacie....

– O tak! Zagrajmy, to świetna myśl! - Julia omal nie podskoczyła na wieść o tak atrakcyjnej w danych okolicznościach perspektywie.

Znów jednak chłodne spojrzenie matki szybko powstrzymało pierwszy entuzjazm. Tymczasem pani Rambures złożyła robótkę na kolanach i utkwiała spojrzenie w Vaart- brucie.

– Ale jakąż to grę chcecie nam zaproponować, panie Vaartbrucie? Ja sama miałabym kłopot z wymyśleniem czegoś, co nie byłoby w tej sytuacji niestosowne.

Flamand, jak zwykle w takich razach, całkiem stracił początkową pewność siebie. Odwrócił wzrok na zawieszony przy ścianie topór, jakby chciał poprosić oręż przodków o pomoc.

– Myślałem, że moglibyśmy rozegrać partyjkę w szachy albo jakieś *tabula*...

Oblicze pani Anny było niewzruszone jak skała, czego Flamand jednak nie widział, zajęty uporczywym wpatrywaniem się w stare żeleźce.

– I ja o tym pomyślałam... - pani Anna z wyrachowaniem zawiesiła swoją wypowiedź.

Flamand odwrócił z nadzieją głowę – ... gdy rzekłam, że nie znajduję gier stosownych na dane okoliczności - dokończyła z naciskiem pani na zamku Rambures.

Vaartbrut spuścił wzrok jak skarczone pacholę.

– No tak, zapewne macie pani rację, ale ja przecież chciałem jedynie zaproponować jakąś uciechę dla panny Julii, bo widzę, że nie ma dziś serca do haftu.

– To prawda, matko... wolałabym jednak zagrać w coś z panem Jakubem.

– Rozumiem, drogie dziecko, że nie masz dziś serca do haftu, i was, panie Jakubie, że chcieliście jak najlepiej, ale przecież nie mogę zezwolić na to, byście pozostali ze sobą na osobności. Wszak niejeden moralitet przestrzega przed zgubnymi skutkami takich gier, kiedy do planszy zasiadają osoby odmiennej płci... - pani Anna mówiła teraz znacznie cieplej, a jej słowa wywarły szczególnie silny wpływ na Julię, która dopiero teraz pojęła, że propozycja Flamanda może nie brać się jedynie z jego zamiłowania do gier.

W następstwie tych wniosków twarz młodej panny nachmurzyła się lekko, a czoło zmarszczyło w namyśle.

– Dlaczegoż jednak nie mielibyśmy zagrać tu przy tobie, matko?

– To już bardziej przystojna myśl, nie sądzicie, panie Jakubie?

Vaartbrut odbąknął coś niezrozumiale i wydał stojącemu przy drzwiach słudze jakieś dyspozycje w dialekcie flamandzkim. Po chwili do pomieszczenia przyniesiono drewnianą planszę do backgammona, wraz z dwoma kubkami i zestawem kości wykonanych z kłów morsa. Zaraz potem Julia i pan Jakub zasiedli do gry pod czujnym okiem pani Anny.

Tymczasem w dość odległej kniei sir Ralf zdawał się przeżywać ponownie wiek młodzieńczy. Zabiegom pielęgnacyjnym dokonywanym przez powabną znachorkę oddawał się ze szczerą radością. Z początku, będąc tego świadkami, pozostali rycerze mieli to za znamiona istic nadludzkiej odwagi. Oto bowiem pan Moorow, nie dość, że złożony chorobą, to jeszcze zdawał się bez trudu znosić zabiegi kobiety, o której wszak musiał wiedzieć, że ma do czynienia z siłami nieczystymi. Urósł zatem od razu w oczach młodszych towarzyszy, zwłaszcza zaś pana Bertranda. Dorównując im bowiem męstwem w walce, potrafił do tego bez najmniejszego trudu, a nawet z lekkim uśmiechem, poddawać się wielce podejrzanym zabiegom.

Podróźni spędzili w chatce jeszcze jakiś czas, nim sir Ralf zupełnie odzyskał siły. Panu Bertrandowi ten przedłużający się pobyt był bardzo nie w smak. Ponieważ jednak stan pana Moorowa poprawiał się z godziny na godzinę, młody Francuz opanował swój lęk i powściągnął słowa potępienia dla wiedźmy, o której przecież wiedział, że spoiła go jakimś magicznym napojem. Baron cieszył się bardzo, widząc rekonwalescencję stryja. Unikał jednak łakomych spojrzeń wiedźmy i dużo czasu spędził na modlitwie na wzgórzu nieopodal chaty. Sir Ralf natomiast sam zaczął przyglądać się swojej uzdrowicielce z coraz większym zainteresowaniem i każdą zmianę okładów i porcję mocno pachnącego wywaru witał z uśmiechem. Z czasem szukał podającej mu medykamenty dłoni i trzymał ją długo jakby w geście podzięki. Pan Clermont zaczął w końcu nabierać przekonania, że nie tyle ogromna odwaga kierowała sir Ralfem, ile raczej zgoła inna cecha jego charakteru. Zaczynało zmierzchać. Powietrze było chłodne, dało się w nim już wyraźnie wyczuć zapowiedź nadchodzącej zimy. Do tego mżyło. Mimo to pan Bertrand wolał się przejść, niż asystować przy chorym. Widząc modlącego się w pobliżu sir Artura, podszedł do niego.

– Sądę, że sir Ralf ma się już dość dobrze. Rzekłbym, że nawet wyśmienicie. Może czas już, byśmy wyruszyli, wszak ten łotr Haquelin ma nad nami przewagę dnia lub nawet dwóch - odezwał się Francuz, że gdy baron skończył modlitwę.

Sir Artur zrozumiał na tyle obszerne fragmenty wypowiedzi Clermonta, by wywnioskować, w czym rzecz.

– Zgoda. Weźmy stryja i ruszać w ścieżkę - zawyrokował z poważną miną.

Sir Ralf faktycznie był w na tyle dobrym stanie, że mógł ruszyć w dalszą drogę. Gorąco pożegnał znachorkę i podziękował jej za okazaną mu pomoc. Gdy w trakcie pożegnania przyszła pora na barona Pitchforka, ten spróbował zachować dystans i jedynie lekkim skinieniem wyrazić swą aprobatę dla pielęgnacyjnych poczynań wiedźmy. Ona jednak postanowiła inaczej pożegnać rycerza i zawiesiwszy mu się na szyi, ucałowała go w usta. Trzymający się parę metrów z tyłu pan Clermont zrobił minę, jakby to jemu powierzono zaszczytną rolę głupka niemowy. Oczywiście nie zamierzał żegnać się z kobietą nawet słowem. Zmieszany trochę baron i pogodny jak letni poranek sir Ralf odwrócili się wreszcie do towarzysza i podeszli do niego, chwytając uzdy swoich wierzchowców.

Szli przez jakiś czas w milczeniu, jakby instynktownie rozumiejąc, że lepiej nie zakłócać ciszy dziwnego zagajnika, w którym się nadal znajdowali. Nie dosiadali też zrazu koni, wiedząc, że sir Ralf ma ochotę

rozprostować nogi. Gdy w końcu wyszli poza obręb porośniętych ze wszystkich stron mchem nienaturalnie prostych drzew, Clermont nie wytrzymał i przemówił.

– Jak dobrze, że uszliśmy z tego przeklętego boru i ze szponów tej wiedźmy. Sir Ralf spojrział na niego nieco zdziwiony.

– Bez wątpienia zawdzięczam tej kobiecie żywot. Zresztą nie wydaje mi się, żeby była wiedźmą. Pan Bertrand pokręcił głową, a po chwili rozważań podjął swój wywód:

– Obym nie wypowiedział tych słów w złą porę, ale wedle mojego rozeznania to ona jednak miała jakoweś konszachty z siłami nieczystymi. Nie miejcie mi za złe, że to powiem, ale zdaje mi się, iż wasze wyzdrowienie może być owych sił działaniem spowodowane.

Szli przez chwilę, rozważając w milczeniu te słowa. W końcu ponad szelest zalegających wokół liści znów wybił się głos Clermonta:

– Widzi mi się, że wiedźma ona na nasze dusze nastawała. Dowodem na to może być choćby ta dziwna senność, która mnie ogarnęła, jak tylko upiłem nieco wywaru, który nam podała. Czy i ty, Arturze, nie poczułeś czegoś podobnego?

Baron zmieszał się przez moment, ale po chwili odparł ze stanowczością.

– Przeciwnie. Napój zachęcił mnie do czuwania.

A na jego nieogolone oblicze wypłynął mimowolnie uśmiech. Pan Bertrand nie ustawał jednak w próbach podtrzymania swojej tezy.

– A jednak wszystkie te zioła i preparaty, jak również kocioł, którego choć nie widziałem, to wszak własnym uchem usłyszałem, świadczą dobitnie zarówno o czarach, jak i o spółkowaniu z diabłem. Pewien jestem, że kobieta ta zna sztukę latania na miotle. Nie zdziwiłbym się, gdyby miast hostii świętej zdarzało jej się bezpiecznie przeżuwać zelówkę buta... – Clermont uczynił krótką przerwę, chcąc zebrać myśli przed ostateczną konkluzją. Potem znów przemówił. – A nieukrywana lubieżność jej spojrzeń skłania mnie ku myśli, że sposobem najgorszych heretyków mogła kobieta owa, wraz z innymi czcicielami demonów, całować przy nadarzającej się okazji kozłi odbyt.

Panowie Ralf i Artur zwolnili kroku i spojrzeli na kompana.

– Szczęśliwy byłby to kozioł wedle mojego rozeznania, bo z tego, co zdążyłem dojrzeć, wielce powabna była owa „wiedźma” - skomentował, nie chcąc już dłużej słuchać przemowy Clermonta sir Ralf.

Zawtórował mu basowy śmiech barona. Pan Bertrand zerknął tylko zmieszany na towarzyszy, bynajmniej nie podchwytując ich zamorskiego humoru. Temat jednak zarzucił, rozumiejąc, że jego obawy nie trafiły na podatny grunt.

Guillaume doniósł młodemu Neville'owi o tym, iż do klasztoru zawitali zbrojni pana Azincourta. Wspomniał też,

że zapowiedzieli swój powrót. Pomiął jedynie to, iż serjeanci prowadzili ze sobą rycerza angielskiego wraz z łucznikiem. Powstrzymał się od tego kierowany nie tyle lekkomyślnością, ile raczej wstydem. Nie chciał nawet słowem wspominać o człowieku, któremu był dłużny pieniądze. Sir Robert wysłuchał w strapieniu opowieści Guillaume'a, lecz uznał, że nie zdołałby jeszcze podolać trudom podróży. Obiad zjedli w towarzystwie zaledwie jednego oblata, który podał im strawę. Reszta mnichów jadła tylko dwa posiłki w ciągu dnia. Goście też nie byliby traktowani odmiennie, gdyby nie ich rany. Zjadłszy, towarzysze rozeszli się. Guillaume udał się na pobożowisko, by pomagać przy pochówku. Sir Robert zaś postanowił znów przejść się nieco po terenie klasztornym. Ponownie zaszedł do gmachu szkółki, lecz tym razem nie trafił na zajęcia. Obrócił się zawiedziony i zaczął oglądać niewielki, lecz troskliwie utrzymywany sad. Kręciło się po nim trzech ludzi. Jednym z nich był brat Teodor. Pomagało mu dwóch pracowników najemnych. Po chwili kanonik zbliżył się do młodego Neville'a, spostrzegłszy jego zainteresowanie.

- Cóż, panie Naufville, sądzicie o moim dziele? - zagadnął, szerokim ruchem ręki wskazując sad.

Sir Robert był nieco zaskoczony tym pytaniem. Pierwszą jego myślą było, iż nie ma w tym widoku niczego szczególnego, ot, ogołoczone przez jesień drzewa i krzewy. Szybko jednak zmiarkował, że rozmówca oczekuje wypowiedzi znacznie głębszej i przychylniejszej.

- Czyż nie widzicie? - w głosie zakonnika pobrzmiwało podekscytowanie, co nasunęło sir Robertowi myśl, że chyba nie widzi tego, o co chodzi rozmówcy.

Wyteżył wzrok i umysł, ale przed nimi były jedynie drzewa i różne rośliny. Niektóre bezlistne gałęzie przycięto już starannie, a pnie owinięto materiałem, by zabezpieczyć je przed zimą. W dalszym ciągu nie było w tym jednak niczego nadzwyczajnego.

- Widzę drzewa i krzewy, rośliny. Nie bardzo rozumiem, co mam zobaczyć... - odparł cicho rycerz.

- Jakże to?! Miałem was za wykształconego człowieka! Spójrzcie jeszcze raz. Zwróćcie uwagę na ułożenie roślin, na tę wspaniałą kompozycję. Jakie skojarzenia wam to nasuwa?

Oczy zakonnika były niezdrowym blaskiem. Wyglądał jak artysta, który próbuje ukazać swoją sztukę znawcy. Sir Robert zerknął raz jeszcze.

- Wyższe drzewa są z tamtej strony, mniejsze rośliny tam... Przykro mi, nic więcej nie widzę - stwierdził ze smutkiem.

- Ależ bardzo dobrze, jesteście na dobrej drodze, panie! Cóż znaczy, coż wyraża ten układ?

Sir Robert przypomniał sobie, że podobne sformułowania słyszał na najbardziej zagmatwanych wykładach z metafizyki.

- Doprawdy, nie wiem coż więcej... - podobnie jak wówczas na wykładach, i tym razem postanowił dać za wygraną, czując, że zagadnienie go przerasta.

Zakonnik patrzył na niego jeszcze przez jakiś czas z nadzieją, a potem westchnął z rezygnacją.

– Przecież ten sad mógłby być ilustracją do słów Alberta Wielkiego, zawartych w jego najważniejszym dziele. Mam oczywiście na myśli ową księgę mądrości, którą jest jego *De rerum naturae*. Ale widzę, że zaiste niewiele pojmujecie z tego, co mówię, panie Robercie. Podobnie jak brat Marcin, macie umysł zamknięty na ukryte sensy i symbole. Żaden z was sadownik. Nie moglibyście, widzę to teraz dokładnie, iść krętą ścieżką, którą wyznaczył dla nas święty Fiakriusz.

W głosie zakonnika brzmiał głęboki zawód. Spojrzał jeszcze raz z żalem na młodego rycerza, a potem skierował wzrok na sad, w którym widział tysiące ukrytych symboli i wskazówek dla kogoś, kto umiał patrzeć. Sir Robertowi zrobiło się trochę przykro. Nie lubił sprawiać ludziom zawodu. Postanowił dłużej nie drażnić brata Teodora swoją obecnością i odszedł, rozmyślając o symbolach, których rzekomo nie dostrzegał.

Wieczera była pierwszym posiłkiem, który sir Robert spożył wraz ze wszystkimi zakonnikami i Guillaume'em. Giermek pana Moorowa miał wiele do powiedzenia młodemu Neville'owi. Chciał z nim ustalić, jak długo będą jego zdaniem musieli pozostać w klasztorze. Cały czas groziło im wszak przybycie ludzi kasztelana. Poza tym giermek zamierzał jak najrychlej dołączyć do swojego pana i barona. Siedząc obok młodego rycerza, przytupywał z cichymi nogami, jakby chciał w ten sposób przyspieszyć bieg czasu. Tymczasem kanonicy wykonywali wszystko powoli i z dbałością o szczegóły. Każdy jadł z godnością i opieszale ze wspólnych mis, które przed nimi ustawiono. Wreszcie gdy posiłek zbliżał się ku upragnionemu przez giermka końcowi, opat spojrzął na jedyne go nowicjusza, który siedział przy stole, a potem przemówił.

– Drodzy bracia. Nie przystoi to nam zwykle, by odbywać przy stole uczone dyskusje. Mamy tu jednak wśród nas młodego Piotra, który chce do nas dołączyć - opat zrobił wymowną przerwę, upewniając się, że pozyskał uwagę wszystkich zebranych.

– Wiem, że są pośród nas tacy, którym wiedza i rozumność są szczególnie bliskie - pan Baudouin zerknął wymownie na braci Marcina i Teodora.

– Jak wiadomo, postawa taka, choć nie do końca pożądana, jest wszakże bliska wielu świętym mężom, ze świętym Janem Apostołem na czele. Jeśli więc któryś z was, bracia, chciałby zadać naszemu nowicjuszowi pytanie teologiczne, uczynicie to teraz, a nie męczcie go co dzień, przeszkadzając mu w kontemplacji jego nowicjatu.

Sir Robert zerknął na dwóch zakonników, do których zdawała się skierowana przemowa opata. Ku swojemu niemałemu rozbawieniu, na obu twarzach dostrzegł zmieszanie. Brat Marcin nie zamierzał najwidoczniej przepuścić mimo wszystko tak wybornej okazji i przełamawszy zakłopotanie, spytał:

– Jakie znacie dowody na istnienie Boga? Młody nowicjusz zbierał przez chwilę myśli.

– Pamiętam pięć dowodów świętego Tomasza i dowód świętego Anzelma.



– Świetnie. Przypomnijcie nam zatem, proszę, dowód Anzelma - zaproponował brat Marcin ku wyraźnemu niepokieszeniu brata Teodora.

– Więc... po pierwsze: Bóg jest najdoskonalszym z bytów. Po drugie: doskonalszy jest byt istniejący od nieistniejącego. Zatem: gdyby Bóg nie istniał, to nie byłby bytem najdoskonalszym. Ale Bóg jest bytem najdoskonalszym, więc istnieje – nowicjusz zakończył swój wywód.

Brat Marcin pokiwał głową.

– Cóż sądziecie o tym dowodzie? - spytał po chwili.

Nowicjusz nie miał jednak czasu, by udzielić odpowiedzi, gdyż wyręczył go brat Teodor.

– Wszakże dawno już temu wykazano niedostatki wywodów Anzelma. Nawet wspomniany tutaj święty Tomasz argumentował, że przecie niepodobne jest wywodzić właściwości czegokolwiek, nim się pierwiej istnienia owego bytu nie dowiedzie. Inaczej mógłbym wywieść dowolną właściwość z bytu, który istnieje tylko jako przedstawiony memu umysłowi. Spór to stary, ale rozstrzygnięty - zakończył dobitnie brat Teodor, stukając łyżką o blat i marszcząc brwi.

Sir Robert poczuł na sobie spojrzenie brata Marcina. Walczył przez chwilę, by nie wygłosić narzucającej mu się riposty, lecz walkę przegrał. Guillaume westchnął tylko, słysząc obok siebie głos młodego Neville'a. Zrozumiał, iż nieprędko dane mu będzie rozmówić się z rycerzem.

– Nie nazwałbym sporu rozstrzygniętym. Po pierwsze, nie chodziło Anzelmowi o to, by wywodzić dowolne własności bytów realnych z bytów pomyślanych, ale jedynie o pewną szczególną własność bytu doskonałego. Nie twierdził on w szczególności, by z samego pomyślenia czegokolwiek wynikało owego czegoś istnienie, a byli tacy, którzy mu takie myśli przypisywali. Chodziło o to, że byt, który istniałby tylko w naszych umysłach, nie mógłby być doskonały, bo byt realny jest od niego o własność realnego istnienia lepszy. Skoro zatem potrafimy pomyśleć byt doskonały, to istnieje on realnie, bo jeśli byłby tylko pomyślany, doskonały by nie był. To bardzo prosty i kunsztowny dowód. To, iż jedna z przesłanek jest dyskusyjna, jest już inną sprawą.

Zapanowała krótka cisza. Na twarzach zebranych zaskoczenie mieszało się z podziwem lub trwogą.

– Macie więc autorytet Anzelma za większy niż Tomasza? Uznajecie panie Neufville, iż to dowód Anzelma jest słuszny? - spytał wreszcie zaniepokojony opat.

– Co do autorytetów opinii nie mam. W kwestii zaś dowodu, to nie godzi mi się go oceniać inaczej niż wedle zasad dialektyki, a tym, w moim rozumieniu, wcale on nie uchybia. Uznałem jedynie, że wypada go należycie przytoczyć i wyjaśnić, na czym polega. Skoro już zresztą dopytujecie, to uważam, że jedna z przesłanek jest fałszywa. Co do rozważania przedmiotów nieistniejących, to wcale nie jestem pewny, czy nie można o nich żadnych własności orzekać. Mogę na przykład powiedzieć o jednorożcu, iż ma grzywę i róg, czego nie powiedziałbym o hipogryfie. Nie mówiąc już o tym, ile własności negatywnych mógłbym im przypisać, jeśli tylko uznamy, że są one równoprawne z twierdzącymi.

Bo przecież gdy powiem, że żaden hipogryf nie siedzi teraz w tym refektarzu, to powiem prawdę, a zatem niesiedzenie tutaj jest własnością dowolnego hipogryfa. Tyle tylko że mówię tu bardziej o pojęciach niż o przedmiotach. Kwestie to jednak wielce zawile i nie sposób ich w tym miejscu dogłębnie rozważyć - ostatnia łagodząca wypowiedź Roberta wygładziła oblicza niemal wszystkich biesiadników.

Dwie tylko osoby pozostały w niezmienionym nastroju: Guillaume z tęsknie wbitymi w sufit oczyma i pogrążony w zadumie brat Marcin.

– A co sądzicie o przedmiotach ogólnych, panie? - przemówił brat Marcin.

Słowa jego przemknęły wśród zebranych jak nadchodząca gwałtowna burza. Przy stole najpierw zapanowała cisza, a zaraz potem zaczęły się szmery i pośpieszne porozumiewawcze szepty.

– Marcinie... - napomniał opat, czując, że dyskusja o uniwersaliach przeciągnęłaby wieczerzę do nieprzyzwoitej długości.

– Wybaczcie, ojcze. Pan de Neufville ma wiele ciekawych poglądów. Prawda to jednak, że nie powinniśmy zbyt ulegać pokusom naszego umysłu - brat Marcin mówił szczerze, ale równie szczerzy był wysiłek, którym okupił swoje słowa.

Guillaume w myślach wychwalał mądrość opata.

## Rozdział 7

Przystanęli na skraju lasu. Konie instynktownie wzdragały się przed opuszczeniem schronienia, które dawał świerkowy bór. Prychały, kręcąc łbami w geście protestu przed wjechaniem na zraszane deszczem pole. Błyskawice rozświetlały raz po raz nieprzyjaźnie wyglądającą, choć niewątpliwie zamieszkaną i tkniętą ludzką ręką okolicę. Maria nie widziała zbyt wiele zza głęboko zaciągniętego kaptura płaszcza. Grzmoty tłumiły cichsze dźwięki, do których jednak nie należały ciskane przez Haquelina przekleństwa. Po chwili fechtmistrz zbliżył się do Marii. Mokra siwe włosy spływające po bokach głowy i bezradne spojrzenie złożyły się na godny pożałowania widok.

– Cóż dalej? - spytała prawie wyzywająco.

– Za polem tłą się światła. To pewnie wieś, choć może i miasteczko. Pojadę tam po prowiant.

„I spytać o drogę, żałosny błaznie...” - dodała w myślach, kiwnąwszy pokornie głową.

– Ty ostaniesz tu przywiązana. Biorę twego wierzchowca.

Marię przeszedł dreszcz. W jej stronach na jesieni całkiem często zdarzało się, że głodne wilki atakowały samotnych, zagubionych ludzi.

– Weźcie mnie ze sobą. Nie będę wam ciężką.

– Nie. Tu ostaniesz skrepowana. Byle trochę popuścić ci więzów, a wraz czmychasz. Wśród ludzi wywinęłabyś mi się z łatwością - odparł

Huxley, biorąc konia Marii za uzdę.

– Zsiadaj - zakomenderował zimno.

Niedługo potem została sama pośród chwiejących się świerków. Patrzyła za odjeżdżającym Huxleyem, mimo wszystko pragnąc jego rychłego powrotu. Gdy już sylwetka konnego znikła w mroku, zaczęła nasłuchiwać. Szum wiatru i szmer deszczu zagłuszał większość dźwięków lasu. Mijały kolejne chwile pełne wyczekiwania i napięcia. W końcu nie wytrzymała i zaczęła krzyżeć ile sił w płucach. Wołała o pomoc, a zarazem zagłuszała natrętne myśli. Potem zapłakana przysiadła na rozmiękłym mchu blada i wycieńczona bezsilnością.

Rozświetlone zabudowania okazały się całkiem okazałą karczmą leżącą na obrzeżach sporej wsi. Już z dala można było poznać, że trwa tam jakaś znaczna biesiada. Przez zatrzaśnięte okiennice sączyło się światło. Zabudowania gospodarskie też pozostawały rozświetlone, ułatwiając pracę krzątającym się przy nich parobkom. Huxley ruszył w stronę długiego niskiego budynku, zapewne stajni. Nie mylił się i po chwili prowadził swojego wierzchowca między przegrodami, w których kręciły się niepokozone burzą konie. Wnętrze pomieszczenia rozświetlało nieco żółtawe

świeciło świecy tłącej się wewnątrz lampki o pergaminowych ściankach. Huxley przystanął parę kroków za wejściem, słusznie podejrzewając, że nie marnowano wosku tylko po to, by zwierzęta łatwiej znosiły ulewę. Po chwili znad krawędzi piętra budynku wychyłała potargana czupryna chłopca stajennego.

– Poczekajcie, panie, zaraz oporządzą waszego konia.

Dla zmęczonego i zdenerwowanego podróżnika łamana, dziwnie akcentowana francuszczyzna koniuszego była jak wybawienie. Nim sługa zdołał zejść po podstawionej do piętra drabinie, fechtmistrz omiół wzrokiem pomieszczenie. Koni było sporo, co zapowiadały już wcześniej sączące się na podwórze karczmy odgłosy biesiady. Teraz zauważył coś jeszcze. Znał właścicieli pięknych okazałych destrierów stojących nieopodal.

Pan Clignet de Brabant sączył w milczeniu swój hipokras. Słodczyz napoju nie potrafiła najwyraźniej podzielać na jego nastrój, bo minę miał wybitnie kwaśną. Czy to na skutek złego przyrządzenia wina, czy też nie nazbyt radosnych melodii wygrywanych przez grajków twarz rycerza pozostawała skrzywiona w grymasie dezaprobaty. Spoglądał niechętnie na otaczających go przy biesiadnym stole ludzi.

– Od razu znać po was, żeście pobici... - wycedził w końcu z goryczą. Głowy biesiadników zwróciły się w stronę seniora.

– No to i chyba nie dziwota - odparł w końcu pan Raul de Crecy, ocierając brodę i wąsy z rosołu.

– A mnie dziwi, żeby francuski rycerz tak nisko głowę pochylał, póki żyw. Oj, inaczej to wyglądało, kiedyśmy pobili Anglików trzynaście lat temu w „pojedyнку siedmiu”.

Pan Clignet poglądził w zamyśleniu wąsy, a jego kompani wymienili porozumiewawcze spojrzenia, jak zwykle, gdy ich wódz wracał do opowieści o odległych dniach krwi i chwały.

– Ba, nie dziwota, że inaczej, skoroście ich panie wówczas pobili - odparł de Crecy ku uciesze niektórych kamratów.

– Miarkuj się, Raul, bo zaprawdę marny to czas na żarty. Wspomnij tych, których nie ma z nami przy tym stole, bo leżą gdzieś w polu pod

Maisoncelles, i o hańbie, która nam przypadła w udziale.

Ciepły posiłek i rozświetlone wnętrza karczmy nie zdołały powstrzymać świeżych, ponurych wspomnień i twarze rozbawionych ripostą de Crecy’ego zbrojnych stężały momentalnie. Dodatkowo powiało chłodem, ponieważ nowy gość otworzył drzwi „Polnej Kaczki”. Mało kto zwrócił uwagę na okrytego płaszczem zakapturzonego przybysza, który przekroczył próg i przeszedł pod ścianą do kominka. Tymczasem de Crecy skrzywił się, widząc coraz markotniejszy nastrój udzielający się towarzyszom, i zwrócił wzrok na grajków.

– Panowie muzycy, może by tak zagrać coś weselszego, bo w końcu nie na pogrzeb matki tu przyszliśmy, a żeby trochę rozgrzać ciało i ducha!?

Śniadokóry śpiewak skinął pokornie głową, po czym żywiej uderzył w struny lutni. Zawtórowały mu niewielki

bębenek i flet.

*Or convient un large colet Es robes de nouvelle forge Par quoi les tettins et la gorge Par la facon des entrepans*

*Puissent etre plus apparent*<sup>[9]</sup>.

De Crecy spoglądał jeszcze przez chwilę z nieufnością na występ bardów, ale słysząc znany wiersz, rozluźnił się w końcu i zerknął z satysfakcją na kompanów. Nie wszyscy jednak podchwycili pogodną nutę, a ich twarze pozostały nieobecne i zamyślane. De Crecy nie lubił sobie psuć humoru. Wychylił więc do dna swój kielich i zaczął z żywym zainteresowaniem śledzić ruchy pośladków najbliższej dziewczki służebnej. Nagle zza miłego dla oczu widoku wychynęła czyjaś twarz. Pan Raul zmarszczył na moment brwi, a zaraz potem rozpromienił się jak człowiek, który właśnie kogoś rozpoznał. Chwilę później ryknął przez całą karczmę.

– Toż to Haquelin!

Mężczyzna grzejący się w płaszczu przy kominku zamarł na moment. Gdy donośny głos de Crecy’ego przyciągnął uwagę wszystkich gości, Huxley odrzucił kaptur i zwrócił się frontem do biesiadujących rycerzy.

– Witaj, de Crecy. Cieszę się, że cię widzę! - Jego słowa zabrzmiały prawie szczerze.

– Dołącz do nas, co tak siedzisz w kącie! - pospieszył z zaproszeniem pan Raul, ale zaraz potem zmiarkował się trochę i zerknął na seniora. Clignet de Brabant nie oponował, ale spojrzenie, które wbił w Huxleya, bynajmniej nie zdradzało entuzjazmu. Fechtmistrz podszedł do stołu i usiadł na brzegu ławy naprzeciwko de Brabanta.

– Panie, to przecież banita... - zauważył nieśmiało jeden z giermków.

Cios łokciem, który wymierzył mu starszy rycerz siedzący nieopodal, wystarczył za cały dalszy komentarz, jaki ktokolwiek wygłosiłby w kwestii przeszłości nowego biesiadnika.

– Co u ciebie słyhać? Dawnośmy się nie widzieli... - zaczął rozmowę gładkim kłamstwem pan Clignet.

– Ano dawno - odparł Huxley, pociągając łyk z podstawionego mu przez de Crecy’ego kufła. – Tułam się po świecie bez większego celu, patrząc, czy aby komuś nie potrzeba pary zbrojnych rąk...

De Crecy zerkał to na badawczo przyglądającego się Haquelinowi seniora, to znów na słabo udającego obojętność dawnego kompana, a z każdym spojrzeniem jego oblicze przybierało coraz chytrzejszy wyraz. Powściągnął początkową radość i ze skupieniem śledził rozmowę. Pozostali poszli za jego przykładem.

– W tych stronach jest na to ciągle zapotrzebowanie, ale po tragicznym dla nas wydarzeniu sprzed kilku dni łatwo byłoby najemnikowi sprzymierzyć się z tym, przy kim zwycięstwo. Trzeba być zatem ostrożnym - podjął wątek

pan Brabantu.

– To zawsze. Ale przecież wiecie, że choć niewielu mnie za takowego uważać raczy, to przecież jestem, mimo trudnych doświadczeń, sługą króla Francji - ciągnął Huxley.

– Choćby przez wzgląd na twoje dawne zasługi nie musisz mi na twoje słowa przedstawiać żadnej rękojmi - odparł pan Brabantu.

– Pism żadnych po prawdzie przy sobie nie mam, ale znów taki zupełnie gołosłowny nie jestem.

Huxley zakończył tajemniczym uśmiechem. Clignet de Brabant nie zdołał natomiast ukryć w porę zaintrygowania i dopiero po chwili odzyskał wcześniejszy spokój. Nie umknęło to czujnemu de Crecy'emu.

*Et ainsi aura la meschine*

*Grele corps, gros cul et poitrine* [\[10\]](#).

Grajek zakończył pieśń, z beczelnym uśmiechem wskazując na dziewczkę służebną, jakby to jej właśnie dedykował ostatnie słowa. Oczy gości w naturalny sposób zwróciły się na młodą dziewczynę, a ta splonila się i czmychnęła za szynk odprowadzona gromkim śmiechem biesiadników.

– Chodźmy, Janie, pomożesz mi przynieść nasze wino, które stoi już tam, jak widzę, przy karczmarzu, bo to płochę dziewczę jakoś nie kwapi się nam je podać - po tych słowach de Crecy wstał od stołu, lekko szturchając Huxleya w ramię.

Fechtmistrz powstał, zerkając niepewnie na de Brabanta. Ten pogładził nerwowo wąsy, ale nic nie powiedział. Odeszli zaledwie parę kroków od stołu, gdy Raul zagaił ściszym głosem:

– Co tu się właściwie dzieje?

– Lepiej, żebyś nic nie wiedział, dla własnego dobra. - Odparł spokojnie Huxley, łapiąc stojące na szynku dzbanki.

– Nie chciałbym tylko, żeby coś mi przeszło koło nosa. Wspomnij, kto cię poratował, jak byłeś zaszczuty niczym młody lis i szukałeś schronienia.

Twarz fechtmistrza ściągnęła się, a zielone oczy wbiły w oblicze de Crecy'ego.

– Ja nie zapominam, co komu jestem winny. Jeszcze spłacę ci ten dług, a w moje sprawunki z de Brabantem się nie mieszaj. Możesz to potraktować jako przyjacielską radę.

Raul pokręcił głową, nie spuszczając wzroku z Huxleya.

– Żeby ci tylko życia starczyło na spłacenie tych długów, przyjacielu, bo coś mi się widzi, że niebezpiecznie żyjesz.

W odpowiedzi Huxley chwycił stojące przed nim wypełnione winem dzbanki i zaniósł je do stołu, przy którym

biesiadował poczet pana z Brabantu. De Crecy patrzył za nim przez chwilę, zagryzając dolną wargę, po czym sam wziął kolejne naczynia i wrócił do towarzyszy.

– Pogwarzyliście sobie o starych czasach? - spytał z nieukrywaną złością de Brabant, gdy tylko Raul stanął przy swojej ławie. Rycerz wytrzymał karcące spojrzenie seniora.

– Owszem, choć jak widać, wojna potrafi nawet dawnym druhom spętać języki - rzekł spokojnie, po czym zwrócił się do grajków. – No chyba zaraz kija wezmę. Zagracie coś czy przyszlście dzbanki jeno osuszyć, a dziewczek powypatrywać?!

W odpowiedzi rozległy się skoczne rytmy bębenka, do którego po chwili dołączyła lutnia. Na końcu nawet flecista, mimo wielce nadąsanej miny, wspomógł towarzyszy. De Crecy siadł za stołem i od razu pociągnął potężny haust z pełnego naczynia. Następnie otarł spływające po płowych wąsach wino i z błyskiem w oku zwrócił się do Huxleya.

– To opowiadaj, cóżeś poczynał, od czasu kiedyśmy się ostatnio widzieli. Kiedy to było?

Po tym pytaniu atmosfera przy stole znacznie się rozluźniła i nawet pan de Brabant, choć początkowo niepokieszony, przyłączył się żywiej do biesiady. Nie skupiano się specjalnie na jedzeniu i już po niedługim czasie rozmowom towarzyszyły niezwykle żywa gestykulacja i podniesione głosy. Kolejne głowy opadały w mniej lub bardziej kontrolowany sposób na blat długiego stołu, aż w końcu jedynie trzech biesiadników zachowało przytomność. Pan Brabantu obserwował bacznie rozmowę, w którą de Crecy wdał się z Huxleyem. Po jakimś czasie zrozumiał, że nie będzie mu dane zostać ze szpiegiem sam na sam, i bardzo go to zirytowało.

– Słuchaj no, Raul. Nie przeszedłbyś się doglądnąć koni? Jakoś krzywo tym koniuszym z oczu patrzyło - wymamrotał w końcu, przerywając kolejną wesołą wypowiedź wasala. Pan Raul spojrział na niego z ukosa i zagryzł wargę.

– Jak sobie, panie, życzyście, ale może jednak lepiej, żebym tu został...

Clignet de Brabant popatrzył na de Crecy'ego tak wymownie, że ten wstał już bez dalszych negocjacji i namburmuszony wyszedł z izby. W odrzwiach minął właśnie wchodzącą grupę francuskich rycerzy. Nowo przybyli obrzucili wrogim spojrzeniem kompanię pana Cligneta. Wszyscy byli w niemal pełnym rynsztunku, niektórzy w zbrojach, a na kilku tunikach widniały krzyże świętego Andrzeja.

– Burgundczycy... - zauważył cierpko Huxley.

Pan Brabantu pokiwał jedynie lekko głową i przerzucił wzrok na fechtmistrza.

– Cóż takiego masz ze sobą? Mówisz, że nie listy. Cóż zatem i co, u diabła, stało się z tymi pismami?

Pan Clignet mówił szybko i nerwowo.

– Listy przepadły. Jeden z rycerzy wziętych przez świętej pamięci, pies go trącał, Rambures'a wrzucił je na stos obozowy i spłonęły - Huxley mówił jak zwykle spokojnie, nie spuszczać przy tym wzroku z twarzy rycerza.

Ta tymczasem wyciągnęła się w rezygnacji.

– Cóż więc masz do zaoferowania i w jakiej cenie?

– Otóż porwałem córkę tego burgundzkiego psa.

– Rambures'a, mistrza kuszników? - zachnął się de Brabant. Huxley pokiwał powoli głową, obserwując rozmówcę.

– Gdzie ona teraz jest? - spytał zdziwiony rycerz.

– A w borze niedaleko stąd, w kierunku królestwa - odparł nadal opanowany Haquelin.

– Czyżeś do reszty zwariował? - wykrztusił nerwowym szeptem pan Clignet, gdy tylko udało mu się jako tako pojąć całą sytuację.

– I czego ty ode mnie chcesz, żebym ci za porwanie zapłacił? Żebym cię księciu polecił za twój bandycki wybryk? Zresztą cóż mówię o księciu, skoro ten w niewoli?! Chybaś się z zadem własnej kobyły na rozum mieniał. Po co mi w ogóle głowę takimi bredniami zawracasz?

– Bo ja wiem... pomyślałem: czasy trudne. O pieniądź będzie ciężko. Księżę w niewoli, jak się dowiaduję. Pomyślałem, że może się jednak przyda jaki zysk. Bo raz, że pieniądź z tego będzie, a dwa, że choć trochę pognębi się wroga.

– Stryczek jeno z tego będzie. Nie przyłożę do tego ręki i więcej nie chcę o tym słuchać.

Pan Brabantu pokręcił głową i pociągnął kolejny łyk wina. Huxley zerknął poza ramię rozmówcy. Mignęła mu twarz grajka, który skończywszy występ, siedział przy pobliskim stole i popijał z cynowego kubka. Fechtmistrzowi przemknęła przez głowę myśl, że muzyk mógł słyszeć odbytą przed chwilą rozmowę, ale nie zdążył się nad tym dokładniej zastanowić z uwagi na kilka następujących po sobie zdarzeń. Najpierw do karczmy wrócił pan Raul, a jego twarz wyrażała skrajne niezadowolenie.

– Ktoś wymazał nasze konie łajnem! - oznajmił donośnie już od progu, spoglądając przy tym wściekle na niedawno przybyłych rycerzy.

Na te słowa pan Brabantu również spojrział na grupę Burgundczyków. Kilku uśpionych biesiadników podniosło głowy, słysząc głośniejsze dźwięki. Wśród Burgundczyków zapanowała natomiast w różnym stopniu wstrzymywana wesołość. Jeden z rycerzy powstał od stołu, a sądząc po siwiejących włosach, godnej zbroi i stosunkowo najlepiej ukrywanej radości, był to dowódca drużyny.

– Przykro nam to słyszeć, lecz cóż w tym dziwnego? Co poradzić na niesfornych stajennych... - powiedział, dzieląc wyzywające spojrzenia między de Crecy'ego a de Brabanta.

– Co do fantazji czynu, to niewątpliwie przystoi ona raczej stajennym. Jeśli jednak wezmę w rozważenie zachwalstwo, wówczas w inszą stronę kieruję swoje podejrzenie.

Słowom Cligneta de Brabanta towarzyszył odgłos odsuwanej od stołu ławy. Rycerz wyprostował się dumnie, a mówił tak głośno, że wszyscy jego kamraci wybudzili się zupełnie i zaczęli czujnie rozglądać wokół. Kilku



sięgnęło do trzymanej przy boku broni. Przy stole Burgundczyków zapanowało podobne poruszenie, a wesołość na ich twarzach ustąpiła miejsca zaciętości.

– Z tego, co mówicie, panie, daje się łatwo zmiarkować, że waszych koni nie zbrukał nikt pozostający w służbie Armaniaków - odparł siwiejący rycerz, zwracając się do pana Brabantu i równocześnie kładąc rękę na ramieniu szukującemu się do wstawania giermkowi.

– Pewne, że nikt w owej służbie pozostający tego nie zrobił, ale jak to udało wam się z moich słów wywnioskować?

Słowom Cligneta de Brabanta towarzyszyła tym razem krzątająca karczmarza, który w pośpiechu chował co cenniejsze i bardziej kruche sprzęty.

– Ano po tym to poznałem, że trzy jeno są rodzaje ludzi sprzyjających księciu Orleanu. Pierwsi z nich są lękliwi, drudzy nie potrafią zbyt długo znosić niebezpieczeństw, a trzeci to zwykli tchórze. Zatem widzicie, panie sami, że żaden z takich ludzi zuchwałym nazwany być nie może.

Po tych słowach nastąpiło to, co gospodarz, ku swojej udręce, przewidział. De Crecy cisnął kuflem, mierzając w głowę przywódcy Burgundczyków. Jednak jeden z jego towarzyszy zbił opancerzoną ręką naczynie i rzucił się w stronę pana Raula, dobywając miecza. Równocześnie czujący zwolnienie uścisku giermek wyrwał się do przodu jak spuszczone ze smyczy chart i przyskoczył kilkoma susami do Cligneta de Brabanta. Nim jednak dostał się w zasięg ciosu wydobytym w biegu kordem, drogę zagroził mu Huxley. Fechtmistrz pchnął krótko i szedł w piwocie na bok, torując drogę bryzgającemu krwią giermkowi. Ten skulił się, upadł i mijając nogi pana Brabantu, wpadł pod stół. Tam otrzymał kilkanaście pchnięć ostrzami broni powstających towarzyszy pana Cligneta. W mgnieniu oka karczma wypełniła się wrzawą. Poszły w ruch stoły, krzesła i kufle. Po chwili w dłoniach większości walczących błysnęły ostrza, a zaraz potem rozległy się szczęknięcia stali i wrzaski rannych. Goście niezainteresowani bijatyką starali się opuścić chyłkiem izbę. Byli wśród nich dobrze obeznani z podobnymi sytuacjami włoscy muzycy, którzy dotarli do wyjścia pierwsi. Oczekali, aż de Crecy odrzucił napierającego nań rycerza na pobliski stół, tym samym zwalniając drogę do drzwi. Następnie jak na komendę przyskoczyli do wyjścia i wybiegli na niewielki ganek.

Giacomo wziął kilka głębszych wdechów dla uspokojenia skołatanych nerwów. Deszcz szybko przywrócił mu z lekka zmałą winem trzeźwość umysłu.

– Wiem, że pewnie w głowie wam było co innego robić, niż ganiać po deszczu i uciekać przed zagubionym w bitce kuflem. To jednak, moi drodzy towarzysze, nie koniec przykrych zdarzeń na dziś... - Głos śpiewaka drżał.

Pozostali Włosi popatrzyli na kompana z niepokojem.

– Co mówisz? - spytał Federico, marszcząc brwi i podchodząc bliżej rozmówcy, jakby liczył jeszcze na to, że się przesłyszał.

– Niech przeklęty będzie mój zacny słuch! Będzie on bowiem naszą zgubą. Cóż jednak czynić kamraci, skorom

usłyszał, że ten przybysz, co dołączył do kompanii pana Brabantu, przywiódł tu ze sobą pannę Rambures?

Obaj Włosi wyprostowali się, a ich twarze spochmurniały. Niższy i bardziej krępy z muzyków pokręcił głową z niedowierzaniem:

– Jesteś tego pewny, Giacomo? Tę samą pannę Rambures, której pomogliśmy uciec od ojca? Nie wierzę.

– Nie wiem, czy tę samą! Ale chyba nie ma aż tak wielu panien o tym nazwisku, które mogłyby trafić w ręce grasantów?! - zakrzyknął gniewnie bard.

– Gdzie ona jest? - spytał niechętnym, urażonym tonem Federico.

– Nie wiem dokładnie, gdzieś w pobliskich lasach, zapewne pozostawiona sama sobie.

Giacomo był bardzo zdenerwowany i dyszał ciężko. Tymczasem wokół karczmy zaczął się zbierać okazały tłum. Lombardzcy rozejrzeli się zdziwieni. W czasie swych rozlicznych podróży przywykli raczej do widoku uciekających przed pańskimi porachunkami chłopów. Tu jednak ujrzeli okalających „Polną Kaczkę” kmieciów i rzemieślników, którzy ściskali w garściach całkiem groźnie wyglądającą broń. Niektórzy z nich odziani byli w lekkie pancerze i jakieś jednorodne płaszcze. Tu i ówdzie zalsnił potężny, trzymany oburącz goedendag.

– Wygląda na to, że gościnność tych ludzi idzie w parze z ich hardością... - skomentował odruchowo Giacomo. Potem zwrócił się do kompanów.

– Jeśli nam się poszczęści, to Flamandowie powstrzymają tych rozhulanych rycerzy. My tymczasem winniśmy odnaleźć pannę Rambures.

– Dlaczego mielibyśmy to czynić? Po co wchodzić im w drogę? Tylko nie mów, Giacomo, że liczysz na jakąś nagrodę. Francuzi pobici, nie dostąpimy od nich żadnej wdzięczności. Jeszcze nas samych o porwanie oskarżą, skoro tylko pannę w zdrowiu przywieziemy. - Federico wspomagał swoje słowa energicznymi gestami, ale właściwie wiedział już, co usłyszy w odpowiedzi.

– Może i nie jesteśmy wojownikami. Nie jestem, to prawda, z książęcego rodu, ale dostaje mi honoru, by godnie wymawiać swoje nazwisko. Jeśli wy chcecie zhańbić wasze, to nie będę was dłużej namawiał. Ja idę w stronę tamtej kniei - zakończył dumnie bard, wymierzając palec w zarysowane na tle nocnego nieba drzewa.

Słowo „kniei” było zdecydowaną przesadą w odniesieniu do niewielkiego lasu, lecz za to dodało wypowiedzi upragnionego dramatyzmu. Wszyscy trzej mężczyźni ruszyli po chwili rozterki we wskazanym przez Giacoma kierunku.

Tymczasem w karczmie awantura osiągnęła punkt kulminacyjny. Poczёт pana Cligneta wydatnie wspomagany przez Haquelina rozbił przeciwników, pozostawiając jedynie nielicznych z nich na nogach. Ostatnich czterech rycerzy burgundzkich skupiło się na środku sali przy swoim krwawiącym z czoła seniorze. Obserwując tę sytuację przez siłą od zewnątrz rozwarte okiennice, kapitan milicji zdecydował się wreszcie wkroczyć. Padła szorstka komenda, a zaraz potem pomieszczenie wypełniło się dwoma tuzinami, w większości całkiem nieźle uzbrojonych, a przede wszystkim wypoczętych zbrojnych. Huxley nie czekał, aż kapitan zabierze głos, a jego ludzie zajmą

dogodne pozycje, okrążając pomieszczenie. Gdy tylko ujrzał w drzwiach pierwszych milicjantów, rzucił się do najbliższej ściany, a potem szczupakiem wyskoczył przez otwór okienny. Kilku zbrojnych zauważyło jego akrobatyczny wyczyn, postanowili jednak nie podejmować pościgu bez rozkazu. Ostatecznie w głębi ducha każdy z wchodzących do karczmy żołnierzy wolałby, aby francuscy rycerze poszli za przykładem Huxleya i uciekli bez walki. Jednak ani pan Clignet de Brabant ani też, co dziwniejsze, burgundzki senior nie zdradzali chęci do zaprzestania awantury.

– Panowie, złożcie broń i oddajcie się w nasze ręce - zaproponował niepewnie kapitan, spoglądając to na jednego, to na drugiego z możliwych.

– Jeśli kto ma złożyć broń i odpowiedzieć za swe czyny. to ten tam, którego imienia nawet nie znam. Wiem jednak, że jest Armaniakiem - rzucił szybko Burgundczyk, wskazując palcem na pana Cligneta.

– Jam jest Clignet de Brabant. A staję tu w obronie mojej czci, jako że dopuszczono się względem mnie zniewagi - odparł dumnie, prostując się, Francuz.

– Tu są ziemie księcia Jana i miasta Ypres... panie - stwierdził niechętnie kapitan.

Broń milicjantów skierowała się wraz z uwagą kapitana w stronę pocztu pana Cligneta. To, że poczet ów był w tej chwili znacznie liczniejszy niż ten Burgundczyków, spowołniło zdecydowanie ruchy Flamandów. Pan Clignet spojrzawszy na nich z pogardą, ale zaraz potem zerknął na swoich rycerzy. Na ich twarzach dostrzegł ogromne zmęczenie. Wiedział, że to nie ta mała potyczka tak się wyryła na ich obliczach.

– Poddajcie się... panie - zaproponował jeszcze raz kapitan.

Jego głos zabrzmiał niemal uniesieniem. Ludzie z pocztu pana Cligneta spojrzeli wyczekująco na swego seniora. Było w tym spojrzeniu wszystko, co chciałby dostrzec.

– Niechaj tak będzie. Poddam się wam, kapitanie, ale mam warunek. - Słowa pana Brabantu wydawały mu się ciężać bardziej niż mediolańskie naramienniki, które zakładał do boju.

– Jaki? - spytał z wyraźną ulgą dowódca milicji.

– Puśćcie wolno moich ludzi - powiedział Clignet. - Tych, którzy zdołają samodzielnie wsiąść na konia, ma się rozumieć - dodał po chwili, obserwując porzrzucanych wokół karczmy rannych.

– Zgoda - odparł szybko kapitan.

– No, chyba nie puścicie tych łotrów wolno!?! - zawołał jeden z czterech stojących o własnych siłach Burgundczyków.

– Właśnie to zrobię. - Tym razem słowa Flamanda zabrzmiały znacznie bardziej pewnie.

– Panie, chyba nie pozwolicie, by ta zniewaga... - Młody rycerz szukał wzrokiem poparcia u seniora, lecz zamiast tego napotkał jedynie nieustępliwe i karcące spojrzenie.

– Schowajcie broń - nakazał pan Clignet.

Jego zbrojni posłusznie wykonali polecenie. Milicjanci tymczasem rozstąpili się, pozwalając opuścić karczmę Francuzom.

– Raul - pan Brabantu przywołał do siebie gestem swego wasala.

– Tak, panie? - de Crecy natychmiast zjawił się przy swoim seniorze. Pan Brabantu zniżył głos i mierząc de Crecy'ego wzrokiem, przemówił.

– Jesteś najdłużej w mojej służbie z tych, którzy przy mnie zostali. Nie zawsze wykazywałeś się przykładną lojalnością. Nie mam jednak teraz nikogo, komu mógłbym bardziej zaufać - mówiąc to, zerknął na leżącego nieprzytomnie siwiejącego kompana. Potem zwrócił zmęczony wzrok ponownie na de Crecy'ego. – Pojedziesz do Ypres. Tam zbierzesz dla mnie okup. Wiesz od kogo?

– Oczywiście, panie. A jeśli go tam nie będzie lub nie będzie chciał dać? - dopytywał z doskonale udawaną troską wasal.

– To wrócisz do Brabantu i przekażesz całą sprawę kasztelanowi - odpowiedział zirytowanym głosem pan Clignet.

Raul klęknął i ucałował rękę de Brabanta w przesadnym geście poddaństwa. Potem wstał i zabrał się do wyjścia.

– Raul.

– Tak, panie?

– Jeżeli mnie zdradzisz, zginiesz w mękach. Wiedz, że i tak pošlę kogoś do kasztelana, żeby o całej sprawie wiedział. Idzie mi jeno o czas i tylko dlatego powierzyłem ci to zadanie.

– Tak, panie.

Raul spuścił wzrok, a potem szybko opuścił „Polną Kaczkę”, dołączając do stojących na zewnątrz rycerzy. Popatrzył na nich i od razu pomyślał o potencjale, który w nich drzemał. Większość z nich stanowili ludzie Robineta de Bournonville'a i pana d'Azincourta. Byli to zatem ludzie niedawno dołączeni do pocztu i niezbyt jeszcze zżyci z seniorem.

– Pan Clignet powierzył nam ważną misję. Ruszamy do Ypres - zakomenderował de Crecy i udał się do stajni.

Pozostali podążyli za nim. A choć mało który był rad, że przyjdzie mu służyć pod mniej znamienitym panem, to żaden nie miał chwilowo wyboru. W stajni panował obecnie mrok, jako że koniuszowie, słysząc bijatykę, chwycili za kiję i zabrawszy swoje lampki, ruszyli ku karczmie. Obecnie stali jeszcze przed nią wraz z innymi chłopami i obserwowali, jak milicjanci wynoszą rannych. Raul po omacku odnalazł swojego wierzchowca, który mimo wygranej przez ludzi pana Cligneta potyczki nie był ani trochę mniej umorusany odchodami. Rycerz zaklął pod wąsem, pociągając konia za uzdę.

– Raul? - z głębi pomieszczenia rozległ się szept.

– Jeszcze tu jesteś, Janie? - pytał obojętnym tonem de Crecy.

Czuł jednak radość na myśl o tym, że Haquelin z jakiegoś powodu szuka jego towarzystwa. Ludzie z pocztu de

Brabanta zaczęli wyprowadzać swoje wierzchowce przed budynek stajni. Tymczasem Huxley podszedł bliżej dawnego towarzysza, by mimo ciemności mogli dostrzec swoje sylwetki. Była to dla nich obu sytuacja o wiele bardziej komfortowa.

– Jestem. Cóż się stało, że nie ma z wami pana Cligneta? - zagaił niewinnie fechtmistrz.

– A cóż mogło się stać? - odparł z chytrym uśmiechem de Crecy.

– Powiedz lepiej, co takiego sprawiło, że postanowiłeś doczekać końca starcia, zamiast czmychnąć, skoroś tylko miał okazję.

– No, cóż. Może liczyłem na towarzystwo w pewnej delikatnej sprawie. Właściwie to nie mam pewności, czy nie czekałem nadaremno...

– Mów wreszcie, o co chodzi - zirytował się Raul, nie mogąc już dłużej powstrzymać zaciekawienia.

Maria siedziała przytulona do sporej sosny, kurczowo ściskając jej pień. Wokół szalała burza. Co rusz wydawało jej się, że słyszy wilki i inne złowrogie stworzenia lasu. Udawało jej się jednak przekonać samą siebie, że było to jedynie wycie wiatru. Nie wiedziała, że znajduje się na skraju w gruncie rzeczy dość niedużej połaci lasu. Do zabudowań najbliższej wsi był zaledwie kilometr, a wilka w owym sosnowym borcu dużo łatwiej było się nabawić, niż spotkać. Szczęśliwie dla pośladek Marii, niewiasta siedziała pośród listowia. Poza przeziębieniem nie groziło jej zatem zbyt wiele.

Nieświadoma tego panna Rambures była przerażona. W pewnym momencie zdało jej się, że słyszy ludzkie głosy. W pierwszej chwili pomyślała o zabłąkanych duszach zmarłych. Ostatecznie pamiętała, że niedawno był Dzień Zaduszny. Jej pierwsze przypuszczenie przeszło prawie w pewność, gdy tylko Maria rozpoznała w potępieńczych okrzykach swoje imię. Któż bowiem oprócz Huxleya lub ducha mógłby ją nawoływać z dala od jej domu i w środku nocy? Momentalnie jednak rozum wziął górę nad przerażeniem. Gdy tylko w upiornych głosach udało się rozpoznać obcy, a równocześnie znajomy akcent, Maria odzyskała jasność umysłu.

– Tu jestem! - zakrzyknęła, ile tylko zostało jej sił.

Nie wypadło to zbyt dobrze, jej gardło bowiem było już prawie zupełnie zdarte na skutek wcześniejszych prób wzywania pomocy. Ponowiła więc starania, nie zważając na ból. Przez chwilę, gdy głosy ucichły, Marii zdało się, że jej wysiłki poszły na marne. Dopiero gdy ponownie rozbrzmiały, tym razem głośniejsze i żywsze, pojęła, że szukający jej zamilkli jedynie na chwilę, by upewnić się skąd, dobiegają jej słabe nawoływania.

W końcu zobaczyła ich postacie rysujące się na tle rozhuśtanych gałęzi. Niski gruby Giovanni, wysoki i szczupły Federico i normalnej postury

Giacomo. Choć odbiegali wyglądem od kanonu ratujących niewiasty rycerzy, Maria przywitała ich ze łzami

szczerzego wzruszenia i radości.

– Jakże jestem rada... - szeptała przez łązy.

– My też jesteśmy radzi, że was odnaleźliśmy - odparł prędko Giacomo, chcąc ukryć drżenie głosu.

Giovanni uśmiechnął się serdecznie, lecz wysoki Federico pozostał jak zwykle posępny. Śpiewak zaczął trzęsącymi się i śliskimi od deszczowej wody dłońmi szukać niewielkiego noża, który nosił w pochwie przy pasku. Nie sposób było nie dostrzec nerwowości ruchów i ściągniętych obawą twarzy. Maria zauważyła to wszystko mimo wyczerpania długotrwałym krzykiem i silnego wzruszenia widokiem przychylnych jej ludzi. Giacomo wydobył wreszcie swoje wierne ostrze, które zatopił w niejednym mięsiwie i chlebie, po czym chwycił rękę Marii i obrócił węzeł ku sobie.

– Będzie dobrze. - Lombardczyk okraślił swoje słowa słabym uśmiechem, ale spuścił oczy unikając spojrzenia Marii.

Ostrze dotknęło więzów, a zaraz potem wśród odgłosów burzy rozległ się dźwięk znacznie groźniejszy. Jeźdźcy musieli być już dość blisko, skoro słyszeć ich było mimo wiatru i deszczu.

Giacomo uniósł twarz i spojrzał na pannę Rambures. W jego oczach był lęk. Maria błyskawicznie doszła do siebie po krótkim odrętwieniu. Wejrzała śpiewakowi głęboko w oczy i powoli, ale bardzo wyraźnie pokręciła głową.

– Uciekajcie stąd, póki możecie! – Jej słowa zabrzmiały ostro jak rozkaz.

Może właśnie dzięki temu Lombardczycy zareagowali na nie szybko. Wszyscy trzej puścili się bowiem pędem w głąb zagajnika. Maria nie zdołałaby stwierdzić, czy pobliskie krzewy kołysały się już za sprawą wiatru, czy też jeszcze na skutek potrącenia przez uciekających Włochów, gdy pierwsi pocztowi de Crecy'ego wychynęli spomiędzy drzew.

## Rozdział 8

Clignet de Brabant leżał rozciągnięty na lichym łożu. Prawym ramieniem zakrył oczy, chcąc chociażby trochę odciąć się od otaczającego go pomieszczenia. Zaduch powodowany dymem z nieszczelnego pieca był wstrętny dla rycerza, który czuł, że powinien być właśnie w siodle i na gościńcu. Myślał o swoich zbrojnych, których ostatnio widział dzień wcześniej w trakcie fatalnej karczemnej burdy. We wsi, choć sporej, nie było żadnego kasztelu ni lochu, więc wszystkich rannych pojmanych zbrojnych rozlokowano po chałupach. Fakt przebywania w domu samego wójta nie mógł nawet odrobinę ukoić nadszarpniętej dumy. Zabrano mu zbroję, oręż i konia. Oddzielono od wiernych kompanów i osadzono jak pospolitego rzezimieszka. Clignet oddał się myślom o czasach zaniejszych, w których rycerz księcia Orleanu odbierał należną mu cześć, miast leżeć w cuchnącej dymem wiejskiej izbie. Sięgnął, westchnawszy, po stojący na skrzyni kufel i pociągnął łyk piwa. Jego twarz wykrzywiła się w odrazie dla plugawego trunku, który gospodarz przynosił mu osobiście, jakby chlubił się swoją grzecznością wobec więźnia. Rycerz zadawał sobie pytanie, ile jeszcze łyków przyjdzie mu wypić, nim wreszcie zostanie postawiony przed obliczem bajlifa albo pana ziem, na których się znajdował. Snuł owe gorzkie niczym sam chmiel myśli, gdy za drzwiami rozległy się liczne kroki.

– Tutaj go trzymamy, panie - ozwał się przytłumiony głos wójta, a zaraz potem przekrecono klucz w solidnym mosiężnym zamku.

Drzwi uchyliły się, wpuszczając do pomieszczenia jeszcze więcej dymu. De Brabant zerknął z niesmakiem w stronę framugi. Ku swojemu zdziwieniu nie ujrzał w drzwiach wójta z kolejnym dzbanem piwa. Stał w nich człowiek krępej budowy ubrany w wielce krzykliwy miejski strój. Trójbarwne nogawki u spodni i uszyty z barwionej na niebiesko wełny podbity lisim futrem płaszcz nie pasowały do skromnego wystroju chaty. Na śniadą twarz przybysza momentalnie wypłynął szeroki uśmiech. Nie czekając na zaproszenie, mężczyzna wkroczył dziarsko do izby. Tuż za nim wszedł jego towarzysz. Był chudy i tak wysoki, że musiał się lekko zgarbić, wchodząc.

– Witajcie, panie - rzekł niemal kordialnie Alberto, równocześnie ściągając z głowy czapkę z długim bażancim piórem zaczepionym do nakrycia głowy srebrną spinką.

Clignet nie zdołał złowić wzrokiem znaku, który był na niej wygrawerowany. Nie spodziewał się jednak w tych stronach spotkać nikogo przychylnego, wobec czego wywołane piwem skrzywienie nie ustąpiło z jego oblicza.

– Chętnie powitam, skoro tylko będę wiedział kogo - rzekł dopiero po chwili mało przyjacielskim tonem.

– Jestem Alberto Arnaldi, *cavaliere* florencki. A to mój brat Luigi. - Mężczyzna skłonił lekko głowę. Pan Clignet uznał za stosowne powstać z łożka. Następnie odezwał się trochę przychylniej.

– Witam. W czyjej służbie pozostajecie, panowie, będąc tak daleko od rodzimych stron?

– Nie będziecie początkowo radzi, słysząc, że pozostajemy na służbie pana tych ziem, jego miłości księcia

Jana - odparł Włoch, nadal bacznie obserwując de Brabanta.

– Nie wiem, czego ode mnie chcecie, ale uprzedzam, że nie jest mi miłe przestawanie w waszym, panowie, towarzystwie... - Clignet na powrót przybrał wielce skwaszoną minę.

Alberto wyciągnął lekko prawicę z uniesioną dłonią, zachęcając rozmówcę do przerwania wypowiedzi.

– Usiądźmy, panie. Jechaliśmy długo a prędko i chcielibyśmy kapkę odsapnąć.

Łagodnie brzmiący akcent i szczere gesty przekonały Cligneta do spoczynku. Alberto usiadł na stojącej przy wezglowiu łóżka skrzyni. Luigi przeszedł dwoma dużymi krokami pomieszczenie, po czym jednym ruchem zdjął spięty pod szyją płaszcz, a następnie spoczął obok Francuza. Pan Brabantu odsunął się odruchowo, czując się wyraźnie mniej swobodnie niż przysiadający się doń Lombardczyk. Alberto odczekał chwilę, by dać rycerzowi czas na ponowne skupienie uwagi, po czym przemówił swoją dziecinnie brzmiącą francuszczyzną.

– Jesteście, panie, w rękach wójta Szymona, pochyceni przez milicjantów z Poperinge. Widzicie, tutaj w kasztelanii Ypres sprawy załatwia się sprawnie, szybko, a nade wszystko starając się uniknąć interwencji z zewnątrz - Alberto przerwał, żeby upewnić się, że należycie przykuł uwagę rozmówcy.

– Rzeczeni milicjanci od czasu waszego pochycenia mieli pełne ręce roboty. Krążą po traktach i pilnują, by żadni grasanci z rozbitej królewskiej armii nie nękali spokojnych mieszkańców tych ziem. Pochwyciwszy was w karczmie, nie bardzo wiedzieli, co z wami począć. W ich prostych głowach pojawiła się myśl, że pochycili jakąś znaczniejszą figurę. I wiecie co?

Clignet de Brabant siedział w zaciętym milczeniu. Florentczyk postanowił więc odpowiedzieć sam sobie.

– Nie podoba im się to. A nie podoba im się to, ponieważ będą musieli pociągnąć z wami nie tylko do Poperinge, ale i pewnikiem do samego Ypres i tam przed miejską starszyznę zacznie się sprawa. A że sprawy tej sama starszyzna rozstrzygać nie powinna, to trzeba będzie posłać może do samego Lille po jakiego urzędnika, który w imieniu księcia zajmie się waszą sprawą. Sami rozumiecie, że wasze pochycenie spowoduje wiele trudu i niezadowolenia wśród mieszkańców tych ziem.

Włoch przerwał, kiwając dla potwierdzenia własnych słów głową. Następnie wyciągnął z przytroczonej do pasa skórzanej torebki elegancki cynowy kubek i nalał sobie piwa ze stojącego przed nim dzbanka. Luigi również wyciągnął bliźniaczo zdobione naczynie i nadstawił je bratu.

Potem wypili prawie w tym samym czasie.

– No dobrze, do czego zmierzacie? - zapytał, spoglądając niechętnie na Lombardczyków, rycerz.

– Będąc wysłannikiem samego księcia, jestem w mocy sprawić, byście wraz ze swoimi ludźmi jeszcze dziś opuścili te nadto dla was skromne progi i ruszyli w swoją stronę. To jest mam oczywiście na myśli stronę zachodnią, bo we Flandrii, jak sami rozumiecie, nie macie już czego szukać.

Francuz wbił ciężkie spojrzenie w przemawiającego.



– Czego chcecie? - dociekał.

– Niczego takiego, drobiazg to właściwie. Szukamy pewnego człowieka. Tropimy go aż spod Noyon. Mniemam, iż nie jest on wam obcy. Zwie się Jan Haquelin.

Włoch odczekał chwilę, ale i tym razem nie dało to pożądanego efektu. Rycerz milczał.

– On pozostaje na służbie domu orleańskiego, nieprawdaż? - ciągnął uparcie Lombardczyk.

– Nie wiem, doprawdy, o czym mówicie. – Słowa pana Cligneta brzmiały szorstko.

– Mówię, wielmożny panie Brabantu, o zdrajcy, którego zwą Janem Haquelinem, a który pozostaje na usługach waszego drogiego księcia Karola. Mówię też o tym, że jeśli przyjdzie was sądzić w Ypres, to wykup będziecie musieli dać zacny, jako że jeden z rycerzy burgundzkich wyzionął ducha po waszej karczemnej bójce. Wy dacie straszliwy okup, a wasi ludzie gardło. Czy życie tego zdrajcy ma teraz większe znaczenie niż żywoty waszych wiernych sług? Czyżbyście byli z nim aż tak blisko? Bo w to, że go nie znacie, wiary dać nie mogę. - Na twarzy Lombardczyka zagościły powaga i nieustępliwość.

– Czy wszyscy moi ludzie będą mogli pójść wolno? - spytał głucho rycerz.

– Dam wam na to moje słowo.

– Haquelin był tamtej nocy w karczmie. Przedarł się przez otaczającą nas milicję i uciekł.

– Wiecie, dokąd zmierza? - przerwał energicznie Alberto.

– Tego nie wiem. Z pewnością jednak pomieszało mu się do reszty w głowie, gdyż twierdził, że uprowadził ze sobą córkę pana Rambures.

– Córkę mistrza kuszników? - zapytał, lekko marszcząc brwi, Lombardczyk.

– Tak, córkę mistrza kuszników. Uprowadził ją dla okupu. - Pan Brabantu zawahał się przez chwilę, po czym dodał:

– Nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby jeden z moim chwackich pocztowych zamysłał mu w tym dopomóc. Znają się od dawna, choć Raul, ów mój pocztowy, o szpiegowaniu nic wie. Jeśli zachował resztki rozsądku, to pojedą wpierv wzięć okup za mnie.

– A jeśli go nie zachował? - podchwycił bystro Włoch.

Pan Clignet zawahał się, ponieważ się pojawił, że powiedział za wiele.

– Jeśli zgłupiał do reszty, to jeszcze spróbuje mnie po drodze okraść, a potem ruszą kupczyć panną - wycedził z irytacją rycerz, a jego prawica odruchowo zacisnęła się na materacu.

– Oszukać was, panie? To ciekawe, powiedzcie o tym coś więcej... - Włoch ze skupioną uwagą zatopił spojrzenie swoich ciemnych oczu w obliczu rycerza.

Miasto wyrastało na równinie, górując nad otaczającymi je polami. Te z kolei podchodziły pod równo

rozmieszczone, zadbane zabudowania. Za ledwie gdzieniegdzie wyrastał zniszczony mur okalający miasto. Ponad białe w słońcu ściany i dwuspadziste czerwone dachy podmiejskich domostw wzbijała się majacząca w oddali bryła potężnej budowli. Maria pomyślała, że to ogromna katedra leży w sercu miasta. Potem jej uwagę przykuły rzędy sąsiadujących domów, brukowane uliczki i miejski gwar. Widywała wprawdzie miasta bardziej tłoczne, jak choćby niedawno Bapaume, ale zawsze było to za sprawą jakichś nadzwyczajnych okoliczności; a to przemarsz wojsk, innym znów razem uroczystej procesji. Tu jednak ulice były pełne ludzi rzemiosła. Krzatali się kowale, bednarze i szewcy w swoich ciasnych warsztatach. W tłumie ciągnącym ku centrum Ypres widać było chłopów wiozących ze sobą zwierzęta, zboże i okazałych rozmiarów okrągłe sery. Nie brakowało też kupców, którzy z kolegi wieźli bardzo rozmaite towary. Począwszy od gotowych ubrań, poprzez tkaniny przeznaczone do szycia, buty, rzemienie, biżuterię, zboże, co szczególnie zafrapowało młodą Francuzkę nawykłą raczej do widoku chłopów handlujących tym towarem, a kończąc na niemałych ilościach przypraw, piwa i wina. Szczególnie zwracali na siebie uwagę właśnie owi kupcy. Nie pchali się bezładnie, próbując wyprzedzić jeden drugiego, jak to często bywało w rodzinnych stronach Marii. Cierpliwie oczekiwali na swoją kolej w wąskich przejazdach między domami. Prawie nie rozmawiali, nie wtykali swoich towarów każdemu napotkanemu przechodniowi. Wszystko odbywało się wedle jakiegoś obowiązującego porządku, który nikomu nie był obcy.

Konie podróżnych drobiły niecierpliwie nogami nienawykłe do wolnego marszu w tłumie. Orszak de Crecy'ego wyraźnie odróżniał się na tle mieszczan. Od razu można było poznać, że jadą rycerze, a jednak nikt nie ustępował im z drogi. Wszystko odbywało się tak, jakby zbrojni traktowani byli jak zwykli mieszczanie. Marię zaskoczyło że ani porywczy de Crecy, ani Huxley, któremu przecież śpieszno było do opuszczenia miasta, nie próbowali uczynić nic, by znaleźć się przed zmierzającą na rynek cizbą. Akceptowali w zupełności miejscowe porządki.

Nagle zza kolejnego wąskiego przesmyku wyłoniła się masywna budowla, którą Maria przy wjeździe wzięła za katedrę. Ze zdumieniem spostrzegła, że na bijących kilkadziesiąt metrów w niebo wieżach nie ma krzyży. Co więcej, nie było tam też żadnej flagi, lecz jedynie blaszany smok. Pod nim znajdował się strzelisty dach przykrywający potężną dzwonnice. Maria, zupełnie zbита z tropu, spróbowała objąć wzrokiem gmach budowli, co było możliwe dzięki okazałemu placowi, który odgraniczał go od pobliskich budynków. Dopiero wówczas zrozumiała, czym jest ów dziwaczny kolos. U podstawy budynku mieściły się, a raczej rozciągały, sukiennice. Rzędy straganów z płótnem i wełną, z szatami wszelkiej mody, barwy i długości ciągnęły się bez końca, tak że nie sposób było dostrzec towarów na najdalszych stoiskach. W jednej chwili Maria pojęła spokój tutejszych kupców, wydało jej się bowiem niepodobieństwem, żeby w takim miejscu mogło dla kogokolwiek zabraknąć miejsca. Każdy ze spokojem i pogodnością zajmował swoje stoisko, wymieniając uprzejme uwagi z sąsiadem. Przed sukiennicami płynęło morze mieszczan i zagranicznych kupców oglądających uważnie towary, diskutujących lub negocjujących ceny.

– Cóż, czasy świetności mają już zdecydowanie za sobą, ale jeszcze i dziś znajdzie się tu jakowyś przyodziewek

- rzucił od niechcenia de Crecy, zerkając na zdumionego Huxleya.

– Słyszałem o miejscowych sukiennicach, ale przyznaję, że to, co widzę, przerasta nawet ich sławę.

Raul uśmiechnął się pod wąsem, a następnie energicznie zeskoczył z konia. Podał wodze jednemu ze swoich zbrojnych, po czym zaskoczony spojrział przez ramię, słysząc za sobą stukot butów.

Huxley wyprostował swój gambeson i również podał wodze jednemu ze zdziwionych ludzi de Crecy'ego.

– Czy możesz mi wyjawic, co robisz? - spytał bezceremonialnie Raul.

– Idę z tobą. Chcę wiedzieć, jakie to robisz interesy, kiedy ludzie widzą nas razem - odparł niezrażony Haquelin, ledwo zwracając uwagę na rozmówcę.

– Przecież ci już w drodze powiedziałem, po co tu chcę zajechać - odparł z naciskiem de Crecy, ustępując z drogi czeladnikowi prowadzącemu pod sukiennice objuczonego osła.

– Równie dobrze mógłbyś mi opowiadać, że przyjechałeś tu oglądać moralitet. Mało mnie to, szczerze rzekłszy, obchodzi. Będę przy tej rozmowie albo wraz wezmę pannę ze sobą i pojedę dalej sam.

Spokój zielonych oczu fechtmistrza wyprowadzał de Crecy'ego z równowagi. Miał już na końcu języka groźbę, ale coś w nieustępliwym wyrazie twarzy Huxleya sprawiło, że Raul jedynie machnął ręką i ruszył w stronę rozstawionych w krągach straganów. Haquelin podążył za nim.

Marii zaczęły chodzić po głowie natarczywe myśli. Wokół było pełno ludzi. Być może wystarczyło krzyknąć. Otrzymała już jednak wystarczająco dużo razy, by wiedzieć, jaka jest cena nieudanej próby ucieczki. Od momentu gdy muzycy w ostatniej chwili zeszli z oczu zbrojnym de Crecy'ego, Maria miała sporo czasu na namysł. Ostatecznie doszła do wniosku, że Jakub Vaartbrut jest zdecydowanie mniej groźny od otaczających ją drabów. Wychodziło więc na to, że lepiej będzie uciekać od niego. Poza tym istniała duża szansa, że ktoś jej będzie szukał. Nie dopuszczała do siebie myśli o tym, że jej czterej bracia mogli polec wraz z ojcem. A nawet jeśli tak było, to przecież były jeszcze siostra i matka.

Tymczasem przez rynek w stronę katedry przeszedł całkiem liczny pochód. Maria pomyślała, że może to być procesja, lecz szybko odrzuciła tę myśl. Na przedzie pochodu dojrzała bowiem zamiast relikwii młodą parę. W pierwszej chwili poczuła żal, iż być może nigdy nie będzie jej dane cieszyć się takim momentem. Potem zdała sobie sprawę z tego, że para nie była tak zupełnie młoda. Dostatnio, choć po mieszczańsku odziany mężczyzna prowadził u swego boku niewiastę znacznie od niego młodszą. Jej skromna fryzura kontrastowała z aksamitną suknią, którą miała na sobie. Na jej szyi błyszczał całkiem okazały, oprawiony złotem rubin. Młódka miała, mimo uroczystej chwili i szat, bez wątpienia przekraczających jej stan, wzrok utkwiony w rynkowym bruku. Marię przeszedł dreszcz na myśl o tym, że miałyby tak iść u boku Jakuba Vaartbruta.

Franciszek Rapondi siedział w głębi swojego kramu, leniwie obserwując uwijających się jak w ukropie sprzedawców. Kupiec nie miał zamiaru osobiście zajmować się zwykłą klientelą. Najlepszą odzież i tak zresztą zostawił w wynajmowanym domu, chcąc uniknąć jej sprzedaży na przeładowanym towarami rynku Ypres. Włoch przekręcał kciukiem oprawiony w złoto pierścień znajdujący się na serdecznym palcu jego prawicy. Lśniący w oprawie szmaragd był bardzo znacznych rozmiarów i rzucał się od razu w oczy. Każdy palec Lombardczyka, z wyjątkiem kciuków, ozdobiony był co najmniej srebrną obrączką.

– Panie Rapondi - odezwał się de Crecy, gdy wraz z Huxleyem stanęli przed zamyślnym Włochem. Mężczyzna uniósł lekko głowę, by widzieć rozmówców spod obszytego złotą nicią wałka chaperonu.

– Tak? - spytał beczelnie.

Wyglądał na znacznie młodszego od de Crecy'ego i Haquelina, choć mogło tak być za sprawą gładko wygolonego oblicza. Nie był też szlacheckiego pochodzenia. Mimo to siedział w najlepszym na swoim drewnianym łyżdu oparty łokciem o stół i poświęcał jedynie strzępki uwagi przybyszom. De Crecy momentalnie poczuł przemożną chęć pokazania kupcowi jego miejsca. Huxley nawet nie był przesadnie zirytowany. Rozumiał znacznie lepiej, że Raul otrzymuje dokładnie tyle szacunku, ile mu się w jego położeniu należy. Sam przywykł do sztucznego okazywania uniżenia i nie stanowiło to już dla niego problemu.

– Pozostaję w służbie pana Cligneta de Brabanta - oświadczył, przewyciężywszy niechęć, de Crecy.

– Wiem, poznaję was. Byłem wówczas z ojcem, gdy wasz pan brał u nas kredyt. To było jakoś latem w Paryżu, o ile się nie mylę. Raul odruchowo zagryzł wąsa, jak zwykle gdy zaczynał się denerwować.

– Tak, byłem wówczas z panem Clignetem w Paryżu - odburknął. Włoch pokiwał z wolną głową.

– Cóż więc mogę dla was zrobić? Nie przyszlście tutaj, jak rozumiem, by spłacać pożyczkę?

– Nie. Właściwie to przybywam tu w imieniu mego pana, by... zebrać pieniądze na jego wykup.

Gdyby nie wieloletnie doświadczenie, Huxley skrzywiłby się, słysząc tak nieporadną próbę pozyskania funduszy. Rapondi, najwyraźniej pozbawiony właściwej Janowi szpiegowskiej przezorności, otworzył szeroko oczy ze zdumieniem.

– Jakże to? Mając taki kredyt, chcecie się jeszcze zadłużyć?

Raul pominął milczeniem pytanie. Włoch natomiast opamiętał się nieco i po wygładzeniu fałd swojego podszytego wiewiórkami płaszcza przemówił ponownie.

– Czy mam rozumieć, że przyjechaliście, panie, tutaj, sądząc po waszym wyglądzie, prosto z pola bitwy, by wziąć pieniądze na wykup? A za jakąż to kwotę chcą Anglicy odsprzedać szanownego pana Brabantu?

Raul zdążył już skarcić się w myślach za pochopnie wypowiedziane w nerwach słowa. Tym razem odezwał się po chwili zastanowienia.

– No, niestety, za dość znaczną. Wiedzą, ile wart jest mój pan. Oczywiście puścili go na słowo, ale ruszył on od razu do swoich włości, by tam doglądać spraw bieżących. Mnie natomiast wysłał do was, panie Rapondi, znając wasze

ogromne możliwości.

Potrzeba było znacznie więcej niż prostego pochlebstwa, by łatwo załatwić sprawę.

– Panie de Crecy... tak was zwą? Cóż... muszę przyznać, że mieliście sporo szczęścia, iż zastaliście mnie w Ypres. Zmierzam właśnie do naszej siedziby paryskiej. Dobrze się więc składa, bo tutaj, we Flandrii, to i tak nie bardzo wypada, bym się z wami układał. Tu są ziemie księcia Jana, rozumiecie? Mam trochę towaru z Brugii. Drogi teraz niebezpieczne po wojnie. Może pojedziecie ze mną do królestwa? Tam na spokojnie omówilibyśmy wszystko w naszym kantorze, w przytomności mego ojca - kupiec zmienił ton na znacznie przychylniejszy, prawie serdeczny.

– To, niestety, niemożliwe, panie Rapondi. Mam też inne sprawunki do załatwienia tutaj we Flandrii.

– Dziwi mnie to nieco, skoro wasz pan polecił wam zbieranie okupu. Dziwi mnie też po prawdzie, że sam, wypuszczony na słowo honoru, pojechał do swoich ziem, zamiast udać się do nas. Jeśli jednak liczycie na to, że wyciągnę teraz trzos i wam go przekażę, to spotka was zawód. Czy mam wobec tego rozumieć, że podtrzymujecie niechęć do podróży?

Raul zawahał się przez moment. Zerknął na Huxleya. W jego stalowym spojrzeniu czaiła się groźba. De Crecy nie potrzebował takiego wroga.

– Tak, dobrze mnie rozumiecie. Miłego dnia życzę.

Po tych słowach Raul odwrócił się i ruszył w stronę placu. Huxley zrównał się z nim prędko, a po chwili przemówił.

– Cieszę się bardzo, że postanowiłeś mi jednak dotrzymać towarzystwa, a nie wykręciłeś się powinnością względem de Brabanta. De Crecy szedł dalej, nie odpowiadając. Huxley uśmiechnął się lekko, po czym kontynuował.

– A tak właściwie to jakie były twoje zamiary względem ewentualnych pieniędzy, które byś otrzymał? Dlaczego nie powiedziałeś, że twego pana więzi miejscowa milicja i że wypuści go za parę liwrów. Nie, poczekaj, nic nie mów. Chciałeś wziąć nieco większy kredyt i przywieźć panu Clignetowi trochę więcej pieniędzy, niż akurat potrzebował, czy tak?

Rozbawienie Huxleya stawało się tym większe, im bardziej pochmurniał de Crecy, a obie te rzeczy postępowały szybko.

– No to jak było? Ciekaw jestem, bo ściągnąłeś mnie do tego miasta w jakimś celu. Straciliśmy na to sporo czasu.

– Szczerze? - przerwał w końcu Raul, zatrzymując się gwałtownie. Haquelin opanował swoją wesołość, skoro tylko udało mu się sprowokować towarzysza.

– Nie twoja sprawa - warknął de Crecy, ale widać było, że powstrzymał się przed powiedzeniem czegoś mocniejszego.

– Mylisz się, Raul, właśnie moja. Teraz mamy wspólną sprawę.

Stół utworzony z odwróconej ławy, na której ułożono blat, nakryto obrusem i całkiem suto zastawiono. Franciszek Rapondi, uporawszy się z kuropatwą i kilkoma śledziami, przepłukał ręce w stojącej obok wodzie różanej. Strzepnąwszy palcami krople, zaczął zajadać figi. Jego liczne pierścienie leżały na brzegu stołu. Dobry posiłek zwykle poprawiał mu nastrój, tym razem jednak był trochę niepokieszony. Rozmowa z dwoma francuskimi rycerzami była dla niego przykra. Wychodziło na to, że może być kłopot ze spłaceniem kredytu, który wziął Clignet de Brabant jeszcze przed wyprawą wojenną. Zastanawiał się, czy by nie puścić kogoś do kantoru w Brugii z wieścią, by nie dawali kredytów, na wypadek gdyby i tam wysłannik de Brabanta chciał się pojawić. Potem jednak doszedł do wniosku, że nikt tam nie jest na tyle naiwny, by dać się zwieść. Żałował też, że rycerze nie zechcieli go eskortować. Trakty roily się po wielkich wojnach od grasantów. Z rozmyślania wytrąciło go wejście służącej.

– Przyszli jacyś ludzie, panie.

Rapondi zdziwił się. Nie spodziewał się niczyjej wizyty w Ypres.

– Czy wyglądają godnie?

Kupiec nie miał zamiaru rozmawiać z bezczelnymi żebrakami. A ponieważ służba w jego wynajętym w Ypres domu nie grzeszyła roztropnością i brakowało jej wprawy, mogła z łatwością dopuścić takowych do rozmowy.

- Tak, panie. Widać, że to podróżni.

Lombardczykowi przemknęło przez myśl, że to może ludzie de Brabanta namyślili się i podejmą się wyprawy do stolicy.

– Dobrze, wprowadź ich.

Dwie figi później do pomieszczenia wkroczyło dwóch mężczyzn. Rapondiemu wystarczyło jedno spojrzenie na wystawne, choć przybrudzone szaty i śniade twarze, by wiedzieć, że stoją przed nim jego krajanie.

– Witajcie, panie Rapondi - zaczął z właściwą sobie serdecznością Alberto. Skłonił się przy tym bardzo nieznacznie.

– Witajcie, panowie... - odparł skonfundowany gospodarz, wstając.

– Bartolomeo Bravardi z Wenecji. Tak mnie zwą - przyszedł w sukurs zakłopotanemu gospodarzowi podróżny.

– Czym mogę wam, panowie, służyć? Może zjecie ze mną? - spytał kupiec, wskazując na stół, na którym pozostało jeszcze całkiem sporo jedzenia.

Podróżni wyglądali nie tylko na głodnych, ale i na zamożnych.

– Dziękujemy, lecz czas nas nagli. Chcieliśmy was jeno spytać, czy nie widzieliście może rycerzy z pocztu niejakiego Cligneta de Brabanta. Alberto, pytając, przybliżył się do Rapondiego. Tymczasem Luigi postąpił parę kroków w stronę drzwi komnaty.

– Widziałem - odrzekł niepewnie kupiec.

– Ach, tak?! Wybornie! Czy udzieliliście im kredytu, o który prosili? - zagaił pogodnie Alberto, stając tuż przy krawędzi stołu.

– Ależ mój panie. Wybaczcie, lecz nie mogę wam tego wyjawić.

Rapondi chciał zacie przyjąć szlachetnych rodaków, ale dokładnie pamiętał, gdzie kończy się granica uprzejmej gościny.

– No tak, rozumiem. Tyle tylko że, jakby to ująć... My dokładnie wiemy, po co ci ludzie przyjechali, bo sami rozmawialiśmy z panem Brabantu zaledwie dziś koło południa.

Alberto zręcznie podniósł, a następnie zjadł jedną z leżących na stole fig. Wprawił gospodarza, zarówno słowem, jak i gestem, w jeszcze większe zdziwienie.

– Jakże to? Czyżby Anglicy ruszyli na Flandrię? - spytał pośpiesznie Rapondi. Po jego zagubionych oczach łatwo było poznać, że zastanawia się już nad planem ucieczki.

– Nie - odparł z lekkim rozbawieniem Arnaldi. – Podejrzewam, że mężczyzna podający się za sługę pana Cligneta minął się z prawdą – dodał po chwili, zdejmując ze stołu kolejny owoc i równocześnie bacznie obserwując kupca.

– To możliwe. Twierdził, że pan Clignet został wzięty do niewoli przez Anglików. Chciał pieniędzy na wykup... - Franciszek Rapondi zrobił krótką pauzę, ponieważ właśnie zorientował się, że próbowano od niego wyłudzić pieniądze.

Alberto wiedział wprawdzie, iż pan Clignet potrzebował pieniędzy na wykup, ale nie zamierzał poinformować o tym oburzonego kupca.

– To łotry! Ale wszak widziałem go w Paryżu u boku pana Cligneta. Był jednym z nielicznych, którzy weszli z nim do kantoru i byli świadkami rozmowy z moim ojcem. - Próbował się tłumaczyć ze swojej łatwowierności Rapondi.

– No cóż. Nie ma chyba stworzenia, które bliżej żyłoby z psem niż pchłą, a wszakże trudno byłoby nazwać ją wiernym towarzyszem... - Alberto przybrał pełną współczucia minę, pod którą tliło się jednak rozbawienie. – Sądząc po waszym gniewie, pożyczyciście tym łachmytom pieniądze... - ciągnął, chcąc wykorzystać roztrzęsienie gospodarza.

– Ależ skąd! Zaproponowałem im tylko, by towarzyszyli mi do Paryża. Teraz rad jestem, iż zrezygnowali. Pewnikiem przestraszyli się, że wszystko wyjdzie na jaw w królestwie, pod boki króla.

Rapondi miał przemożną ochotę ugryźć się w język za bogactwo wiadomości, których wcale nie chciał wyjawiać, a które właśnie przekazał osobliwym gościom.

– Nie martwcie się tym już, mój panie. Ważne, iż was nie nabrali. Obawiam się, że na nas już czas. Droga przed nami daleka. Żegnajcie. Doskonale te figi.

Aby nie być gołosłownym, Arnaldi przed wyjściem wziął jeszcze jeden owoc.

– Żegnajcie - odparł Rapondi dalej nieco oszołomiony rewelacjami, które usłyszał.

Gdy tylko zamknęły się drzwi od izby, Włoch usiadł ciężko na swoim krześle. Zbierając myśli, nalał sobie wina do stojącego przed nim srebrnego kubka. Właściwie to gotów był przyznać dziwnemu podróżnikowi rację. Ostatecznie najważniejsze było, że nie dał się oszukać i że nie zabrał oszustów przed oblicze ojca. Wino ukoilo go

trochę. Sięgnął po leżące na blacie pierścienie i zaczął je starannie wkładać na pulchne palce. Wtedy też zrozumiał, iż nie do końca udało mu się ustrzec przed grabieżą.

Trzej rycerze kołysali się sennie w siodłach. Wiedzieli, że przyjdzie im stanąć w najbliższej wsi, którą przed sobą widzieli. Nie było więc potrzeby, by się śpieszyć. Do zmroku zostało jeszcze trochę czasu, jednak nie na tyle dużo, by wyprawiać się w drogę. Dlatego też wszyscy trzej ożywili się, widząc nadjeżdżających z naprzeciwka ludzi. Jak na komendę, zarówno obaj Anglicy, jak i Clermont wyprostowali się w siodłach i zaczęli obserwować trakt. Każdy też odruchowo sprawdził, czy miecz nie przekrzywił się na pasie. Prędko stało się jasne, że z naprzeciwka jadał jacyś zbrojni. Dało się równie łatwo poznać, że nie są to żadni zbójce, lecz jedynie garstka pobitych rycerzy.

Nigdy jeszcze poczet Cligneta de Brabanta nie wyglądał równie żałośnie. Stanowiło go zaledwie kilku rannych mężczyzn. Byli to ci, których obrażenia nie pozwoliły im odjechać z de Crecym, ale też okazały się na tyle lekkie, iż mogli od razu dołączyć do oswobodzonego pana. Zbrojni, podobnie jak Neville'owie i pan Clermont, nie posiadali jucznych zwierząt, na których zwykle przewożono zbroje. Jechali więc w poszarpanych i pogniecionych pancerzach.

Pan Bertrand rozpoznał przed sobą świetnego wojownika, pod którego sztandarem przyszło mu zresztą stawać pod Azincourt. Widząc klęskę bijącą od postaci dawnego wodza, pan Clermont poczuł bolesne ukłucie. Odruchowo zacisnął zęby, wspominając hańbę porażki. Gdy dwa poczty się mijały, uczyniono wszystko prawie zupełnie wbrew obyczajom. Pan Bertrand skinął jedynie głową w geście szacunku. De Brabant spojrział na pozdrawiającego go rycerza, lecz nie zdołał sobie przypomnieć jego twarzy. Skinął również, grzecznie acz płytko, i minęli się bez słowa.

Sir Ralf wstrzymał na chwilę oddech. Po pierwsze obawiał się, iż widząc tak blisko grupę znajomych zbrojnych, Clermont spróbuje się mimo danego słowa oswobodzić. Jeszcze bardziej zaniepokoiło go to, że baron Pitchfork w swojej lekkomyślności nie uznał za stosowne odkłonić się nadjeżdżającym z naprzeciwka, zwyczajnie zapominając o swojej roli giermka. De Brabant był jednak tak zasepiony, że ledwo dostrzegł ukłon Clermonta, zupełnie nie zwracając uwagi na Anglików.

Niedługo potem wjechali między wiejskie zabudowania. Szybko też uwagę ich przykuł okazałych rozmiarów zajazd. Wysoka, przestronna stajnia zapowiadała wygodny nocleg. Jedyne stajenni okazali się trochę nieokrzesani. Byli spięci i małomówni. Pan Moorow dostrzegł też, iż konie przyjął zaledwie jeden z nich, podczas gdy dwóch, dzierżąc pałki, stało na poddaszu. Sir Ralf nie znał miejscowych obyczajów i słyszał wiele o dziwnych porządkach panujących we Flandrii, ale taka postawa wydała mu się mimo wszystko dość osobliwa. Dopiero gdy podróżni przekroczyli próg „Polnej Kaczki”, doświadczony Neville poskładał sobie wszystko do kupy. W izbie od samego wejścia czuć było woń krwi. Choć usunięto jej ślady, mdły zapach wisiał nadal w powietrzu. Większość sprzętów była uszkodzona, było ich zresztą niewiele. Starszy Anglik wywnioskował z tego, iż pewnie te najbardziej zniszczone zostały zrąbane na opał. Gospodarz patrzył na gości spode łba. Jeszcze bardziej podejrzliwymi spojrzeniami obdarzyli nowo przybyłych



zajmujący wielki podłużny stół milicjanci. Zapanowało niezręczne milczenie, w którym kroki podchodzących do szynku rycerzy dudniły o skrzypiące deski.

– Witajcie gospodarzu - przemówił zakłopotany Clermont.

– Witajcie - odparł z twardym akcentem karczmarz.

– Chcemy się u was zatrzymać - kontynuował pan Bertrand, mimo woli zerkając na przyglądających mu się milicjantów.

– Jest panów tylko trzech? - podpytał karczmarz, nawet nie siląc się na pozory uprzejmości.

– Owszem. Czyżby doszło tu ostatnimi czasy do jakiejś awantury? - spytał wreszcie Clermont, chcąc rozładować napięcie.

– Tak. Była tu siła rycerzy z królestwa i Burgundii. Ci z Burgundii jeszcze tu ostali, więc jeśli wy panie nie jesteście przychylni księciu...

– Jesteśmy wiernymi poddanymi księcia Jana. Jam jest pan Bertrand Clermont, rycerz pikardyjski.

Przerwał uspokajająco Pikardczyk. Jego słowa podziałały kojąco na gospodarza, który skinął przychylnie głową. Milicjanci skierowali swoje spojrzenia z powrotem na stół zastawiony kufkami, pomiędzy którymi leżały porzrzucone kości do gry.

– Usiądźcie panie, zaraz przyniesiemy wam jakąś strawę.

Clermont odwrócił się i niemal w tym samym momencie w izbie rozległa się przzerwana przybyciem podróźnych melodia. Rycerze zmierzając do stołu, zerknęli na siedzących nieopodal muzyków. Giacomo trzymał swoje obute w nadzwyczajnie długonose ciżmy stopy na blacie. Sam rozłożył się wzdłuż ławy oparty tylko z lekka o ścianę. Obaj jego towarzysze leżeli z głowami między rękoma, w pozycjach sugerujących zgon. Giacomo był jeszcze co prawda w stanie brzdąkać w miarę składnie na swojej lutni, ale jego karminowe lica i rozmyte spojrzenie nie pozostawiały złudzeń co do trzeźwości muzykanta. Clermont gruchnął ciężko o ławę i doznał olśnienia.

– Ja znam tych grajków! - oznajmił gromkim głosem sprowadzając na siebie radosne spojrzenie barona i chmurne sir Ralfa.

– Bardzo jesteśmy radzi, iż spotykacie tu niejedną znajomą twarz, lecz cóż z tego i dlaczego tak głośno nam to oznajmiacie? - spytał pan

Moorow karcącym półgłosem.

– Wybaczcie, panowie. To dlatego iż ci muzycy znają pannę Rambures. Rzeknę wam więcej. Oni to dopomogli jej w ucieczce - sprostował

Clermont znacznie cichszym głosem.

– Nie sądzę, by wiedzieli o jej losie coś więcej od nas, ale wypytać ich nie zawadzi - skwitował zaintrygowany pan Moorow, spoglądając w kierunku mocno już wycieńczonych biesiadą minstreli.

Szybko też uczyniono zadość postanowieniu. Gdy tylko dzbany piwa wylądowały przed rycerzami, ci podnieśli się

ze swej ławy. Pan Clermont zbliżył się do stołu minstrelów i postawił na nim z werwą swoje naczynie. Spod palców Giacomina wyszła fałszywa nuta, a grajek zmierzył przybysza rozmytym spojrzeniem. Wyższy ze śpiących muzyków również podniósł na moment głowę, ale nie zdołał jej zbyt długo utrzymać w górze. Huknął czołem o blat, zwracając na siebie uwagę milicjantów. Jednak stróże prawa szybko wrócili do ciekawszych rozrywek niż obserwowanie pijanej gawiedzi.

– Czyż mnie nie poznajecie? - zagaił Clermont, spoglądając cierpliwie na Giacomina.

– Jeśli poży... pożyczylem od was kiedy pieniądze, mój panie... to wiedz... wiedzcie, iż...

– Nic z tych rzeczy, mój panie - uspokajająco odparł Pikardyjczyk, przecząco kręcąc głową. - Wszak to wy graliście na błoniach Bapaume, wraz ze swoją trupą. Opowiadaliście przejmującą historię Moreski, mauryjskiej księżniczki. Którą to zresztą całkiem udatnie udawała panna Rambures - zakończył rycerz, zajmując miejsce przy ławie naprzeciw Genuńczyka. Ralf i Artur również usiedli, gdy tylko spostrzegli iskrę zrozumienia w oczach muzykanta.

– Tak. Poznają was panie! - ożywił się nagle Giacomo.

Usiadł prawie prosto wspomagając się ręką. Odłożył ostrożnie lutnię, a następnie wejrzawszy trochę trzeźwiej w oczy Clermonta, przemówił.

– Dobrze, że tu jesteście, panie. Nie pomnę, ile tu już pijemy z kompanami. Nie może być jednak więcej jak dziesięć... lub dwa. A pijemy, gdyż nie daliśmy rady dopomóc panie Marii.

Teraz wszyscy trzej rycerze wbili uważne spojrzenia w Lombardczyka.

– Otóż był tu pan Clignet z Brabantu wraz z pocztem. A potem przyszedł jakiś podróżnik. Usłyszałem, jak rozmawiali – o panie Marii właśnie. Przybysz powiedział, iż prowadzi ją do jakiegoś zamku.

– Nie mów tylko, że pan Clignet maczał w tym palce! - w głosie Clermonta zabrzmiała rozpacz.

– Ja nie wiem, panie... ale zdaje mi się, iż nie przystał on na to, co przybysz z jego pocztowymi uzgodnił. Potem przyszli rycerze burgundzcy i zrobiła się wrzawa. Ledwieśmy stąd uszli z życiem...

– Mówcie lepiej, co z panną Marią. Czy wiecie, gdzie ona? - przerwał mu zniecierpliwiony sir Artur.

– Gdzie? Nie wiem. Ale poszli na wschód, razem z pocztowymi pana Cligneta – mówiąc to, Giacomo spojrzał smutno na rycerzy.

– Wiecie, ilu ich było? - spytał rzeczowo sir Ralf.

– Będzie z tuzin, ale pewny nie jestem. Noc była.

– Trzeba nam ruszać jak najrychlej. A do tego wymyślić jakiś fortel, bo z tuzinem we trzech mamy marne szanse - stwierdził sir Ralf.

– Nie przesadzaj, drogi stryju, z tuzinem łotrzyków damy sobie radę bez trudu - opdarował baron, wychylając swój dzban piwa. Sir Ralf jedynie westchnął w odpowiedzi.

Jakub Vaartbrut ponuro wyglądał przez okno swojej komnaty, bawiąc się ciężkim srebrnym łańcuchem. Zimny jesienny wiatr wpadał, wyjąc, do pomieszczenia i napawał Flamanda złymi przecuciami. Nagle na oświetlonym dwiema lampami i piecem kuchennym dziedzińcu zaczął się ruch. Nawoływania strażników mieszały się z tupotem ludzi i koni. Nim Vaartbrut zdążył na dobre zdziwić się hałasami dobiegającymi z dołu, usłyszał mocne walenie do drzwi.

– Kto? - spytał, zwracając oblicze w stronę wejścia.

– Eelke, panie! Przybyli jacyś zbrojni w sile kilkunastu. Ich wódz twierdzi, że jest z rodu Rambures - oznajmił prędko kapitan zamkowej straży. Jakub zamrugał, a potem zaklął.

– Co robimy, panie? Nie sposób ich odprawić, chyba na bramę naparli.

Flamand zbladł, rozejrzał się wokół, ale nagie, chłodne zamkowe ściany nie dostarczyły mu zbyt wielu wskazówek.

– Wpuść ich zaraz i podejmij tak, jakbyśmy radców z Gandawy mieli w gościnie! Każ stolnikowi szykować wieczerzę, a cześnikowi wydobyć co lepsze beczki.

Gdy tylko wydał dyspozycje, pan zamku ruszył, sapiąc, w stronę okazałej dębowej szafy. Drżącymi rękoma zaczął przebierać w wyśmienitej jakości sukniach. Z dziedzińca dobiegły odgłosy wydawanych rozkazów, a potem rozległ się dźwięk podnoszonej kraty.

Uczcie wiele brakowało do doskonałości. Po pierwsze, panowała przygnębiająca cisza, jeśli nie liczyć odgłosu chrupanych w zębach biesiadników kości i zgrzytu noży o posrebrzaną zastawę. Po drugie, galeria nad wejściem przewidziana dla grajków była ciemna i pusta. Sporządzone naprędce potrawy słabo odzwierciedlały majątność gospodarza zaskoczonego nagłą wizytą. Co prawda, na stole znalazło się nieco upolowanego ptactwa, a nawet gęś nadziewana gołębiami, faszzerowanymi skowronkami, ale oprócz odgrzanych partii dzika była to jedyna wykwinna potrawa. Brakowało słodkości, przerywników, muzyków, błaznów, a przede wszystkim nastroju sprzyjającego radosnemu oddawaniu się rozkoszom podniebienia i kulturalnej rozmowie. Młody pan Rambures miał twarz zmęczoną i poważną. Jadł niewiele, bo głód, który odczuwał w podróży, został niemal całkiem zagłuszony przez troskę o matkę. Ta wraz z córką nie jadły prawie wcale, ocierając co chwilę napływające do ich czerwonych oczu łzy. Zarówno pan Vindroit, jak i pozostali spoczywający przy stołach zbrojni mieli nie lepsze humory.

Jakub Vaartbrut starał się pohamować spowodowany zdenerwowaniem apetyt, ale mimo to prześcignął gości w pochłanianiu kolejnych porcji jadła. Bawił się przy tym nerwowo końcówką haftowanego szkarłatną nicią chaperonu i rzucał wkoło badawcze spojrzenia. W końcu którymś z rzędu głośniejszym mlaśnięciem przykuł uwagę zapatrzonego w siostrę i matkę pana Alana. Młody rycerz spojrzał na siedzącego po jego lewej ręce gospodarza, marszcząc brwi.

– Na Boga, panie Vaartbrucie, azaliż nic nie zdoła powściągnąć waszego apetytu? Czyż nie przeszkadzają wam te niewieście łzy, że nie wspomnę o poście?

Flamand popatrzył na niego urażony, ale przełknął momentalnie okazały kęs, który akurat przeżuwał.

– Wybaczcie, panie, lecz wiedzcie, że różne są smutku ludzkiego objawy. Ja właśnie w strawie znajduję ukojenie mych smutków. Poza tym staram się was zachęcić, byście i wy zjedli coś z tego skromnego poczęstunku i nie gardzili tak jawnie moją gością.

Wyrzut nie zrobił na młodym szlachcicu zbyt dużego wrażenia. Pan Rambures zmierzył ponownie Vaartbruta nieprzyjemnym wzrokiem, jakby ważył jakąś solidniejszą ripostę. Po chwili jednak opamiętał się trochę i z łagodniejszym obliczem zwrócił się do matki.

– Matko! Nie sposób tak spoglądać na twe łyzy! Ni kęsa nie przełknę. Wróćmy do komnat i tam zmówmy modlitwę, polećmy dusze zmarłych opiece Wszechmogącego. Może jutro nadejdzie lepszy dzień.

Pani Anna skinęła lekko głową. Vindroit odezwał się ciężkim zmęczonym głosem.

– Może by tak pan gospodarz był w mocy uczynić jakąś mszę w intencji poległych. Zdaje się, że widziałem na dziedzińcu kaplicę.

– Byłoby to z pewnością godne - podchwycił Rambures. A po chwili dodał pojednawczo:

– Wdzięczny wam jestem za to przyjęcie, ale doprawdy jest ono w bardzo złą godzinę naszykowane. Trzeba by nam raczej stawy duchowej. Pan Jakub na pierwszy rzut oka nie wyglądał na kogoś, komu potrzebna byłaby jakakolwiek strawa. Czując jednak osuwający się spod nóg grunt, przyjął cieplejszy ton za dobrą monetę. Na jego krągłej twarzy zagościła nagle pobożna troska, potem skinął w skupieniu głową i odrzekł:

– Niech tak będzie. Jutrzejszy dzień niech będzie niczym Dzień Zaduszny, skoro we Wszystkich Świętych nie wiedzieliśmy jeszcze, że tylu zacnych rycerzy i przyjaciół winni byliśmy polecić opiece Pana. Wydam polecenia, niech przyjdą kapłani i cały dzień czynią modły za zmarłych.

Rambures zerknął niechętnie na pana Vindroit. Ten odwzajemnił brak entuzjazmu pomysłem. Żaden z rycerzy nie chciał tworzyć zbyt intymnej atmosfery z flandryjskim gospodarzem. Mimo to nikt nie zdobył się na odrzucenie zbożnej, jak można by sądzić, propozycji. Zadowolony z braku sprzeciwu Jakub uśmiechnął się delikatnie, próbując cały czas zachować pełne troskliwości oblicze. Następnie wstał od stołu.

– Dobrze więc. Kończmy tę niewczesną biesiadę. Przełożymy ją na inszą porę, kiedy godnie uchodzić będzie za stypę.

Łypnął przy tym badawczo na Ramburesa. Francuz zmarszczył lekko brwi, słysząc te słowa, lecz i tym razem nie wymyślił niczego, by wykręcić się od kolejnych, przedłużających pobyt zobowiązań. Wstał tylko od stołu, podjął matkę pod rękę i ruszył w stronę komnat. Służba zaczęła się krzątać przy stołach, nie kryjąc zbytnio radości na widok prawie nietkniętego jadła. Nawet myśliwskie psy trzymane do tej pory na uwięzi podbiegły z cieknącą śliną do krawędzi blatów, wyjąc pogodnie i merdając ogonami. Pan Vaartbrut, widząc tę narastającą radość i plecy opuszczających się gości, sam nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Pociągnął potężny haust wina ze stojącego przed nim kielicha.

## Rozdział 9

Tej niedzieli po mszy dzwon na wieży niewielkiego kościoła w Azincourt zabił ponownie. Wezwanie to nie było w zasadzie konieczne, bo wszyscy mieszkańcy wsi, jak również kmiecie z pobliskiego Maisoncelle, a nawet Ruiseauville świadomi byli wielkiej atrakcji czekającej ich po nabożeństwie. Tłum gapiów otaczał już drewniany, sklepony dzień wcześniej podest. Konstrukcję przemierzali strażnicy zamkowi, szukając ewentualnych uchybień. Przez szmer podnieconej gawiedzi przebijały się głuche tupnięcia i następujące po nich skrzypnięcia desek. Stojący najbliżej podwyższenia też próbowali stabilności podestu, obtłukując go z lekka kijami. Cofali się jednak natychmiast pod karcącymi spojrzeniami strażników, którzy rozumiejąc ciężącą na nich odpowiedzialność, nie chcieli dawać pola stojącym niżej chłopom.

Nad rozstajami dróg, pośród których miało miejsce owo niecodzienne zgromadzenie, rozchodził się przyjemny zapach pieczonych na kamieniach podpłomyków. Pewien przedsiębiorczy mieszkaniec Azincourt zrecznie wkładał w powyciągane zewsząd dłonie kolejne placki. Z równą sprawnością wrzucał do rozklekotanej skrzyni zapłatę, na którą składały się przeważnie ułamane miedziaki, ale też kawałki materiału, a nawet garści zboża. Mężczyzna zdawał się przyjmować niemal dowolną formę wynagrodzenia. Odmówił jedynie wzięcia zdechłej kury, choć wciskająca ją kobieta przysięgała na Najświętszą Panienkę, że tragiczny zgon ptaka nastąpił zaledwie chwilę wcześniej.

Guillaume wykazywał początkowo daleko idącą obojętność, nie zwracając najmniejszej uwagi na panujące wokół poruszenie. Stał przed kościołem, czekając na kanoników, z którymi przybył do wsi. Kiedy jednak tamci nie wychodzili, giermek zaczął wreszcie rozmyślać o otaczającej go ciżbie. Sterczący ponad kapturami, czepcami i nielicznymi wytartymi czapkami podest przywodził na myśl miejskie występy teatralne. Guillaume był parokrotnie świadkiem całkiem wystawnych misteriów, które odbywały się w jego rodzinnym La Rochelle. Przez moment jego rozleniwiony umysł pozwalał mu sądzić, że zaraz będzie świadkiem jakiegoś przedstawienia odegranego przez wędrowną trupę. Natychmiast jednak uświadomił sobie niedorzeczność tego przypuszczenia. Znajdował się pośrodku liczącej kilkadziesiąt domostw wsi, gdzie był tylko jeden kościół i zamek. Otaczający go ludzie mieli umazane ziemią ręce i czerstwe oblicza, a zapachem przypominali raczej zwierzęta gospodarskie, których zresztą niemałą liczbę przyprowadzili ze sobą. Nie mogło być mowy o teatrze. Dopiero gdy na podeście pojawiła się postać w czerwonym, zakrywającym twarz kapturze, giermek zrozumiał, co oprócz podpłomyków miało być niedzielną atrakcją. Dzwon umilkł. Dwaj pomocnicy oprawcy wkroczyli na rampę, dzierżąc swoje przybory. Tłum zafalował. Ktoś nadepnął Guillaume'owi na stopę. Zaraz potem jakaś niska, przysadzista kobieta staranowała

giermka, zmuszając go do oparcia się o płot okalający kościół. Guillaume chciał zaapelować do starowinki, ale gdy ta ukazała nieskalane myślą bezżębne oblicze, zrezygnował. Stało się jasne, że poruszenie związane jest z pojawieniem się grupy konnych, którzy właśnie podjechali pod rampę. Na ich czele siedział odziany w purpurową houppelande i takież chaperon mężczyzna. Na jego piersiach błyszczał ciężki łańcuch. Gdy podniósł opierścienioną dłoń, tłum zamilkł. Henryk de Peigneuf powiódł zmęczonym wzrokiem po otaczającym go tłumie i po raz kolejny uświadomił sobie marność swojego urzędu. Był bardzo zmęczony. Z najwyższym trudem pokonał ziewnięcie, które dosadnie miało podkreślić stan, w jakim się znajdował. Zamiast tego opuścił dłoń i przemówił do w miarę uspokojonych poddanych.

– Ja, Henryk de Peigneuf, kasztelan Azincourt, pod nieobecność naszego pana Ysambarta sprawujący pieczę nad jego ziemią i pilnujący w jego imieniu praw jego poddanych, stawiam przed wami dwóch cudzoziemskich łotrów.

Peigneuf uczynił krótką przerwę, dając tłumowi czas na reakcję, ale nikt nie okazał żywiołowych emocji.

– Za zbrodnie, których się dopuścili na dobrych ludziach ziemi pikardyjskiej, łupiąc ją w poszukiwaniu zysków, zostaną dziś, w waszej przytomności, poddani karze.

Kolejna przerwa i nadal brak spontanicznego aplauzu. Zirytowany pan Henryk postanowił wreszcie zakończyć swe przemówienie.

– Karą tą będzie ścięcie mieczem.

Dopiero na te słowa podniosła się wrzawa aprobaty. De Peigneuf parsknął pogardliwie, niemalże żałując spektaklu, który zechciał urządzać dla otaczających go niewdzięczników. Stracenie rycerza i łucznika miało służyć wzmocnieniu nadwątlonego straszliwą porażką armii królewskiej autorytetu kasztelana. Wedle miary pana Henryka tłuszcza nie okazała jednak dość szacunku jego słowom. Tymczasem jeden z pomocników kata dostarczył na podest narzędzie egzekucji: długi oburęczny miecz o płaskim jelicu i zaokrąglonym sztychu. Oprawca wsparł się dumnie na podanym mu orężu, a potem zwrócił zakapturzoną głowę w stronę kasztelu. Po chwili nad tłumem zebranych załśniły ostrza spis i włóczni niesionych przez eskortujących skazańców strażników. Zaskrzypiały deski przygotowanego podwyższenia. Stanęli na nim odziani w łachmany Anglicy. Rude włosy Cedryka Rainforda do reszty utraciły wszelkie oznaki szyku, były brudne i pozlepiane. Zarówno rycerz, jak łucznik mieli blade, ściągnięte łękiem twarze.

Guillaume zamarł. Ku swojemu zaskoczeniu nie poczuł ulgi. Jego zaskoczenie od razu przeszło w żal, a zaraz potem we wstyd. Poczł silniej zapach świeżo wypieczonego podpłomyka i zapragnął znaleźć się gdzieś daleko od miejsca kaźni. Napał na stojących wokół chłopów. Niska, przysadzista staruszka okazała się jednak równie trudna do ruszenia co pień solidnego dębu. Giermek usłyszał kilka przykrych słów, potem ktoś zwinnie wepchnął mu łokieć pod żebra. Przeszył go promieniujący ból. Pot wystąpił mu na czoło, nie miał zamiaru gwałtowniejszym działaniem ryzykować ponownie takiego urazu. Stęknął więc tylko na poły z bólu, na poły zaś z bezsilności, po czym odwrócił głowę

tam gdzie inni.

Stephen Archer, klęcząc, zaczął nagle dygotać jak osika. Jeden z pomocników oprawcy obwiązał mu oczy opaską. Kat zbliżył się do mężczyzny.

– Nie trwóście się tak. Będzie to zaledwie chwila, nawet nie drgniecie. Przebaczycie mi? - spytał zwyczajowo.

– Tak - wymamrotał sinymi ustami łucznik.

Oprawca odstał od skazańca. Stał szeroko i pewnie na nogach. Wziął szybki zamach aż zza pleców. Miecz gładko, z przeciągłym świstem rozciął kark i szyję. Turlająca się głowa została sprawnie pochwycona przez jednego z pomocników kata i wsadzona do płóciennego worka. Na materiale szybko pojawiła się czerwona plama. Drugi pomocnik odciągnął na bok bezgłowy tułów i już chciał podejść w stronę drugiego skazańca, gdy ten go uprzedził. Sam ruszył przed siebie i stanął wyprostowany przed katem. Zmierzył go dumnym spojrzeniem. Resztki strachu ustąpiły z oblicza Cedryka Rainforda.

– Wybaczycie mi, panie? - spytał kat, spoglądając na skazańca.

Tym razem można było odnieść wrażenie, że katu naprawdę zależy na odpuszczeniu winy.

– Tak - odparł rycerz, resztkami woli opanowując drżenie głosu.

Jeden z pomocników oprawcy ułożył przed skazańcem poduszkę. Cedryk spojrzawszy w tym czasie w tłum. Potem przyklęknął na przygotowanym podłożu. Guillaume byłby gotów przysiąc, że wierzytel popatrzył wprost na niego. Giermek w życiu nie czuł takiego wstydu. Ciężkie ostrze świsnęło ponownie, błyskawicznie skrcając mężczyznę o głowę. Wypełniono drugi naszykowany worek.

Droga prowadząca z Azincourt do Ruiseauville wciąż nosiła ślady przemarszu armii. W zrytej tysiącami nóg i setkami kopyt ziemi powstały wykroty, a w niektórych miejscach dość głębokie rowy. Dwaj kanonicy wybrali pobocze mimo wystających tam korzeni przydrożnych buków. Guillaume szedł natomiast środkiem traktu. Co jakiś czas głośny chlupot ściągał na giermka zdziwione spojrzenia towarzyszących mu duchownych. Guillaume zdawał się tego nie dostrzegać, podobnie jak nie dostrzegał samych kałuż. Co rusz zanurzał w nich doszczętnie przemoknięte buty. Po prostu szedł przed siebie z lekko pochyloną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Przeszli już dobre pół drogi, gdy wreszcie brat Teodor nie wytrzymał. Zsunął zarzucony na głowę kaptur, by tym samym ułatwić sobie rozmowę, po czym przemówił cicho i troskliwie.

– Czy coś was trapi?

Giermek nie tylko pozostawił pytanie bez odpowiedzi, ale jakby dla dobitnego dania wyrazu swemu braku zainteresowania rozmową wdepnął z głośnym pluskiem w kolejną rozpadlinę. Tym razem jednak dół okazał się głębszy i mężczyzna zachwiał się, na chwilę tracąc równowagę. Mnisi przystanęli. Giermek tymczasem, niewiele sobie robiąc z konsternacji swoich towarzyszy, wyciągnął obłoconą cizmę z kałuży.

– Czy coś was trapi? - powtórzył pytanie zakonnik.

Tym razem w jego głosie zabrzmiała irytacja. Czy to na skutek nuty bliższej żołnierskiemu uchu, czy też ze względu na niedawne potknięcie, dość, że Guillaume wyrwał się z zadumy i spojrzął na kanoników. Powaga bijąca mu z oblicza nie przystawała do niego zupełnie.

– Tak sobie myślałem, bracie Teodorze... – Giermek zawahał się, jakby sam zaskoczony doniosłym tonem swoich słów.

– Tak... - zachęcił go spokojnym głosem kanonik.

– Myślałem, jaka właściwie jest u was reguła. Bo wszakże podług jakiejś reguły wszystko jest urządzone, skoro zwą was regularnymi - dokończył wreszcie Guillaume dalej niezbyt pewnie.

– Doprawdy, nie lada myśl dusiliście w sobie - skwitował brat Teodor z rozbawieniem, obserwując stojącą przed nim ochlapaną błotem postać.

– A do tego myśl słuszną. Zaiste, zakon nasz urządzony jest wedle reguły, którą sam nasz święty ojciec założyciel Augustyn spisał.

Mnich wypowiadał słowa wolno, uważnie obserwując reakcje rozmówcy. Po Guillaume zaś łatwo szło poznać, że o co innego chciał spytać, a obecnie nie czekając już końca wypowiedzi brata Teodora, układa w myślach prawdziwie ważne pytanie.

– A jakież są te reguły? - spytał od razu, gdy tylko przebrzmiały słowa kanonika.

– Po pierwsze, miłować mamy Boga, a potem i bliźnich naszych, jako że są to w istocie w pierwszym rzędzie dane nam przykazania. Po drugie, żyć mamy razem, w zgodzie, niczym prawdziwi bracia, dbając wzajemnie o nasze dusze, tak by zdały się one Panu naszemu jednością i byśmy dzięki tej naszej jedności lepiej służyć Mu mogli.

Zakonnik zrobił pauzę, nie spuszczając wzroku z zasłuchanego Guillaume'a. Cisza przedłużyła się, gdyż mężczyzna nie odpowiedział. Wpatrywał się dalej w mnicha, jakby ważąc wciąż dopiero co zasłyszane słowa.

– Wiele jest zasad rządzących życiem naszym. Mogę wam o nich opowiedzieć, lecz jeśli pozwolicie, to wolałbym to uczynić w drodze do klasztoru. Nie chciałbym, żebyśmy spóźnili się na sekstę.

Przebrzmiało echo ostatnich słów antyfony. Sir Robert nie podnosił mimo to oczu znad wyśmienicie iluminowanych kart brewiarza. Nie potrafił jeszcze uczestniczyć wraz z kanonikami w Liturgii godzin, ale chłonał ich każdą chwilę i każde słowo. Nie śmiałyby zresztą dołączyć swojego niewprawnego głosu do zgranego chóru braci zakonnych. Był tu jednak tylko gościem, choć coraz częściej, zwłaszcza zaś w chwilach skupienia i modlitwy, czuł rosnącą więź z tą niewielką społecznością. Szmerzy towarzyszące opuszczającym nawę mnichom wyrwały go z kontemplacji. Dające



ślabe światło świece wydobywały na jaw granice materialnego świata. Oto znów otaczali go zwykli śmiertelnicy, w wytartych wełnianych habitach, oddalający się na spoczynek. Trudno było młodemu rycerzowi połączyć ich zgarbione sylwetki z pięknymi głosami, które jeszcze przed chwilą wypełniały kościół. Odwrócił się, idąc za przykładem innych, i ku swojemu zaskoczeniu ujrzał Guillaume'a. Było coś niezwykłego w twarzy giermka. Sir Robert pomyślał, że i na jego obliczu do niedawna gościła podobna zaduma. Guillaume mrugnął, a jego twarz znów przybrała normalny wygląd.

Wyszli razem jako jedni z ostatnich. Na dworze wiało silnie, a deszcz zaciął z ukosa, momentalnie sprowadzając myśli na ziemię. Obaj mężczyźni zaciągnęli na głowy kaptury i przyspieszyli kroku. Wracali do domu gościnnego w samotności, jako że zakonnicy wychodzili ze świątyni bocznym wyjściem i zmierzali wprost do dormitorium znajdującego się tuż za przylegającym do świątynnej ściany wirydarzem. Sir Robert z Guillaume'em szli coraz szybciej wzdłuż okalającego sad muru. Chcieli czym prędzej znaleźć się po jego drugiej stronie, korzystając z niego równocześnie jako z osłony przed deszczem. Potem czekało ich już tylko okrutnie zabłocone podwórze, aż wreszcie wpadli do domu dla gości.

– Dobrej nocy, Guillaume - rzucił za siebie młody Neville, idąc w kierunku swojej izby.

– Dobranoc - odparł giermek.

Sir Robert zrzucił przemoczony kaptur i rozpiął płaszcz, który w trosce o jego zdrowie został mu użyczony przez mnichów z powodu słotnej pory. Następnie zsuł przemoczone buty i zaległ na wąskim, twardym łóżku, do którego zdążył przywyknąć. Gdy tylko zrobiło mu się nieco cieplej, zaczął się zastanawiać, ile to już dni minęło od czasu jego przebudzenia w tej ciasnej izbie. Potem wrócił myślami do uczucia ogromnego uniesienia, które przeżył w trakcie nabożeństwa. Przywrócił w pamięci obraz z brewiarza, ostatni, który oglądał, nim przymknął oczy i wsłuchał się w śpiew mnichów. W niemalże tej samej chwili stały się dwie jeszcze rzeczy, a każda była na swój sposób nieoczekiwana. Po pierwsze, rozległo się pukanie do drzwi. Po drugie, zrozumiał, jak rozwiązać problem postawiony przez brata Marcina. Uśmiechnął się z satysfakcją, czując, że kolejne zagadnienie ma proste i zgrabne rozwiązanie. Silniejsze pukanie przypomniało mu jednak o innej kwestii. Sądząc po tempie stukania, co najmniej równie ważkiej jak rozstrzygnięcie pytania o liczbę liczb pierwszych.

– Tak, proszę - zachęcił wreszcie niespodziewanego gościa sir Robert.

Do izby wszedł Guillaume. W prawej ręce dzierzył lekko ukryty za plecami gąsior, co ostro kłóciło się z powagą wymalowaną na jego twarzy.

– Chciałbym z wami pomówić, panie Robercie - wydusił wreszcie z siebie po chwili milczenia.

– Ależ oczywiście, o czymże to chciałbyś rozmawiać, drogi Guillaume? - odparł sir Robert i choć ton jego głosu był uprzejmy, to na twarzy młodego rycerza rysowało się zakłopotanie. Wzrok zaś młodego Neville'a spoczywał

uparcie na przyniesionym przez Francuza naczyniu.

– Chodzi o to, mój panie... - rozpoczął Guillaume, siadając ciężko w nogach łoża, na którym spoczywał sir Robert - ...iż miałem ten dług, o którym wam już z dawna rzekłem, kiedy pan Rambures prowadził nas jako jeców.

– Pamiętam - odrzekł z zamiarem ucięcia dłuższych wywodów Neville.

– No właśnie. Jak pewnie potraficie zmiarkować, dług ten winien był być pewnemu rycerzowi. Chodziło o grę w kości.

– Tak, Guillaume, pamiętam całą sprawę, jakbyś mi ją ledwie dziś opowiedział. Szło o pięć funtów. Odłóż już wrzeczcie te opowiastki i przejdź do sedna. - W głosie rycerza brzmiało zniechęcenie, nie bardzo bowiem było mu w smak rozważać po raz wtóry prostą, zdawałoby się, kwestię.

– Otóż ten rycerz, wobec którego miałem dług, został dziś stracony - rzekł ciężko Guillaume, w zamyśleniu obserwując szpice własnych ciżm. Po dłuższej chwili milczenia giermek oderwał wrzeczcie wzrok od obuwia i pociągnął długi łyk z dzierżonego w prawicy gąsiora.

– Niezbadane są wyroki boskie - skomentował młody rycerz.

Szybko zdał sobie jednak sprawę z tego, że jego stwierdzeniu daleko było do wnikliwości. Postanowił je więc nieco rozwinąć.

– Wiesz, drogi Guillaume, że nie jest to ani twoją winą, ani nagrodą. Ot, stało się z woli Bożej. Jeśli czujesz jednak, że ciąży na tobie jaka powinność, to może da się coś z tym począć...

– Myślałem początkowo, żeby udać się do Ziemi Świętej. Teraz jednakże uważam, że chyba lepiej będzie, jeśli po prostu zostanę tutaj... jako nowicjusz - wypalił niespodziewanie giermek, stawiając gąsior naprzeciw sir Roberta.

Młodemu Neville'owi zabrakło trochę czasu ochłonięcia po tej wypowiedzi. Jako radę przygotował bowiem znacznie skromniejszą propozycję zadośćuczynienia. Wobec tak mocnych słów uznał, że jego sugestia obdarowania kościoła czy udania się na jakąś skromniejszą pielgrzymkę może obrazić rozmówcę. Chcąc ukryć swoje zmieszanie, pociągnął po prostu solidny łyk z podstawionego naczynia. Silnie zaprawione korzeniami wino od razu uderzyło mu do głowy. Na jego twarzy rychło wykwitł tęgi rumieniec. Dopiero działanie trunku i chwila namysłu pozwoliły rycerzowi wznowić konwersację.

– Droga kanonika nie jest łatwa, zresztą cóż ja prawię? Wszak otaczający nas bracia to duchowni, nie moglibyśmy chyba do nich dołączyć... Guillaume spojrzał na swego kompana i aż zamrugał ze zdziwienia.

– Nie trzeba być duchownym, by przyłączyć się do wspólnoty, każdy może to uczynić, jeśli tylko gotów jest żyć zgodnie z regułą. Wiem, bo nie omieszkałem wypytać o to brata Teodora. Ale jakże to, panie, czyżbyście i wy chcieli przystać do zakonu?

Sir Robert zrobił pełną zakłopotania minę. Osiągnął bowiem dziwny stan ducha, w którym zupełnie nie potrafił

powiedzieć, kim chciałby być.

– Doprawdy, sam nie wiem, drogi Guillaume. Siedzimy tu ledwie parę dni, bo chyba nie więcej niż tydzień? - spytał raczej samego siebie i nim giermek zdołał odpowiedzieć, kontynuował:

– Czuję się tu dobrze, zwłaszcza w towarzystwie brata Marcina. To człek wielce uczony i wnikliwy. Sądzę, że mógłbym się od niego wiele nauczyć. Bo o tym, że spotkam kiedyś jeszcze Marię czy wrócę z ojcem do Pitchfork, to nawet nie śmiem myśleć. Jakże mógłby się powieść plan tak szaleńczy jak ten mojego zacnego kuzyna...

Tu młody rycerz zrobił, w swoim mniemaniu, efektowną pauzę. Liczył na to, że giermek pospieszy z zapewnieniem go o tym, że jest w błędzie, że wszystko się powiedzie. Tamtemu jednak daleko było do entuzjazmu sir Artura. Zwyczajnie siedział, potakując ponuro głową. Sir Robert poczuł, że naprawdę zaczyna dawać wiarę swoim słowom. Oto spędzi tu resztę żywota, znany jedynie garstce ludzi jako brat Robert. W mgnieniu oka przyszły mu na myśl obrazy codziennych mszy i długich rozmów z bratem Marcinem. Niemalże równocześnie sięgnęli po gąsior. Giermek od razu cofnął rękę, ustępując sir Robertowi. Wypili. Dalsza rozmowa przebiegła w podobnym duchu, tak że pod jej koniec obaj gotowi byli choćby jeszcze w środku nocy przystać do kanoników. Po rzewnym pożegnaniu Guillaume opuścił celę sir Roberta, zabierając ze sobą niemal puste naczynie.

W głowie młodego rycerza mocne wino kotłowało się z nawałnicą obrazów i głosów. W jednej chwili stał w szeregu armii królewskiej, to znów dowodził czegoś w trakcie swojej *determinatio magistralis*<sup>[11]</sup>. Potem rozpatrywał zakresy pojęć z bratem Marcinem. Nagle i ten obraz zniknął. Zobaczył ojca i kuzyna walczących z otaczającymi ich bestiami. Ich miecze rozszarpały kolejne dziwne istoty, które stawały na ich drodze, a nie zabrakło wśród nich chyba żadnej, której tylko ilustrację udało się kiedykolwiek młodemu Neville'owi zobaczyć. Ostatecznie sir Artur powalił dwie mantikory i smoka, a wówczas w nadnaturalnej poświacie stanęła przed nim Maria. Sir Robert westchnął przez sen na ten anielski widok.

Nagle promienie otaczające jego wybrankę zgasły, ukazując jej nagość. Sir Artur opuścił swój miecz, a wtedy Maria uśmiechnęła się doń uwodzicielsko i przyłgnęła do jego zbroi swym nagim ciałem. Sir Robert zaczął szamotać się z boku na bok. Wtem nie było już sir Artura, a w jego miejsce pojawił się Huxley, który uśmiechając się lubieżnie, całował Marię. A potem wszystko to ściemniało. Został tylko niewielki krąg światła rzucany przez kościelną świecę. Poza nim wnętrze kościoła skrywały ciemności. Wokół brzmiały śpiewy mnichów. Sir Robert widział niewiele spoza obrębu grubego wełnianego kaptura. W polu jego widzenia pozostawała jednak księga. Otworzył ją i zaczął chłonąć wspaniale narysowane miniatury. Czuł radość, lecz coś wciąż nie dawało mu spokoju. Manuskęła, którą spisano teksty godzin, była dziwna, obca. Przywodziła na myśl Cambridge, w którym kopiści zwracali bardziej uwagę na szybkość pisania ksiąg niż na kaligrafię. Obudził się, oddychając ciężko. Przed oczyma miał cały czas osobliwy brewiarz. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że właśnie taką książkę widział w trakcie wczorajszej

komplety. Potem wróciły i inne senne wspomnienia. Zdziwiło go, że pośród tak wielu silnych wrażeń najmocniej utkwiło mu w pamięci to tak mało istotne, a dotyczące wyglądu modlitewnika.

Poczet pana de Crecy'ego podążał zwawo traktem wiodącym na wschód ku Oudenaarde. Huxley dał jasno do zrozumienia, iż sprawę, którą mają wspólnie do załatwienia, lepiej jest zakończyć szybko, nie szukając już po miastach dalszego rozgłosu. Zarówno de Crecy'emu, jak i Haquelinowi zrzędył miny, gdy z tyłu orszaku dobiegły głosy zbrojnych obwoływających zbliżających się od zachodu jeźdźców. Zatrzymali, a następnie obrócili konie. Między szerokimi połaciami nagich, obsianych marzanną barwierską pól pędziło dwóch jeźdźców. Ich rozwiane w galopie płaszcze łopotały na wietrze. Było coś złowieszczonego w widoku tych dwóch mężczyzn pędzących na tle pochmurnego jesiennego nieba. Zarówno Huxley, jak i Raul mieli złe przeczucia.

– Ledwie dwóch. To pewnikiem nikt od de Brabanta - zauważył, dodając samemu sobie otuchy, de Crecy. Huxley zrównał swojego wierzchowca z koniem towarzysza.

– Nawet jeśli, to chyba żeby jakie wieści przekazać. Niepodobna, by cię pan Brabantu gonił. Nie ma powodu, nawet jeśli ci dwaj byli w

Ypres...

Maria wpatrywała się w sylwetki nadjeżdżających. Ona również poczuła, że to nie przypadkowi wędrowcy pędzą akurat tym samym traktem. Już po chwili przybysze wstrzymali konie, by nie wpaść na stojący na drodze poczet. Raul z Huxleyem ruszyli im na spotkanie.

– Witajcie. Jużeśmy się bali, że nas z traktu zepchniecie, tak wam śpieszno - rzucił polubownie de Crecy, gdy tylko podjechali dostatecznie blisko, by można było podjąć rozmowę.

– Witajcie, panowie! Jakże radzi jesteśmy, że udało nam się was dopędzić.

Po rozpromienionej twarzy Arnaldiego spływały grube krople potu. Luigi również wyglądał na utrudzonego i oddychał głęboko. Konie obu

Włochów parskały głośno, a z pysków ciekła im piana.

– Posłał nas ku wam pan Franciszek Rapondi - dodał wyjaśniająco Lombardczyk, widząc zdziwioną twarz de Crecy'ego. Huxley swoim zwyczajem nie okazał zaskoczenia.

– Jak to? - spytał odruchowo i niezbyt roztropnie brzmiącym głosem dowódca pocztu.

– Zwyczajnie. Nasz dobrodziej pan Rapondi stwierdził, iż gotów jest udzielić szanownym panom kredytu. Ma, naturalnie, parę warunków, ale to są raczej szczegóły. Jeśli i wy panowie nie zmieniliście dotąd zdania...

Lombardczyk powstrzymał usiłującego obrócić się konia. Huxley łypnął na swojego kompana i zobaczył dokładnie

to, czego się spodziewał, a czego nie chciał ujrzeć. Na twarzy Raula ponownie emocje odbiły się jak w wosku. Widać było, z jaką uwagą rozważa propozycję Lombardczyków.

– Nie znamy was. Pierwej powiedzcie, jakie macie poręczenia. - Haquelin ubiegł tym razem swego towarzysza w odpowiedzi.

Alberto podjechał do nich bliżej i wyjął z sakiewki okazały pierścień ze szmaragdem. Huxley wyciągnął rękę. Lombardczyk, obserwując go uważnie, przekazał mu przedmiot. Po chwili oględzin Haquelin zwrócił pierścień Włochowi i dał znak Raulowi, by odjechali na bok.

– Co zamierzasz zrobić? - spytał rzeczowo Huxley.

– A pierścień, to ten sam, który Rapondi miał na palcu, gdy z nim rozmawialiśmy? - chciał wiedzieć Raul.

Huxleya korciło, by skłamać, ale ostatecznie postanowił być szczery. Raul mógł równie dobrze sam to sprawdzić.

– Tak.

– Załatwimy tę sprawę wykupu - stwierdził stanowczo Raul, zagryzając wąsa.

– Ja nie wiem, Raul... może wino ci nie służy? Widziałeś tych dwóch? Czy oni ci wyglądają na kupców? Czy zwróciłeś uwagę na to, jak są uzbrojeni? - Huxley ostatkiem woli utrzymał swoją wypowiedź w ryzach.

– Wielkie rzeczy, w Lombardii to teraz zapewne modne, by obnosić się z bronią. No, chyba nie wątpisz, że przysłała ich Rapondi? - spytał de Crecy. Następnie popatrzył na milczącego Huxleya, a po chwili zmrużył oczy. – Dlaczego właściwie jesteś taki nerwowy? Spodziewasz się jakiego pościgu? Jeśli tak, to może powiedz to teraz, nim bardziej jeszcze narażę skórę. Mówiłeś przecie, że Rambures nie żyje, że nikt nie będzie nas ścigał.

Huxley zrozumiał, że cała masa kłamstw, które sącył de Crecy'emu, właśnie zaczyna przeciw niemu działać. Faktycznie, powiedział mu bowiem, iż nie będzie żadnego pościgu. Nie wierzył w szczęśliwe spotkania na trakcie i w tym po części dopatrywał się powodów swojego długiego żywota. Nie zamierzał wobec tego tak łatwo odpuścić.

– No dobrze. Nawet jeśli są wysłannikami Rapondiego, to jak wyobrażasz sobie wzięcie od nich kredytu? Mamy ze sobą porwaną szlachciankę. Oni ją już zresztą widzieli. Chyba nie pomogą nam jej dowieźć do Vaartbruta, a na to, żebyśmy jechali z nimi po kredyt wcześniej, ja się nie godzę.

Raul wytrzymał stalowe spojrzenie Huxleya.

– Dobrze, już ja to załatwię - odparł pojednawczo i ruszył w stronę oczekujących Lombardczyków.

– Głupiec, po prostu głupiec - skomentował pod nosem Haquelin, obracając konia.

– Kiedyś to wszystko będzie twoje... - stwierdził dumnie Jan Vaartbrut, wciągając pełną piersią zapach warsztatu, na progu którego stał z synem.

Czeladnicy pracowali swoim równym rytmem, czesząc, myjąc i barwiąc. Wszystko to robiło ogromne wrażenie na Janie, lecz jego syn przyglądał się temu jedynie od niechcenia.

– Moje? Myślałem, że to wszystko należy i będzie należało do stryja Jakuba - odburknął chłopak, z trudem powstrzymując ziewnięcie. Dość chłodne oblicze Jana spochmurniało jeszcze bardziej.

– Źleś, synku, myślał. Twój stryj nie dba o ten warsztat, liczy jedynie na zyski. Warsztat jest prawnie nasz.

– Ale zdaje się, że stoi na ziemi stryja. Ma więc prawo do tego warsztatu... - drążył dla zabicia nudy chłopak, równocześnie spoglądając na biorące wodę ze studni pracownice.

– Niezupełnie. Jesteśmy mu co prawda winni jakąś sumę od naszego zysku, ale warsztat jest nasz...

– A szlachectwo jest jego, już to tłumaczyłeś, ojcze - ciągnął bez namysłu Jelle.

– Chyba wezmę pasa.

Ostatnia wypowiedź wytrąciła młodzieńca z błogich rozmyślań o krągłych kształtach służek. Odwrócił zaniepokojoną twarz w stronę ojca, po czym spuścił głowę.

– Wybacz, ojcze.

Jan nie zdążył odpowiedzieć bo podszedł do niego jeden z eswaurderów.

– Mistrzu.

– O co chodzi?

– Przybyli jacyś najemni wojownicy z Francji. Szukają pracy.

– Nie potrze... chociaż. Sam nie wiem, czy potrzebujemy tu zbrojnych.

Jan skupił uwagę na swoim pracowniku, pozwalając tym samym wymknąć się Jellemu.

– Ci tam wyglądają na krzepkich i bitnych. Dwóch młodych, jeden starszy. Chyba jest to dwóch pocztowych i jakiś zubożały rycerz. Można by ich wziąć do ochrony. Chyba że jednak nie jedziemy z towarem aż do Genewy.

Mężczyzna spojrzał wyczekująco na Vaartbruta.

– Jedziemy, jedziemy. Nasze lokalne targi do niczego się ostatnio nie zdają. Trzeba będzie ruszyć aż za granicę, tam od nas kupią i jeszcze podejmą z godnością. Tu i tak wszystko w rękach miejskich gildii. Jak chcą handlować na tych swoich pchlich targach, to ich sprawa. My jedziemy. Pokaż mi tych ochotników.

Eswaurder skinął głową i poprowadził Jana na dziedziniec warsztatu. Stało tam trzech zbrojnych. Rozglądali się bacznie po okolicy.

– Witajcie. Ponoć szukacie, panie, zajęcia? - Vaartbrut przemówił wprost do Clermonta, którego zbroja, mimo znacznego zużycia, przykuwała uwagę już z daleka.

– Owszem - przytaknął rycerz, zaskoczony z lekka podobieństwem rzemieślnika do jego brata. Różnicę między nimi z pewnością najprościej byłoby wyrazić w kilogramach.

– Dobrze. Będziemy za parę dni jechali z towarem do Szwajcarii. W sumie zejdą ze dwa tygodnie z przygotowaniami i samymi dniami targowymi. W tym czasie będę potrzebował eskorty. Później nie trzeba mi

zbrojnych. Ziemię te chroni mój brat, i to nam starcza.

Vaartbrut zrobił krótką przerwę, dając rycerzowi czas do namysłu.

– Bardzo dobrze. Chcemy mieć jeno trochę grosza na godną wyprawę do Burgundii, gdzie leżą nasze włości - odparł spokojnie Clermont.

– Mogę wam zaproponować jedzenie i nocleg przez cały czas podróży. Za każdy dzień na trakcie wy, panie, dostaniecie ode mnie sześć solidów, wasi pocztowi zaś po trzy. Jednak za dni spędzone na targach i teraz w trakcie przygotowań oferuję jedynie strawę i nocleg, jak już rzekłem.

Jan popatrzył na przybyszy, chcąc jeszcze raz oszacować ich wartość, ale upewnił się, że nie uraził ich ofertą. Nawet jeśli by odmówili, znaczyłoby to, że nie byli ludźmi, których potrzebował, jako że nie zamierzał nikomu płacić więcej za ochronę.

– Zgoda - przystał Clermont po chwili udawanego namysłu.

Jeszcze tego samego wieczoru de Crecy kazał rozbić skromne obozowisko w lesie okalającym zamek Vaartbruta. Posłano zwiadowcę, by wybadał wstępnie, kto może znajdować się na zamku. Huxley zawzięcie milczał. Co jakiś czas spoglądał bacznie na Włochów. Ci natomiast sprawiali wrażenie ludzi doskonale się bawiących pośród zbrojnych de Crecy'ego. Ten ostatni sypał żartami i w ogóle humor miał przedni. Nie mógł też wyjść z podziwu nad własną przebiegłością. Oto dorzucił kolejną pieczeń na rożen. Lombardczycy zgodzili się poczekać z wyprawą do kantoru w Brugii aż do czasu odwiezienia panny Rambures na zamek. Pan Raul wyjaśnił im bowiem, zgodnie z prawdą, iż wiozą ją na zamek narzeczonego. Jej skłonnością do ucieczek wytłumaczył zaś pęta. Lombardczykom zdawało się to wcale nie przeszkadzać, co wprawiło Raula w jeszcze lepszy nastrój. Było już całkiem ciemno, gdy wrócił zwiadowca.

– Mów, coś widział! - zerwał się na równe nogi Haquelin, gdy tylko sylwetka zbrojnego wychynęła spomiędzy krzaków.

– Na zamku wisi chorągiew mistrza kuszników - oznajmił mężczyzna niepewnym głosem. Huxley łypnął na de Crecy'ego, którego jakoś nagle opuścił dobry nastrój.

– Jakże to? - wymamrotał, wypluwając kawałek śledzia, którego akurat przeżuwał.

– Pozwól tu na moment, Raul - zaproponował Haquelin, odstępując parę kroków od ognia.

De Crecy zwolnił swoje miejsce, porzucając towarzystwo lombardzkich kupców. Gdy znaleźli się na stronie, Huxley przemówił szeptem.

– Pewnie to synowie Rambures'a. To jednak w niczym nie zmienia naszych planów. Dostaniemy się teraz na zamek,

półki noc. Porozmawiamy z Vaartbrutem. Myślę, że mimo wszystko będzie zainteresowany naszą ofertą, bo z tego, co słyszałem, to nikt poza starym Rambures'em nie był mu w tej rodzinie skłonny panny oddać.

Po tej krótkiej rozmowie Huxley i de Crecy wzięli ze sobą dwóch ludzi i opuścili obozowisko. Reszcie zbrojnych przykazali czujność. Tymczasem Alberto przykuł uwagę większości sergeantów, opowiadając kolejne sprośne żarty, po których obowiązkowo wybuchała salwa śmiechu. Po niedługim czasie mało kto zwracał uwagę na stojące nieopodal konie i na siedzącą dalej od ognia brankę. Do owych nielicznych należał Luigi. W pewnym momencie Włoch zerknął do trzymanego w garści bukłaka oraz zrobił lekko zniechęconą minę, po czym wstał i ruszył do koni. Odprowadziło go parę spojrzeń, ale większość zajęta właśnie była historią o tym, jak to pewien dekarz poszedł do zamtuza, lecz nie miał przy sobie trzosa. Luigi podszedł do swojego siodła i wyjął kolejny bukłaczek z sakiew. Stojący na czatach zbrojny zerknął na niego niechętnie, jednak nie widząc niczego podejrzanego, obrócił się z powrotem w stronę kniei. Lombardczyk zawrócił do ognia, lecz po drodze przykucnął obok panny Marii.

– Wiemy, iż wzięli was tutaj przemocą. Nie bójcie się, może jeszcze tej nocy będziecie mogli pójść w swoją stronę, panno Rambures. Tylko starajcie się nie zasnąć.

Wypowiedziane szeptem słowa zabrzmiały w głowie Marii z mocą bijącego o hełm buzdyganu. Nim jednak zdołała odpowiedzieć, tajemniczy mężczyzna powstał i wrócił do ogniska. Dopiero dużo później udało się Marii opanować łomot serca. Postanowiła pójść za radą nieznanego i nie zasypiać tej nocy.

– Chyba wiem już, jak pokazać, że moja intuicja była słuszna... - stwierdził z ekscytacją sir Robert, podchodząc do brata Marcina.

– Słucham was... - odparł tamten zupełnie niezaskoczony nagłym wtargnięciem rycerza w obręb wirydarza.

– Przypuśćmy, że nie jest prawdą, iż liczb pierwszych jest nieskończenie wiele... zatem prawdą jest, że ich liczba jest skończona. Wymnóżmy teraz pierwszą z nich przez kolejną, a tę przez następną i tak wszystkie po kolei. Otrzymamy teraz pewną liczbę. Liczba ta będzie, oczywiście, podzielna przez każdą liczbę pierwszą, przy czym nie będzie sama liczbą pierwszą. Jednakże dodajmy teraz do tak otrzymanej liczby jedność, a otrzymamy liczbę, w oczywisty sposób nie dzielącą się przez żadną liczbę pierwszą, a co za tym idzie, niepodzielną również przez żadną inną liczbę poza nią samą i jednością. Skoro jednak to jest prawdą, to owa liczba sama jest liczbą pierwszą, zatem otrzymujemy sprzeczność z tezą wyjściową, jako że znaleźliśmy jednak jakąś liczbę pierwszą, której nie uwzględniliśmy w naszym wcześniejszym wyliczeniu, a przecież mieliśmy wziąć pod uwagę wszystkie takie liczby. A skoro sprowadziliśmy tezę *ad absurdum*, przeto wychodzi na to, że prawdą jest jej negacja, czyli prawdą jest, że liczb pierwszych jest liczba nieskończona, *quod erat demonstrandum*<sup>[12]</sup>.



– Jestem pod wrażeniem, panie Robercie. Z większością rozmówców na tym problemie kończyłem dywagacje.

- Brat Marcin pokiwał z uznaniem wielką głową.

– To o czym teraz porozmawiamy? - zapytał rzeczowo sir Robert. Twarz miał napiętą i skoncentrowaną, jakby nie chodziło zaledwie o rozmowę, ale o walkę na śmierć i życie w bożym sądzie.

– Cóż za zapal... - Oczy kanonika zabłyśły.

– Dobrze... ciekaw jestem, jak poradzicie sobie z problemem bardziej dialektycznym. Czy znacie pisma Teofrasta, w szczególności jego autorstwa regułę głoszącą *peiores sectetur conclusio partem*?

– Nie - odparł zwięźle rycerz.

– Tym lepiej...

– Dlaczego skoro tylko czegoś nie wiem, mówicie „tym lepiej”, czyżby ignorancja urosła ostatnimi czasy do rangi cnoty?

– Nie sądzę. O ile wiem, od bardzo dawna jest w cenie. Jednakże nie chodzi mi o to, drogi panie Robercie, by wychwalać waszą niewiedzę. Chcę jedynie sprawdzić, jak rozumujecie. Nie mógłbym zaś tego uczynić, gdybyście znali rozwiązanie problemu, który chcę z wami przedyskutować, nieprawdaż?

– Prawdaż, *in medias res*<sup>[13]</sup>. - Na twarzy rycerza zagościło zniecierpliwienie.

– *In medias res*: rozważmy tryb *Barbara*. Filozof powiada: jeśli przesłanka większa jest z konieczności prawdziwa, a przesłanka mniejsza jest jedynie asertoryczna, to wniosek jest konieczny. Utrzymuje przy tym, że w sytuacji odwrotnej: gdy przesłanka większa jest asertoryczna, a przesłanka mniejsza z konieczności prawdziwa, wówczas wniosek jest zaledwie asertoryczny. Teofrast jednakże ma inny pogląd na tę kwestię. Uważa mianowicie, że w obu wyżej wymienionych przypadkach wniosek wypada jako jedynie asertoryczny.

– Jak rozumiem w oparciu o regułę, którą przed chwilą mi przedstawiliście? - spytał sir Robert, bystro patrząc na rozmówcę.

– Tak, powoływał się na regułę *peiores sectetur conclusio partem*... I co wy na to, młody panie Neville? Przy kim racja?

– Hmm... Rozważmy na przykładzie. Załóżmy, że prawdą konieczną jest, iż ludzie są śmiertelni, a stoi za tym ta racja, że takimi stworzył ich Bóg. Teraz, jeśli dobrze rozumiem, wedle Arytotelesa jest tak: skoro z konieczności wszyscy ludzie są śmiertelni, a asertorycznie sir Robert jest człowiekiem, to z konieczności sir Robert jest śmiertelny. Jednakże: jeśli asertorycznie wszyscy ludzie są śmiertelni, a sir Robert z konieczności jest człowiekiem, to asertorycznie sir Robert jest śmiertelny. A wedle Teofrasta oba rozumowania kończą się tym samym asertorycznym wnioskiem...

Sir Robert przystanął i wbił nieobecne spojrzenie w ziemię. Prawą ręką objął mocno policzek, jakby rozboleł go

zab i zastygł w tej pozie. Tymczasem mnich obserwował go z dziwną fascynacją. Minuty mijały, a na twarzy młodego Anglika rysowało się coraz większe zniechęcenie.

– Drażni mnie już ten problem, nie widzę sposobu, by go rozwikłać, a szczerze mówiąc, nie bardzo pojmuję samą asertoryczność i tę konieczność. Nie wydaje mi się to jasne.

– Bo zaiste jasne to nie jest. Zaczniemy od podpowiedzi: jak Arystoteles rozumiał możliwość?

– Przyznaję, że nie wiem.

– Otóż rozumiał ją na dwa sposoby, pierwszy, zwany *contingens*, zakładał, że to, co możliwe, jest przygodne, w tym sensie, że nie jest ani konieczne, ani niemożliwe. Przy drugim zaś sposobie prawdą jest, iż jeśli coś jest konieczne, jest też możliwe - *possibile*.

Czoło sir Roberta zmarszczyło się jeszcze bardziej.

– A czy jeśli coś jest asertoryczne, to jest też *possibile*?

– Tak. Jeśli coś jest konieczne, to jest też asertoryczne, a jeśli jest asertoryczne, to jest możliwe.

– Hmm... jakoś mętne wydają mi się dalej te rozważania. Bardziej interesujące zdaje mi się pytanie, co z czego wynika i co jest prawdą, niż rozmyślanie nad tym, czy możliwość powinniśmy pojmować raczej tak czy jednak inaczej.

– To zdrowa intuicja. Nie zechcecie zatem odpowiedzieć na moje pytanie dotyczące Arystotelesa i Teofrasta?

– Wolałbym nie. Sądzę, że obaj rozwiązali problem na swój sposób. Teofrast poprzez regułę, o której mi powiedzieliście, natomiast stanowisko Arystotelesa wynika zapewne z tego, które tryby przyjął w tej dziwnej logice możliwości i konieczności za doskonałe. Nie korci mnie jednak, by raz na zawsze rozstrzygnąć problem, który wydaje mi się sztuczny. Bo czy którykolwiek z tych logików odkrył ostatecznie prawdę na temat możliwości lub konieczności?

– Bardzo obiecująco zapowiadają się nasze dyskusje, panie Robercie, a tymczasem muszę iść. A skoro muszę, to zgodnie z zasadami rządzącymi tą dziwną logiką, o której rozprawialiśmy, idę.

To powiedziawszy, odszedł, zostawiając zamyślonego rycerza pośrodku wirydarza. Sir Robert roztrząsał jeszcze przez jakiś czas problem, który jednak zdawał mu się z każdą chwilą coraz bardziej wydumany i nieciekawym. Zaczął wątpić we własny rozum. Gdzieś z tyłu głowy intuicja podpowiadała mu, że ma rację, lecz autorytet Arystotelesa i Teofrasta był przygniatający. Coraz mniej myśląc o problemie, a coraz bardziej o swoim stosunku do dawnych mistrzów, wyszedł poza ogród. Nagle dziwny odgłos wyrwał go z zadumy. Przystanął, rozglądając się jak człowiek dopiero co przebudzony. Stał przy ścianie stajni. Z wnętrza budynku dochodziły wyraźne kobiece jęki i westchnienia. Były to dźwięki tak niespodziewane, że w pierwszej chwili sądził, iż to jedynie jego wyobraźnia płata mu nieprzystojne figle. Jednakże odgłosy nie ustawały, a wręcz były coraz intensywniejsze. Podeszedł do ściany i zszedł przez szparę między deskami. Pośród rozrzuconego siana stała w lekkim rozkroku mlecarka. Rękoma

wspierała się o przegrodę stajennej komórki. Miała przymknięte z rozkoszy oczy, a jej twarz okrywał potężny rumieniec. Za mleczarką stał Guillaume ze spuszczoneymi do kostek spodniami. Zajęty przytrzymywaniem miarowo falujących piersi, nie zwracał najmniejszej uwagi na nic poza rozpiętą na plecach sukienką kobiety. Sir Robert przestał zaglądać. W głowie miał zupełny mętlik. Dawne myśli uciekły lub skłębiły się w sposób uniemożliwiający ich rozplątanie. Przez moment kusiło go, by zajrzeć jeszcze raz, ale powściągnął w porę ciekawość. Przypomniawszy sobie o Marii i miał ochotę natychmiast jechać jej szukać. Zaraz potem pomyślał, że to jednak niezbyt dobrze, skoro przypomniawszy sobie o swej wybrance na skutek tak nikczemnych widoków. Potem, mimo to, zaczął o niej rozmyślać, wspominając jej gładkie i celne słowa. Później wspomniawszy słodycz jej głosu. Usiadł rozmarzony, aż w końcu wrócił znowu pamięcią do nocy, w której do reszty uległ pożądaniu. Nagle uzmysłowił sobie, że jest w klasztorze. Potem przyszła analogiczna refleksja dotycząca Guillaume'a. W tym samym momencie drzwi stajni rozwarły się i stanęła w nich rumiana para. Mleczarka chichotała do giermka, a ten radośnie szczypał ją w pośladki. Przeszli parę kroków, mijając przyklejonego do ściany sir Roberta. Guillaume ucałował swoją kochankę na środku podwórza, a kobieta odeszła drogą w stronę wsi. Giermek spoglądał za nią długo. W tym czasie młody rycerz obmyślał stosowną naganę, która byłaby jednocześnie porażająco wnikliwa niczym *Analityki wtóre* i śmiała jak mowa Sokratesa. Gdy jednak Francuz odwrócił swoją rozpromienioną w uśmiechu twarz, sir Robert zdobył się tylko na krótkie:

– Dziś opuścimy to miejsce. Zmitrężyliśmy tutaj już dość czasu.

Guillaume omal nie podskoczył, nie tyle z powodu ważnej nowiny, ile raczej obecności swojego seniora.

– Jak to, panie?

Giermek odzyskał w końcu odebraną na moment mowę i zerknął nadal zdziwiony na zbierającego się do odejścia sir Roberta.

– No tak... Nie widzi mi się, by było potrzebne dalsze siedzenie i czekanie tu na łaskę Pańską chyba, bo sam już nie wiem, na cóż inszego. Moje rany zostały wyleczone. To miejsce dobre dla zakonników, a nimi, przyznasz chyba, nie jesteśmy.

– No, nie jesteśmy... - przyznał z miejsca Guillaume i podrapał się w zadumie po zmierzwionej czuprynie.

## Rozdział 10

Pan Vindroit był najedzony, lekko pijany i zmęczony. Mimo to postanowił jeszcze raz zerknąć na zbrojnych i pachołków, szykujących powóz i wierzchowce do nadchodzącej podróży. Rycerz zszedł z wolna po kamiennych schodach prowadzących do jego sypialni. Pomyślał, że ciężko przychodzi mu płacić zdrowiem za wieloletnią gorliwość w wykonywaniu obowiązków. Miał jednak świadomość, że to właśnie dzięki tej pieczołowitości cieszył się u swego seniora szacunkiem i zaufaniem. Zajrzał najpierw do stajni, gdzie mężczyźni przy świetle pochodni jeszcze raz sprawdzali, czy konie są podkute oraz czy nie brakuje im wody i siana. Potem podszedł do kilku pachołków, którzy asystowali kołodziejowi w oględzinach wozu szykowanego dla niewiast. Ostatecznie, uspokojony widokiem dobrze przebiegających prac, skierował się na powrót ku swojej komnacie. Idąc, usłyszał nad sobą pohukiwanie szukającej zdobyczy sowy. Uniósł głowę i powiódł wzrokiem za ledwo widocznym szarym cieniem przysłaniającym rozgwieżdżone niebo. Odetchnął głęboko chłodnym powietrzem. Zażęknął za polowaniem, za lasem, za czasem kiedy nie było wojny, i postanowił pójść na krótki spacer po murach. Spoglądał przy tym na gwiazdy i okrągły jaśniejący księżyc. Wtem do jego uszu doszedł odgłos rozmowy prowadzonej wyraźnie bliżej niż te nad dziedzińcu, jakby za zakrętem przysłoniętym murem baszty. Vindroit przystanął i tknięty przecuciem, zaczął nasłuchiwać. Rozmowa prowadzona była po francusku. Rycerz bez trudu rozpoznał głos Jakuba Vaartbruta. Drugi też wydał mu się znajomy. Nie potrafił go jednak zidentyfikować. Przeklął w myślach swój wiek i przysunął się nieco bliżej.

– Mogę wam przyprowadzić pannę choćby jutro z samego rana.

– Co mówicie?! Z rana nie może być, wszak Rambures jeszcze nie odjechał. Wstrzymajcie się, skoro możecie, jeszcze czas jaki. Pannę chętnie odkupię, miejcie jeno nieco cierpliwości - pośpieszny szept Vaartbruta był znacznie cichszy niż głosy jego rozmówców.

– Cierpliwości mi nie braknie, ale są ze mną i inni, którym sprzykrzyła się już tułaczka i chętnie by do domu wrócili. Chcą wziąć swoją dolę i ruszyć do siebie, by przed zimą zdążyć - trzeci głos brzmiał zupełnie obco.

Był najgłośniejszy, jakby jego właściciel nie widział nic zdrożnego w poruszanej kwestii.

– Pewien jestem, że jutro wyjadą. Poczekajcie choćby do wieczora - Vaartbrut przemówił nieco głośniejszym podniecenie.

– Dodam wam jeszcze pięćdziesiąt grzywien - zaproponował po chwili znacznie ciszej.

– Sto - odparł chłodno nieznajomy głos.

– Osiemdziesiąt. Rzeknijcie mi jeno, że nietknięta, a dam osiemdziesiąt. - Ton Flamanda znów stał się nerwowy.

– Dacie sto, a że nietknięta, to ręczyć nie mogę. A zresztą sami już niedługo obaczycie. Co z wami poza

wszystkim? Będziecie z nią jednorożca szukać czy insze macie względem niej zamiary?

Teraz pan Vindroit był już pewien, że trzeci z mężczyzn nie jest ani Flamandem, ani nawet Pikardyjczykiem. Mógł pochodzić z domeny królewskiej albo nawet z samego zachodu kraju. Ta ostatnia myśl była dla starego sługi księcia Burgundii niewielkim zaskoczeniem.

– Dam sto. Zgoda, ale ma być nietknięta. W końcu chcę się z nią obejść po chrześcijańsku i wedle obyczaju - odrzekł Flamand. W jego głosie zabrzmiała duma.

– Chyba sobie kpicie - odparł, ledwie wstrzymując wybuch radości dyskutant.

– Chcecie ją wziąć po chrześcijańsku, to pytajcie o nią brata, a nie nas - skwitował brzmiały znajomo głos.

– Dam sto, czyli razem trzysta. Pokażny majątek - stwierdził z naciskiem Vaartbrut.

– Aha. Jeszcze jedno. Grzywny grzywnami, ale nam się rozchodzi o floreny.

Te słowa najwidoczniej ośmieliły gospodarza do tego stopnia, że zapomniał o wstydzie.

– Co? - huknął pan Jakub tak, że kołodziej i jego czeladnicy aż unieśli głowy na dziedzińcu.

– Miarkujcie się - syknął znajomy głos, a na pana Vindroit spłynęło olśnienie. To był Huxley.

– Suma, przynaję, niemała. Pieniądz ciężki, ale nie wierzę, że go nie macie. W Brugii będzie już chyba więcej Lombardczyków niżli miejscowych. No, ale i zakup świetny. Raz, że panna gładka jak łania, a dwa... - nieznajomy przerwał na moment, lecz zaraz podjął wywód. – A dwa, że właściwie to jednak zbożnie czynicie, z rąk naszych ją wykupując.

Zapadło dłuższe milczenie. Zrobiło się cicho i pan Vindroit mógł przez moment usłyszeć swój świszczący oddech. Potem pojął, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Odskoczył od załomu, do którego przylgnął, by lepiej słyszeć rozmowę. Było jednak za późno. Ktoś wypadł na niego z ogromną prędkością. Weteran wyciągnął odruchowo lewe ramię, a prawym sięgnął po pugińał. Intuicja dobrze podpowiedziała mu, że był zbyt blisko napastnika, by chwycić za dłuższą broń. Niestety, alkohol i ciężka strawa zbyt spowolniły doświadczonego wojownika. Zdążył wyciągnąć zaledwie pół klingi, gdy poczuł przeszywający wnętrzości ból. Ostatkiem sił spróbował odepchnąć od siebie atakującego, ale tamten z łatwością ominął słabnącą rękę rycerza. Pan Vindroit poczuł jeszcze jedno ukłucie. Skupił się już tylko na tym by, wejrzeć w oczy swojemu zabójcy.

– Sam tu...

To, co miało być nawoływaniem pomocy, okazało się jedynie słabym stęknieniem. Jan Haquelin zerknął pośpiesznie na dziedziniec. Kołodziej niestrudzenie obserwował opukujących obręcze kół pachołków. Nic nie zdawało się zakłócać panującego przed starciem spokoju.

– Myślisz, że słyszał? - spytał nerwowym szeptem de Crecy, podchodząc do obserwującego dziedziniec Huxleya.

– Tak.

– O mój Boże, to przecie pan Vindroit - powiedział zdecydowanie głośniejszym głosem Vaartbrut.

– Ciszej - syknął Huxley. Następnie podszedł do Flamanda i potrząsnął nim z lekka.

– Co możemy zrobić z ciałem? Macie gdzie je ukryć do rana?

– Tu nie, tu za dużo ludzi Rambures'a - stwierdził dopiero po chwili dochodzący do siebie Flandryjczyk.

– Zawieźcie go do mojego brata. Ma warsztat na północ stąd. To niedaleko. Przy warsztacie jest cmentarz, jak to u nas często, żeby wełnę lepiej rozwieszać...

– Opamiętajcie się. Mówcie do rzeczy. Gdzie warsztat? Mamy ze sobą dwóch zbrojnych. Czekają pod bramą.

Zawiozą go do warsztatu, jeśli taka wasza wola i rada. Będą tam zaufani ludzie? - Huxley mówił cicho i spokojnie, utrzymując kontakt wzrokowy z Vaartbrutem i ściskając Flandryjczyka, gdy ten odwracał spojrzenie na ciało pana Vindroit.

– Tak, ludzie tam najbardziej zaufani, jakich mam, rodzina. Zrozumieją, nie będą pytać.

– Poślijcie jutro człowieka zachodnim traktem, gdy Rambures już odjedzie i będziemy mogli pannę przywieźć.

Wystawimy czaty i zatrzymamy waszego gońca, gdy będzie w pobliżu naszej kryjówki. Tymczasem dajcie tu jakąś służbę, żebyśmy snadniej świętej pamięci pana Vindroit zwlekli z tych murów.

Po tych słowach fechtmistrz i de Crecy z przyprawiającą o ciarki sprawnością zaczęli przygotowywać ciało do transportu.

Pan Vindroit leżał skulony na niewielkiej dwukółce. Udało mu się dość dobrze udać nieboszczyka, by śpieszący się Huxley i de Crecy wzięli go po ciemku za takowego. Teraz jednak gdy napięcie wywołane starciem ustąpiło, ogromny ból zawładnął na dobre rycerzem i zmusił go do przykurczenia nóg i złapania się za brzuch. Pan Vindroit z najwyższym trudem powstrzymywał się od jęków, nie chcąc zwrócić na siebie uwagi dwóch przydzielonych do jego eskorty zbrojnych ze świty de Crecy'ego. Tymczasem serjeanci prowadzili służący do transportu wełny niewielki wóz, klnąc pod nosem na dodatkową robotę i bacznie obserwując ciemną drogę. Jeden z nich powoził, drugi jechał z boku, prowadząc konia towarzysza. Na szczęście dla starego doradcy pana Rambures'a, obaj byli zbyt pochłonięci własnym niezadowoleniem, by zwracać na niego uwagę. Rycerz zacisnął zęby i zmówił w myślach modlitwę. Ledwie skończył, a jego uszu dobiegło ujadanie kilku psów. Potem usłyszał uciszający je głos, zapewne strażnika. Wóz stanął, rozległy się kroki. Po chwili nowo przybyli stali w kręgu światła rzucanego przez pochodnię.

– Ktoście? - spytał szorstko strażnik, a pan Vindroit jęknął z cicha, gdyż momentalnie rozpoznał głos. Zdziwieni strażnicy obejrzel się na jeńca.

– To pewien jegomość, który wszedł w drogę panu Vaartbrutowi. Trzeba mu sprawić pochówek - odparł po francusku zbrojny.

Pan Vindroit przekręcił się na plecy. Ze zbrojnym siedzącym na wozie rozmawiał ubrany po żołniersku i

trzymający pochodnię Clermont. Tuż obok stali, uważnie obserwując ludzi z eskorty, panowie Artur i Ralf Neville'owie.

– Pomóżcie! - wysapał wreszcie zbierający od dłuższego czasu siły Vindroit.

Clermont przesunął pochodnię nad tylną część dwukółki. Tymczasem siedzący na koniu zbrojny postanowił uciszyć na dobre pana Vindroit. Podjechał do boku wozu, energicznie zsiadł z konia. Przyskoczył do leżącego, a zaraz potem z wrzaskiem chwycił oparzoną twarz i desperackimi klepnięciami usiłował ugasić płonąca czuprynę. Pan Clermont poprawił ciosem z drugiej strony. Tym razem płonąca oliwa pokryła niemal całą twarz oparzonego, wyjącego z bólu mężczyzny. Drugi zbrojny zeskoczył z wozu i odepchnął pana Bertranda od towarzysza. Wprawny ruchem chwycił za broń. Nie zdążył jej jednak wyjąć. Sir Artur chwycił zbrojnego za barki, a następnie przerzucił przez udo. Nim mężczyzna zorientował się, że leży na ziemi, sir Ralf wymierzył mu tęgiego kopniaka w czoło. Głowa zbrojnego podskoczyła nienaturalnie i opadła bezwładnie na ziemistą drogę. Pan Clermont zdążył do tego czasu stłumić wrzaski oparzonego, przebijając go parokrotnie mieczem. Pozostawało już tylko uciszyć podniecone gwałtownymi wydarzeniami psy. Clermont przyskoczył ponownie do burt wozu i zajrzał do środka.

– Panie Vindroit, co się stało? Co z wami?

Stary szlachcic chciał odpowiedzieć, ale nie dał rady przełamać bólu. Po prosu odjął na chwilę ściskającą brzuch rękę. Gruba aksamitna suknia była zboczona krwią.

– Później, Bertrandzie. Na razie trzeba nam go zabrać w bezpieczne miejsce. Nie możemy tak stać pośrodku drogi.

Sir Ralf położył rękę na ramieniu Clermontowi. Po chwili wszyscy trzej zaczęli gorączkowo sprzątać miejsce zajścia. Sir Artur zaciągnął trupy zbrojnych w przydrożne krzaki. Sir Ralf ukrył wóz i puścił wolno oba ciągnące go muły. Potem to samo uczynili z końmi, a następnie, ostrożnie podnosząc pana Vindroit, ponieśli go w stronę warsztatu. Potyczka rozegrała się zaledwie kilkanaście metrów od wejścia, ale na pierwszy rzut oka zdawało się, że nikt nie usłyszał walczących. Na drugi rzut oka nie było czasu. Po prostu wnieśli rannego do swojej izby sypialnej i ułożyli go na legowisku.

Obserwujący ich zza okiennicy Jelle był zbyt poruszony, by cokolwiek przedsięwziąć. Poza tym nie był jeszcze pewny, co właściwie mógłby począć, będąc świadkiem czegoś tak niespotykanego.

Rycerze dali panu Vindroit niewiele wytchnienia, prędko bowiem chcieli się dowiedzieć, co zaszło. Ranny mówił powoli i niewyraźnie. W końcu udało mu się jednak przekazać ważne wieści, za które przyszło mu tyle zapłacić. Jasne było, iż czasu do namysłu jest niewiele. Rycerze już od przyjazdu do warsztatu Jana Vaartbruta planowali dostać się na zamek jego brata jako pracownicy warsztatu. Teraz trzeba było ten plan jedynie nieco przyspieszyć, no i oczywiście wyprowadzić wóz z wozowni możliwie po cichu.

Wóz wtoczył się pomału na dziedziniec. Nie przykuło to uwagi ani przywykłych do tego widoku strażników, ani zajętych doglądaniem ostatnich przygotowań przed wyjazdem gości. Krzątający się na dziedzińcu ludzie mieli napięte i ponure twarze. Kropiła lekka mżawka, dodatkowo potęgując marność i tak już słabych nastrojów. Młody pan Rambures stał w zarzuconym na pancerz płaszczu i kierował załadunkiem. Pani Anna z Julią spozierały przez niewielkie okienka powozu. Ich czerwone od wielu godzin płaczu oczy wpatrzone były w ostatniego mężczyznę z rodu, który starał się jak najlepiej sprostać swoim rycerskim i rodzinnym powinnościom. Koła niewielkiej dwukółki zapadły się lekko w błotnistą nawierzchnię dziedzińca. Clermont spojrzał w napięciu na sir Ralfa.

– Ten na środku to najmłodszy syn pana Davida. Co robimy? - wyszeptał, kładąc ostrożnie dłoń na rękojeści ukrytego pod balami sukna miecza.

Sir Ralf zbadał szybkim zerknięciem dziedziniec, oceniając zebrane na nim siły. Jeden z ludzi Vaartbruta złapał zaprzężonego do dwukółki muła za uprzęż i rzucił coś po flamandzku do Clermonta. Odpowiedział mu ryk pana Moorowa.

– Zdrada! Bij zdrajców!

Za wrzaskiem, który odbił się echem po zamkowym murze, poszło błyskawiczne cięcie dobytego nagle miecza. Końcówka ostrza rozplątała szyję trzymającego zwierzę strażnika. Mężczyzna usiłował przyłożyć ręce do buchającej krwią rany, ale momentalnie zbrakło mu sił i osunął się na kolana. Clermont stanął wyprostowany, również dobywając oręża, i zakrzyknął w stronę zdumionego pana Rambures.

– Kto tu nie z tobą, to zdrajca! Vaartbrut chciał kupczyć twoją siostrą, Alanie, na pohybel zdrajcom!

To powiedziawszy, wskazał wyciągniętą ręką w stronę osłupiałego Vaartbruta, który jeszcze przed chwilą dyskutował o czymś z kapitanem swojej straży. Stagnacja powodowana ogromnym zaskoczeniem nie trwała długo. Przez okienko powozu wychyliła się owinięta czarnym czepcem głowa Julii.

– Panie Bertrandzie! - zakrzyknęła pełnym wzruszenia głosem.

Dopiero po tych słowach opadło ogólne zdziwienie, a dziesiątki dłoni zacisnęły się na rękojeściach broni. Idący w stronę pana Rambures'a strażnik nastawił za przykładem towarzyszy giewię, rozglądając się niepewnie w oczekiwaniu na rozkazy. Nim jednak kapitan Eelke zdołał wydać komendę, ubiegł go w tym pan Alan.

– Na nich! - rzucił młody rycerz, zrywając okrywający naramienniki płaszcz i ciskając go w błoto.

Przyskoczył z dobytym mieczem do stojącego mu na drodze Flandryjczyka. Knecht nie potrzebował już komendy, mimo że jego kapitan wykrzyknął po chwili rozkaz ataku. Po prostu wprawnie pchnął zaciśnięte w dłoniach drzewce, mierząc w odsłoniętą głowę nacierającego nań rycerza. Pan Rambures zbił pewnie, nie zwalniając w natarciu. Strażnik cofnął się i zaatakował ponownie, mierząc cięciem w czoło. Młody rycerz był już jednak zbyt blisko. Drzewce spłynęły po nadstawionym naręczaku zbroi, a potem uwięzły zagarnięte z ręcznic pod pachę pana Rambures'a. Strażnik puścił zakleszczoną broń, dopiero po tym gdy nacierający rycerz przebił mu pierś na wysokości



mostka. Tymczasem wszędzie dookoła rozgorzała walka, w której słabiej wyszkoleni i gorzej uzbrojeni ludzie Vaartbruta zaczęli szybko tracić przewagę wynikającą z liczebności. Clermont i pan Moorow rozplatali przy wozie trzech knechtów, którzy natarli na nich od razu po usłyszeniu rozkazu. Vaartbrutowi starczyło zaledwie parę chwil, żeby pojąć, jak niepomyślny obrót przybiera starcie. Nie tracąc więc czasu, skoczył ku schodom prowadzącym na mury i zaczął krzyczeć do znajdujących się wyżej kuszników. Tymczasem Eelke pochwycił oparty nieopodal berdysz i ruszył w stronę walczących. W przeciwieństwie do swoich przywykłych jedynie do obijania pasterzy ludzi, kapitan znał się na rzemiośle wojennym. Pierwszy ze zbrojnych Rambures'a, który stanął na drodze Flamandowi, padł przecięty od szyi po żebra zaledwie po kilku wymienionych ciosach. Kolejny, działając bardziej defensywnie, zyskał jedynie trochę czasu, by ostatecznie spłynąć po murze zamkowym, do którego przyszpilił go potężnym pchnięciem dowódca straży zamkowej. Zaraz potem rozległy się głuche stukoty prostowanych ramion kusz i parę bełtów z sykiem spadło na dziedziniec, posyłając w błoto kolejnych dwóch ludzi Rambures'a. Widząc to, strażnicy opamiętali się i stanęli w szyku, szachując długimi drzewcami nacierających zbrojnych. Ludzie pana Alana byli doświadczeni, ale nie okrywały ich zbyt ciężkie pancerze, a szybką szarżę, wskazaną przy starciu z przeciwnikiem mającym przewagę dystansu, utrudniało pokrywające dziedziniec błocko.

– Do baszty! - krzyknął sir Ralf, wskazując sztychem miecza rozwarte odrzwia prowadzące do najbliższych fortyfikacji.

Doświadczony wojownik momentalnie zrozumiał, że wobec zorganizowania zamkowej załogi walka na dziedzińcu przedłuży się znacznie. To w połączeniu z obecnością na murach kuszników czyniło sytuację bardzo niekorzystną dla zbrojnych Rambures'a.

– Do baszty! - zawtórował mu pan Alan, w lot pojmując zamysł Neville'a.

Zbrojni zaczęli się wycofywać w stronę drzwi. Tymczasem Clermont ruszył biegiem do powozu, w którym siedziały niewiasty. Jeden z bełtów ze stukotem utkwiał w drzwiczkach zaledwie o łokieć od głowy rycerza. Pani Anna wypchnęła osłupiałą i zapłakaną ze wzruszenia córkę prosto w objęcia pana Bertranda. Sama też zaraz wyszła z powozu i podwinąwszy suknię, puściła się biegiem ku baszcie. Clermont z najwyższym trudem powstrzymał się od przyciśnięcia do piersi ukochanej i po prostu pociągnął ją ze sobą.

Rambures ustawił swoich ludzi w linię w taki sposób, by osłaniali drogę do drzwi. Kapitan straży przyskoczył zwinnie do najbardziej wysuniętego od baszty zbrojnego Rambures'a i odrzucił go w tył serią potężnych cięć. Kolejny z serjeantów, widząc możliwość okrążenia, obrócił się lekko w stronę Eelkego, próbując sięgnąć go mieczem. Zauważył to jeden ze strażników i pchnął chwilowo odsłoniętego mężczyznę spisną w bok. Szyk został na moment złamany, a Eelke spróbował to natychmiast wykorzystać, wskakując na tyły ludzi Rambures'a. Odepchnął jeszcze dalej walczącego z nim zbrojnego i już zbierał się do wypadu w bok, kiedy wpadł na niego rozpędzony Clermont. Francuz puścił dłoń ukochanej tuż przed atakiem i całym ciężarem ciała naparł na

zdezorientowanego Flamanda. Ten zarył jak długi w błoto, Clermont doskoczył do niego i przystawił mu sztych do gardła.

– Cofnij swoich ludzi - wycedził zdyszczanym głosem.

Kapitan nie zastanawiał się zbyt długo. Gdy tylko wypluł dostatecznie dużo błota, by móc przemówić, wykrzyknął stosowną komendę. Jego ludzie przystanęli i cofnęli się z lekka. Widząc to, Vaartbrut zaczął wykrzykiwać rozkaz do natarcia. Eelke odpowiedział, nakazując odwrót. Skołowani strażnicy stanęli, mierząc żelźcami w ludzi Rambures'a, ale trzymając się na dystans. Scenę, która zamieniała się pomału w farsę, przerwał wreszcie sir Ralf.

– Załatwmy to w pojedynczej walce!

Nastąpiła chwila ciszy, po której rozległ się głos Vaartbruta.

– Nie mogę walczyć, mam złamane żebra, niech walczy Eelke!

– Zatem przyjmujecie? - odparł szorstko Neville.

– Jak to? To ten wieprz ma nie walczyć?! Mowy nie ma! Jeśli więzi moją siostrę, to utnę mu łeb! - wykrzyknął z boku gromkim głosem pan Alan.

– Spokojnie... na wszystko przyjdzie czas - sir Ralf spojrzał poważnie na młodego rycerza, a ten opanował się nieco.

– Przyjmuję! Niech Eelke walczy z którymś z was! - odkrzyknął po jakimś czasie Jakub.

Clermont odstąpił od leżącego przed nim Flamanda. Zbrojni i strażnicy rozeszli się, tworząc dwie, ustawione w odległości kilkunastu metrów od siebie linie.

– Chyba nie ulega wątpliwości, iż to ja będę walczył? - spytał hardo Alan.

– Wolalbym, żebym był to ja, ale masz przecie w tej rozprawie pierwszeństwo - odparł Clermont, spuszcżając niechętnie wzrok z powstającego z błota kapitana straży.

Rambures stanął plecami do swoich ludzi parę metrów od Eelkego, który powstał i ocierając z twarzy resztki błota, dobył miecza. Sir Ralf zerknął z niepokojem na stojącego nieopodal Clermonta. Pan Bertrand pokiwał spokojnie głową na znak, że młody rycerz powinien sobie dać radę. Twarz pani Anny, która stała już w odrzwiach baszty, była ściągnięta lękiem. Jednakże pani Rambures wiedziała, że nie wypada jej nawet prosić syna o odstąpienie przywileju komuś innemu. Czekwała więc z napięciem na wynik walki, podobnie jak przez wiele wcześniejszych lat swojego życia. Panna Julia stanęła obok Clermonta i dyskretnie włożyła mu dłoń między palce. Ujął jej prawicę mocnym, dodającym otuchy uściskiem.

Walczący obeszl się raz, mierząc spojrzeniami i próbując dostrzec ewentualne błędy w postawie. Niewiele jednak było pod tym względem do ujżenia. Pierwszy napięcia nie wytrzymał mniej mimo rycerskiego stanu doświadczony Rambures. Z długiego wypadu wykonał pchnięcie, celując w szyję przeciwnika. Kapitan straży zbił cios i sam uderzył

szybkim cięciem z góry, licząc na to, że rycerz nie zdoła wrócić do pozycji po ataku. Francuz jednak błyskawicznie odzyskał postawę i spróbował kolejnego natarcia, po piwocie na lewy bok Eelkego. Stał szczęknęła parokrotnie. Walczący rozeszli się, po czym znów przyskoczyli do siebie, szukając błędu w gąszczu wyprowadzanych i przyjmowanych ciosów. Obaj dobrze trzymali menzurę, choć pan Alan kilka razy pokusił się o ryzykowniejsze zagranie. Kilka razy znalazł się też w niebezpiecznej sytuacji, a od ran dwa razy uchroniła go zbroja. Doświadczenie Eelkego zaczęło po pewnym czasie ustępować sprężystości i sile młodego rycerza i kapitan straży zaczął przyjmować coraz bardziej defensywną taktykę.

– Będzie dobrze, najdroższa, nie martw się. Jeśli twój brat nie uczyni głupstwa, to kapitan zaraz opadnie z sił i walka się skończy - wyszeptał pan Bertand, nachylając się do panny Julii.

Jakby za sprawą złego uroku dokładnie gdy Clermont skończył wypowiedź, pan Rambures stracił cierpliwość. Przyskoczył do kapitana, drastycznie skracając menzurę, i trzymanym oburącz mieczem wymierzył mu potężny cios w głowę. Uderzenie o tej sile ścięłoby zapewne pokaźną gałąź. Z pewnością też rozplątałoby kapitana straży, gdyby ten podobnie jak drzewo zechciał pozostać nieruchomy. Eelke jednakże zrobił lekkie obejście i pozwolił Rambures'owi przechylić się za własnym niecelnym ciosem, a następnie grzmotnął oburącz o naramiennik przeciwnika, ledwie chybiając szyi. Blachy zgrzytnęły i pękły, a rycerz odskoczył w bok, próbując przyjąć na powrót prawidłową postawę. Teraz to kapitan, czując zew krwi, rzucił się za rannym przeciwnikiem, zapominając o prawidłach sztuki. Młody rycerz odzyskał rozeznanie w sytuacji znacznie szybciej, niż spodziewał się tego Eelke. W efekcie po kolejnym niechlujnym cięciu kapitana, który za wszelką cenę chciał już zakończyć pojedynek, pan Rambures odpowiedział krótkim eleganckim pchnięciem. Flamand wypuścił miecz i odskoczył, trzymając okaleczoną twarz. Zawył przy tym rozpaczliwie, co sprawiło, że strażnicy odruchowo postąpili nieco w tył, tracąc resztki pewności siebie. Rambures nie miał zamiaru pozostawiać nikomu czasu do namysłu. Przyskoczył do kręcącego się po omacku kapitana i rozłupał mu głowę oburęcznym cięciem. Zapadła cisza, w której rozległ się jedynie przyciszony syk panny Julii.

– Nie bój się, najdroższa, twój brat zwyciężył - pośpieszył z uspokajającym, choć raczej zbyt wymuszonym, zapewnieniem Clermont.

– To widzę, panie, lecz zgniatacie mi dłoń! - odparła niewiasta, uwalniając wreszcie ścisiskaną nadmiernie rękę.

Sir Ralf wbijał spojrzenie w Vaartbruta, a Flamand gotów był przysiąc, że widzi w oczach Anglika iskry. Niewielką komnatę zdążyła już wypełnić woń potu przerażonego gospodarza. Pan Jakub ocierał drżącą dłonią przyszczate czoło i starał się mimo roztrzęsienia skupić na zadawanych mu nader stanowczym tonem pytaniach.

– Powtarzam wam, panowie, że nie wiadomo mi, gdzie ma swą siedzibę człowiek, który pojmał pannę Marię.

– Łże jak pies! - wrzasnął pan Rambures i rzucił się wzdłuż stołu w stronę sparaliżowanego strachem Flamanda.

Clermont zastąpił mu drogę i powstrzymał go silnym uściskiem.

– Spokojnie, Alanie, nie czas teraz na zemstę, pierwej musimy odzyskać twą siostrę. Nie powie nic, jeśli pozbawisz go przytomności - powiedział spokojnie pan Bertrand, ale w tonie jego głosu słychać było, że i on nie poskapiłby razów przesłuchiwanemu.

Sir Ralf nie zwrócił nawet uwagi na szamotaninę dwóch rycerzy. Po prostu dalej wytrwale świdrował Vaartbruta wzrokiem, a tamten zdawałoby się topniał od tego jak prosię na ruszcie.

– Gdzie mamy ich szukać?– wycedził ponownie pytanie pan Moorow. - Coś na pewno pamiętacie...

– Powiedział, że są tu niedaleko, w lesie, że nie chcieli przyjść, bo widzieli proporzec Rambures'a na murach. Bali się jego obecności.

– I słusznie! A co do ciebie Vaartbrucie, to szejniesz w mękach, gdy tylko twój tłusty zad przekroczy kiedykolwiek granicę królestwa! Dałeś zakłuc pana Vindroit, powinienem cię przy siodle za sobą ciągnąć, aż sama noga by przy koniu została! - Rambures ciskał się i wrzeszczał, a jego ślina padała na Flamanda, mimo że ten siedział o dobre półtora metra dalej.

Pan Bertrand nie zwolnił jednak uścisku i nie puścił szamoczącego się towarzysza. Mimo to Vaartbrut zbladł jeszcze bardziej i zwrócił się do sir Ralfa, mylnie biorąc jego spokój za oznakę spolegliwości.

– Panie! Nie dajcie mnie tak znieważać w mojej siedzibie. Wszak uznaję moją winę, skoro przegrałem sąd boży, a teraz chcę wam pomóc, ile mogę, próbując naprawić zło, które było moim udziałem.

– Ty nędzna gnido... Ocaliłeś sadło kosztem swojego sługi. Pan Alan jest w prawie, by z tobą zrobić, cokolwiek mu się spodoba. To, że ma cię ochotę wysłuchać, bo nie chce porządku tej ziemi gwałcić mordem na pasowanym tu szlachcicu, stanowi dowód jego wspaniałomyślności. Jeśli jednak myślisz, żeś w jakim prawie, to się mylisz. - Sir Ralf wycedził ostatnie słowa nachylając się nad Vaartbrutem.

– Gdzie w lesie jest ich obóz? W którą stronę iść? Powiedz to, a ocalisz jak na razie skórę - zakończył rycerz.

– Chyba na zachód stąd. Zresztą... - pan Jakub rozejrzał się, otarł jeszcze raz na nowo sperlone potem czoło.

– Zresztą i tak pewnie ruszyli do zakładu mego brata Jana. Tam mieli zawieźć rannego Vindroit. Tam też mogą szukać schronienia i pomocy, tak im rzekłem.

Po tych słowach sir Ralf zbladł. Odruchowo zaczął macać przy pasie w poszukiwaniu puginału. Widząc to, Vaartbrut jęknął.

– Co, panie, czynicie? Puśćcie mnie, wszakże się naradziliśmy i wszystko, co chcieliście, po dobroci wyznałem.

Ręka Anglika zacisnęła się na rękojęści, lecz pan Moorow nie zdążył dobyć broni. Ktoś złapał go za przedramię. Sir Ralf uniósł wzrok i napotkał spojrzenie Clermonta. Rycerz tylko pokręcił głową.

– Lepiej śpieszmy tam bezzwłocznie. To ścierwo i tak już ma tylu wrogów, że jak tylko wystawi łeb za mury, to go

ktoś ubije.

Młody pan Rambures już nie słyszał tych słów, z którymi zapewne by się zgodził. Wybiegł bowiem na dziedziniec, by wydać rozkaz do wymarszu. W czasie krótkiej narady przed przesłuchaniem usłyszał bowiem od sir Ralfa, po szybkim przedstawieniu, historię pana Vindroit i barona, który został przy rannym, by go pilnować.

Pracownia pachniała barwnikami i mokrą wełną. Mrok poranka bardzo ospale ustępował świtaniu, a nocny chłód i wilgoć wisiały jeszcze w powietrzu. Baron pomyślał, że to nie był dobry czas na umieranie, nie dla rycerza. Wiedział jednak, że wyroki boskie są nieodgadnione. Puścił więc zupełnie już ostygłą dłoń pana Vindroit i wyjął swój bursztynowy różaniec. Malutka izba, w której skonał sędziwy doradca pana Rambures'a, cicha i ponura, sprzyjała modłom. Jej grube ściany tłumiły odgłosy dobiegające z zewnątrz. Pogrążony w zadumie pan Pitchfork nie słyszał ujadania psów, które przerwało poranną ciszę. Nie dostrzegł rozpraszających poranny półmrok pochodni na ganku. Medytację przerwał mu dopiero łomot rozwieranych z mocą drzwi izdebki. Pierwszy z serjeantów de Crecy'ego stanął osłupiały, widząc klęczącego na środku pomieszczenia rycerza.

– Kim jesteś? Gdzie Claude i Paul? - spytał, patrząc na blade zwłoki pana Vindroit.

– Nie wiem, o kim mówicie ani czego chcę - odrzekł baron, powstając z wolna i z właściwą sobie powagą kaleczącą francuszczyznę.

Mężczyzna wykrzywił twarz w grymasie niezrozumienia, a stojący za nim zbrojny przepchnął go. Zerknął bystro na barona i dobywając krótkiego tasaka, spytał zdecydowanie mniej uprzejmym tonem:

– Jesteś Anglikiem?

– Tak - odpowiedział spokojnie pan Pitchfork.

Na widok obnażonej broni coś drgnęło w jego spokojnej twarzy. Zniknęła z niej pobożna pokora.

– Snadnie poszło. Pójdiesz zatem z nami - uśmiechnął się zbrojny i ruszył z wyciągniętą bronią, celując w pierś rycerza zaokrąglonym sztychem.

Ku zaskoczeniu Francuza baron odwzajemnił uśmiech, a oczy aż zabłysły mu z radości. W połączeniu z długą szramą na policzku nadało to szerokiej twarzy barona przerażający wygląd. Zbrojny stracił werwę i zwolnił kroku, nie rozumiejąc dziwnego zachowania zamorskiego rycerza. Wyjaśnienie przyszło szybciej, niżby sobie tego życzył. Baron szybkim krótkim ruchem zbił otwartą dłonią szerokie ostrze i natarł zdecydowanie na w dalszym ciągu zdziwionego serjeanta. Prawicą chwycił za przegub ręki, w której zbrojny trzymał broń, drugą dłoń zaciskając na jego gardle. Serjeant szarpnął energicznie całym ciałem, ale nie zdołał się oswobodzić. Baron posłużył się pochwyconym jak taranem. Po chwili stał już w pomieszczeniu głównego warsztatu, a dwóch serjeantów, którzy akurat stali w przejściu, łapało równowagę przy ścianach. Sir Artur okręcił trzymanego żołnierza jak kuglarz

pacynkę. Rozległ się trzask wyłamywanej ze stawu ręki. Baron szybko rozejrzał się, ocenił sytuację i błyskawicznie wrócił do małej izby, w której spoczywał Vindroit. W ręce trzymał już tasak, a wrzaski okaleczonego zbrojnego zlały się z okrzykami pozostałych, których w warsztacie był blisko tuzin. Pierwszy z mężczyzn, który w przypływie waleczności ruszył w stronę wąskiego przejścia, nie oddał pola do końca, który nadszedł zresztą bardzo szybko. Po krótkiej wymianie baron rozciął udo nieuważnego przeciwnika, a potem przyskoczył do rannego i gwałtownym wyrzutem obciążonej na sztych broni rozplątał nieosłoniętą hełmem czaszkę. Następni byli już ostrożniejsi. Spróbowali związać pojedyncze ostrze sir Artura, jednak bezskutecznie. Baron zręcznie odsuwał broń i nie pozwolił jej uwięzić między licznymi klingami. Żaden ze zbrojnych nie zdobył się na stanowcze natarcie w wąskim przejściu, czując pod stopami krew towarzysza.

– Poddaj się! - próbowali swoich zdolności negocjatorskich niektórzy.

– Nie masz szans! - usiłowali zniszczyć morale barona inni.

Jednak pan Pitchfork, nie bardzo rozumiejąc francuski jazgot kilkunastu głosów albo aż nadto dobrze pojmując, że jak najbardziej ma szansę bronić się skutecznie jeszcze długo, ignorował te okrzyki. Po prostu stał w postawie, twardo w jednym miejscu, uderzając tylko wówczas, gdy ktoś próbował podejść bliżej progu. Sytuacja mimo wszystko zaczynała być taktycznie zenująca, co nie uszło uwagi Huxleya przyglądającego się starciu od jakiegoś czasu. Podeszedł do przejścia między sienią warsztatu a izbą sypialną, tak aby baron mógł go dojrzeć.

– Dość tego! Cofnijcie się! - zakomenderował wreszcie fechtmistrz zza pleców tłumu skłębionych pod drzwiami zbrojnych.

– Panie baronie, daliście dowód męstwa, nie dawajcie proszę również i naiwności - Huxley wysunął się w pole widzenia osaczonego szlachcica.

Jego głos był i tym razem spokojny, nie dobył broni i sprawiał raczej wrażenie kogoś, kto ma zamiar zaprosić barona na partię szachów.

– Odłóżcie broń. Wasza śmierć w takich okolicznościach ani nie doda wam chwały, ani nie przysporzy nikomu pożytku. Odłóżcie broń po dobroci i dajcie się pojmać na zasadach rycerskich.

– A cóż ty wiesz o takowych? - odparł pogardliwie baron, również po angielsku.

– Jestem szlachcicem z rodu Haquelin. Oto mój pierścień rodowy - to mówiąc, fechtmistrz zdjął grubą skórzaną rękawicę z długim mankietem i pokazał dłoń, na której błysnął zielony kamień.

Baron wychylił nieco głowę, jakby chciał j spojrzeć na pierścień, cały czas zachował jednak nieufność.

– Drogi baronie, przecież mogłem was zabić dawno temu, gdybym nie uznał tego za wielce niestosowne. Jeśli nie znacie mego rodu, to zawołam pana de Crecy, który czeka ze swymi pozostałymi ludźmi na podwórzu. Jeśli jednak wolicie, to pójdę po kusznika, który mimo zadry, jaką uczyni to w moim sercu, przestrzeli was na wylot, jak nie przymierzając, odyńca.

Baron wazył długo słowa Huxleya. Jeden ze zbrojnych doszedł widocznie do wniosku, że to dobry moment, by spróbować wejść do izby, lecz fechtmistrz złapał go za ramię i popchnął pod ścianę. Potem zwrócił na powrót spokojne oblicze na pana Pitchforka.

– De Crecy, powiadacie. Słyszałem. Niechaj przyjdzie, jemu zdam oręż - odrzekł wreszcie sir Artur, spoglądając chmurnie na rozciągniętego przy ścianie pana Vindroit.

Gdy pana Pitchforka wyprowadzono rozbrojonego przed zabudowania warsztatu, czekało tam już na niego spore zgromadzenie. Począwszy od ludzi z poczty de Crecy'ego, poprzez zaspanych i przestraszonych pracowników, a kończąc na rozszczekanych wszędobylskich psach. Maria patrzyła na sir Artura z ulgą, gdyż słysząc odgłosy walki, sądziła, że ktokolwiek ją toczył, nie żyje. Dwaj Włosi przyglądali się rycerzowi z zaciekawieniem. Jan Vaartbrut stał w milczeniu, trzymając w garści dopiero co zgaszoną lampkę. Drugą dłoń położył na ramieniu przejętego syna.

– Ojczy? Dokąd go zabierają? - zapytał nieśmiało chłopak.

– Nie teraz, Jelle - odparł rzemieślnik, starając się zachować obojętność wobec krzątających się po jego warsztacie zbrojnych.

Barona wsadzono na jednego z koni, które właśnie straciły poprzedniego właściciela. Dwóch tkaczy z folusznikami zaczęło wynosić na ganek okrwawione ciała. Włosi wodzili za nimi oczyma, ale ich twarze nie zdradziły uznania, które czuli, widząc dzieło pana Pitchforka. Ktoś w końcu zaczął uciszać psy. Huxley stanął przed Janem Vaartbrutem i wbił w niego uważne spojrzenie.

– Tyś jest bratem Jakuba Vaartbruta?

– Tak - odrzekł tamten nieufnie.

– Wszystko, co tu widzisz, wiąże się z twoim bratem. Dlatego będzie lepiej, jeśli wszyscy tu obecni zachowają to, co widzieli, dla siebie. Flamand pokiwał z wolną głową na znak zrozumienia.

– Czy jest coś, co mógłbyś nam powiedzieć? Czy ten tam był sam? - fechtmistrz wskazał na słabo zarysowaną w bladym świetle poranka postać barona.

– Nie. Miał dwóch towarzyszy, ale skoro nie ma ich tutaj, to musieli stąd ujść, nim przyjechaliście. Jelle ścisnął mocno ojcowską dłoń. Zarówno Jan, jak i czujny Huxley zwrócili uwagę na chłopaka.

– Widziałem, jak stąd wyjechali. Dwóch ludzi, wzięli nasz wóz i ruszyli w stronę zamku, a tych, co przywieźli rannego, zabili... Haquelin zaklął, po czym zwrócił się do de Crecy'ego.

– Ruszajmy w drogę, młody Rambures może już wszystko wiedzieć. De Crecy skrzywił się i odciągnął towarzysza na stronę.

– No i co z tego? Ruszajmy za nimi na zamek. Sądzę, iż Vaartbrut już się z nimi rozprawił.

Fechtistrz poczęstował kompana jednym z wielu chłodnych spojrzeń, których mu ostatnimi czasy nie szczędził.

Dopiero potem przemówił.

– Szczerze wątpię. Pewniejsze, że to oni i Rambures rozprawili się z nim, a w takim razie nic tu po nas - Huxley rzucił ukradkowe niespokojne spojrzenie na dosiadających koni zbrojnych.

– Jak to? A co z panną, co z okupem? Chcesz powiedzieć, że mamy stąd uciec? - de Crecy podniósł głos, a jego oblicze lekko zaczerwieniło się.

– Tak, właśnie to zrobimy. Weźmiemy pannę i pojedziemy do domu. Dodaj do tego jeszcze wykup za tego tam barona. U siebie będziesz bezpieczny, tam będziesz mógł negocjować, to jest ja będę mógł negocjować, bo przecie nie jest nikomu wiadomo, że w czymkolwiek bierzesz udział.

De Crecy z miejsca chciał ripostować, a sądząc po zdenerwowaniu, uczyniłby to nie mniej donośnym głosem jak poprzednio, lecz ostatnia uwaga Huxleya wyraźnie dała mu do myślenia.

Kręcił jednak dalej głową z niezadowoleniem.

– Przestaje mi się to podobać. Przyjechałem tu ze zmęczonymi ludźmi. Kilku z nich ubił mi tutaj ten twój, psia jego mać, baron, za którego mam nadzieję wziąć tyle, ile powiadasz, że jest wart, a teraz okazuje się, że nazad mam wracać do domu, panny nie sprzedawszy.

– Za barona razem z panną weźmiesz dużo, a tutaj nie radziłbym ci prowadzić negocjacji. Raz, że wyda się, iż za tym stoisz, dwa, nie jesteś u siebie, ale we Flandrii. Nasz jedyny sprzymierzeniec już zapewne wyjaśnia młodemu Rambures'owi, co się stało z jego siostrą.

Zapadła cisza, którą przerywało jedynie nerwowe prychnanie koni, zdenerwowanych zapachem krwi.

– Zatem ruszajmy ku Francji - zdecydował ponuro de Crecy.



## Rozdział 11

*Je les ai en telle abomination que j'aime ceux qui les haïssent et hais ceux qui les aiment* <sup>[14]</sup>

Jean de Montreuil o Anglikach

Przed Janem Vaartbrutem stały jeszcze niesprząnięte cynowe naczynia po dopiero co zakończonej wieczerzy. Mistrz przechylił jeszcze po raz ostatni okazały kufel i dopił piwo. Pomalu odsunął krzesło, chcąc wstać, lecz siedzący naprzeciwko syn go zatrzymał.

– Wiesz, ojcze, pomyślałem, że będę się bardziej przykładał. Pragnę się nauczyć tkania lub przędzenia, wszystko jedno, chciałbym ci jakoś pomóc - chłopak mówił cicho, spoglądając przy tym w dno własnego opróżnionego kufła.

– Dobrze, synu, dobrze. Nauczę cię tego, co sam umiem. Kto wie, może damy radę cię wysłać na naukę do Gandawy, może tam cię przyjmą do cechu? - odparł ze spokojem rzemieślnik.

– Sądziłem, że nie lubią tam ludzi spoza miasta. Poza tym chciałbym uczyć się od ciebie.

– Rozumiem, iż nie chcesz już być żołnierzem. Nie marzy ci się bycie kapitanem? - spytał raczej cierpko Jan.

– Nie - odrzekł bez namysłu chłopak.

Stary Vaartbrut wiedział, o czym pomyślał jego syn. Jego samego przechodziły ciarki na myśl o rozplątanych ludziach, których jeszcze rankiem wyniesiono z jego warsztatu.

– To i dobrze. Czas panów, szlachty i ich próżnego przelewania krwi dobiega końca. U nas we Flandrii nastaje czas mieszczan i kupców. Dobrze, że i ty wolisz patrzeć w przyszłość, niż gonić marzenia z dawnych czasów, z czasów hrabiów.

Chłopak przytaknął powoli i spojrzał na dogasającą świecę.

– Ciekawe, co u stryja - zagaił tknięty nową myślą.

Jan spojrzał na syna i dość długo milczał. Potem odrzekł wolno, ale stanowczo.

– Nie, synu, to nie jest ciekawe. To nie nasze sprawy i nie nasz świat. Ciekawe jest natomiast, czy jutro przywiozą nam zgodnie z umową barwniki. Jesteś już dość dużym chłopcem, ale jeśli chcesz, to mogę ci ponownie opowiedzieć bajkę o lisie Reinearde...

Było już późne popołudnie, gdy pan de Crecy zatrzymał swój poczet i zarządził postój na sporej polanie usytuowanej w pobliżu drogi, którą przyjechali. Ludzie niechętnie zsiadali z koni mimo zmęczenia podróżą. Wielu zbrojnych rozglądało się z niepokojem wokół, wiedząc, że ze wschodu, z oddalonego zaledwie o kilkaset metrów traktu, może nadejść pościg. Oslaniający tyły zwiadowcy nie zauważyli wprawdzie żadnych oznak pogoni, ale mimo to ludzie de Crecy'ego nie czuli się bezpiecznie. Każdy wziął ze sobą uciążliwą przy popasie broń. Włosi wypadali na tym tle nad wyraz spokojnie. Nie oglądali się nerwowo za siebie, podając koniom furaz. Nie sięgali do rękojeści, gdy tylko któryś z wierzchowców głośniejszym żarzał. Ich skupiony wzrok padał na Huxleya. Fechtmistrz dla odmiany zdawał się tracić z wolna swój naturalny spokój. Co rusz zerkał na jeńców, jakby chciał się upewnić, że jeszcze nie uciekli. Co chwila też w związku z tym natrafiał na uporczywe spojrzenie barona Pitchforka. Anglik pomógł zejść z konia pannie Rambures, a potem do reszty oddał się wyzywającemu spoglądaniu na Haquelina.

– Słuchaj no, Raul, może jednak dobrze byłoby jechać dalej, ile sił koniom starczy? - fechtmistrz zagaił rozmowę, od niechcenia luzując popręg. De Crecy zerknął na niego niedbale.

– Nie. Nie widzę takiej potrzeby. Nawet jeśli kto za nami jedzie, w co szczerze wątpię, to poradzimy sobie, jakby przyszło co do czego.

– Myślałem, że mówię do doświadczonego żołnierza, ale widzę, że przemawiam do kogoś, kogo jedynie szczęście wybawiło od masakry pod Azincourt - ostatnie słowa fechtmistrza zrobiły wrażenie na de Crecym.

Odstąpił od wierzchowca i spojrzał nieprzyjaźnie na kompana.

– Za kogo ty się masz, banito, żeby mnie oceniać? Na tamtym polu zginęło wielu świetnych wojowników, nic tobie do moich decyzji.

– Miarkuj się... - w głosie Huxleya pobrzmiała wyraźna groźba.

De Crecy odstąpił o krok. Jego zdziwienie szybko ustąpiło hardości.

– A dlaczegoż to, mój zacny towarzyszu, mam się miarkować? Może nie jesteś banitą?

– Szlachectwa mi nie zabrano. Bacz więc na to, co mówisz, przestrzegam po raz wtóry, bo zaraz przestanę się oglądać na naszą długą znajomość.

– I co zrobisz, bardzo ciekaw, ty sam na moich tuzin...

– Wyzwę cię, Bóg mi świadkiem - twarz Huxleya ścisnęła się i pobladła.

– W moim mniemaniu nie jestem obowiązany przyjąć. Nie rób sobie żartów. Oporządź konia jak inni i powściągnij swą wielce rycerską dumę.

Huxley chciał już odpowiedzieć, a tym razem nie powstrzymałby zapewne podniesionego głosu, lecz uprzedził go baron, który przysłuchiwał się uważnie rozmowie i dopytywał o jej szczegóły pannę Rambures.

– Jeśliście, panie, zaiste rycerzem, to podnieś moją rękę.

- Co? - wypowiedzieli niemal równocześnie de Crecy i Huxley, zwracając zakłopotane oblicza na barona.
- Rękawicę - poprawiła bezwiednie barona Maria.
- Nie wyzywajcie, panie Arturze, tego człowieka, to pewna śmierć - wyszeptała szybko i równocześnie chwyciła rękaw aketonu pana Pitchforka.

Było już jednak za późno. Baron ułożył sobie w myślach w miarę poprawne zdanie, a postanowienie, które powziął, było zbyt silne, by ostrzeżenia jakiegokolwiek białogłowy zdołały cokolwiek wskórać.

- Podnieś moją rękawicę - powiedział dobitnie sir Artur. De Crecy tylko parsknął.
- No, Janie, podnieś. Byłby to dla ciebie zaszczyt stanąć w polu z samym baronem - podjudził żartobliwie de Crecy.
- Przyjmuję - odparł Huxley, spoglądając poważnie na sir Artura.
- Co? Oszalałeś? - wykrzyknął de Crecy.
- To mój jeńiec, nie pozwalam - dodał z desperacją.
- Gdyby nie ja, nie byłoby tego wszystkiego. Nie miałbyś żadnych jeńców, jesteś mi to winien. Poza tym mam ochotę po raz wtóry dać lekcję pokory naszemu zamorskiemu gościowi. Nie bój się, nie zabiję go, to, koniec końców, też pieniądz dla mnie.

De Crecy popatrzył na niego chmurnie i zamyślił się.

- Właściwie, czemu nie? Skoro masz taką potrzebę, to nie będę przecie druhowi bronił... - dorzucił fałszywie pojednawczym tonem.

Stanęli naprzeciw siebie. Huxley machnął parę razy mieczem nie tyle dla sprawdzenia wyważenia, ile dla rozgrzania nadgarstka. Stał z sykiem cięła powietrze, choć w ruch wprawiało ją jedynie przedramię fechtmistrza. Reszta jego ciała pozostawała nieruchoma, jakby wykuto ją w kamieniu. Baron, nauczony wcześniejszymi doświadczeniami, zachował spokój. Przyjął pewnie postawę i nie kwapił się z rozpoczęciem walki. Na twarz Huxleya wypłynął nieprzyjemny uśmiech. Postąpił parę kroków w stronę przeciwnika. Artur ani drgnął, czekając w napięciu. Ostrze Haquelina zafalowało delikatnie, jakby jego właściciel szykował zakłęcie albo próbował użyć hipnozy. Zebrani patrzyli na powolne ruchy ze zdziwieniem. Wielu nie rozumiało opieszałości walczących, ale bardziej doświadczeni wiedzieli, że to jedynie pozory. Nagle Huxleyowe ostrze świsnęło jak smagający bat. Ci, którzy skupiali akurat wzrok na klindze fechtmistrza, nie zauważyli błyskawicznego ciosu na wysuniętą nogę barona. Ten ostatni jednak nie dał się zaskoczyć, a spoglądał nie na broń przeciwnika, tylko w jego oczy. Szczęknęło metalicznie. Zbity rantem puklerza sztych odskoczył, ale zaraz potem opadł ponownie, lecąc na głowę sir Artura. Pan Pitchfork przyjął uderzenie na jelce i skontrolował głębokim cięciem połączonym z lekkim obejściem. Huxley stanął na nowo wyznaczonej osi natarcia. Klinga przrzytnęła o pięściak. Prawie w tym samym momencie kolejny cios fechtmistrza został odbity przez zasłonę barona.

Teraz już nie ospałość walczących, lecz ich niezwykła szybkość i refleks wprawiły obserwatorów w zdziwienie. Ciężkie powietrze wyło niemal bezustannie, tworząc akompaniament dla dwóch pozostałych dźwięków: uderzeń miecza o puklerz i miecza o miecz. Ze śmigających kling parę razy sypnęły iskry. Po dwóch minutach na wygładzonych powierzchniach pięściaków widniały liczne rysy, a nawet głębsze szczyrby. Walczący zwijali się wokół siebie jak wściekłe węże. Zmieniali tempo i kierunek natarcia, siłę uderzeń i długość kroku, jedynie menzura pozostawała ta sama. Każdemu wypadowi towarzyszył odskok, sztychowi - zbiecie, cięciu - zastawa. W końcu, ponieważ żaden nie zdobył przewagi nad przeciwnikiem, wyszli ze zwarcia. Na twarzach obu malował się wysiłek, choć ich oddechy były spokojne, a w ruchach nie widać jeszcze było wyczerpania.

– Muszę przyznać, że skoro tylko nie dajecie się ponieść wściekłości, to wychodzi z was nie lada miecznik... – rzucił ze szczerym uznaniem zdyszany Huxley.

W głosie pobrzmiwała mu jednak krótkość oddechu. Baron nie podjął rozmowy, czy to po prostu chcąc oszczędzić powietrze, czy też nie chcąc go marnować na człowieka, którego pragnął zabić. Na jego twarzy pojawiły się wypieki. Na czoło i odsłoniętą szyję wystąpiły mu żyły. Chłodne powietrze zamieniło pot walczących w parę, która teraz unosiła się nad nimi. Kolejne zwanie zaczął długi wypad barona. Najpierw krótki szermierczy krok, potem przełożenie nogi, wybicie i potężny sus. Na koniec ręka pana Pitchforka pchnęła ostrze ze straszną prędkością prosto na twarz Francuza. Nawet refleks Huxleya został wystawiony na ciężką próbę tym nadszpiekowanie szybkim jak na posturę sir Artura ruchem. Fechtmistrz zdołał jednak zbić puklerzem już nie sam sztych co prawda, ale zastawę lecącego miecza. Metal zadźwięczał, a Haquelin ciął lekko na prawą przygiętą po wypadzie nogę pana Pitchforka. Zebrani byli przekonani, że ogromnej postury rycerz nie zdąży na czas obronić kończyny, ale znów silne przekonanie musiało ustąpić zdziwieniu. Baron nie tylko przyjął cios poprawnie, mocą klingi, lecz przerzucił ciężar ciała na drugą nogę i napał na Huxleya. Ten odskoczył jak ranny kot: miękko, szybko i osłaniając ranę. Dopiero teraz na policzku fechtmistrza wykwitła czerwona wstęgą krwi. Zebrani zrozumieli, że nie dał rady zupełnie sparować ciosu sir Artura i kawałek ostrza sięgnął celu. Sir Artur wrócił do naturalnej w tego typu walce postawy, po tym jak zmienił prowadzącą nogę, by naprzec pięściakiem. Nie zdążył jednak zrobić nic więcej, gdyż fechtmistrz natarł na niego, zasypując go gradem błyskawicznych ciosów. Miecz Huxleya śmigał obracany z piekielną sprawnością. Baron zaczął postępować w tył. Nie panikował, na jego twarzy nie było widać śladu strachu, lecz jedynie wysiłek i zawziętość, ale nie potrafił przełamać mistrzowsko prowadzonego ataku. Owszem, jego puklerz zbierał kolejne uderzenia, a prawa ręka odcinała się atakującemu całkiem żwawo, jednak pan Pitchfork oddawał pole. Broń Huxleya weszła w niemal bezustanny ruch, zmieniało się jedynie tempo, mając przeciwnika. Teraz pozostawało czekanie na błąd, a była to tylko kwestia czasu.

Po kolejnej serii bloków i zejść z linii ataków wprowadzony w rytm sir Artur uniósł puklerz zbyt prędko, nim fechtmistrz wykończył cios. Huxley momentalnie wykorzystał drobne uchybienie. Zmienił lekkim ruchem w łokciu tor lotu ostrza i ominął zbyt daleko wysuniętą osłonę barona. Pięściak wypadł ze skaleczonej ręki pana Pitchforka.

Haquelin postąpił większym krokiem w przód, by zakończyć walkę krótkim, szybkim pchnięciem. Sir Artur nie pogubił się jednak mimo bólu i utraty tarczki. Odszedł nieznacznym piwotem w lewo, równocześnie zbijając wymierzone w brzuch ostrze. Fechtmistrz odskoczył, nie chcąc pozostawać zbyt blisko mogącego go pochwycić przeciwnika, nad którym miał teraz przewagę. Pan Pitchfork nie pochwycił jednak cofającego się Haquelina. Zamiast tego, złączywszy na rękojeści obie dłonie, posłał za nim potężne oddolne cięcie. Sztych zahaczył o rant pięściaka z taką siłą, że Huxley nie zdołał go utrzymać. Zwiększywszy dystans, znów stanęli w bezruchu, a widzowie na powrót odzyskali utracony ze zdumienia oddech. Nawet najbardziej doświadczeni z zebranych nie mogli uczciwie powiedzieć, że widzieli w życiu bardziej kunsztowny i wyrównany pojedynek. Obserwujący go w skupieniu Alberto aż gwizdnął z lekka. Tymczasem walczący mierzyli się wzrokiem wściekłym, a zarazem bacznym, jak dwa drapieżniki niemogące ścierpieć, że ktoś tak długo zastępuje im drogę. Krew przykryła prawą część twarzy Huxleya aż po szyję, wsiąkając w gruby kołnierz przeszywanicy. Rana barona nie wyglądała lepiej. Rozcięty od rękawa, prawie po łokieć aketon nabrał również czerwonego odcienia.

Przystąpili do siebie tak skoncentrowani, jakby chodzili po rozżarzonych węglach. Zaczął Huxley, sztychem na pachwinę. Sir Artur przyjął pewnie i ciął żeńską stroną miecza na szyję. Haquelin odchylił się głęboko w biodrach, unikając ciosu. Ruchem powrotnym zaatakował na lewy bok. Baron zdążył przyjąć uderzenie, zawinął jelce wokół Huxleyowego ostrza i pchnął, zaledwie o centymetry chybiając żeber. Fechtmistrz zręcznie uwolnił związaną na moment klingę i uderzył na pierś pana Pitchforka. Stał przecięła aketon i weszła w ciało. Po ostrzu spłynęła krew. Wszyscy, łącznie z walczącymi, znieruchomieli na moment. Baron zachwiał się, a Haquelin spojrzał na niego spokojnie pewien zadania śmiertelnej rany. Gdy jednak ujrzał wbite w siebie oczy pana Pitchforka, zwątpił. Szarpnął odruchowo za rękojeść wrazonego między żebra miecza, chcąc wyszarpnąć broń. Jednakże prawica odmówiła mu posłuszeństwa, poczuł, że nie może nią ruszyć, jakby utkwiała w imadle. Niewiele też się pomylił. Baron chwycił Huxleya za rękę tuż nad łokciem i mimo stali w ciele nie puszczał. Fechtmistrz szamotał się jak pochwycona ryba, ale niczego nie wskórał. Pan Pitchfork wziął natomiast lekki zamach, a następnie wrąbał przytrzymanemu adwersarzowi środek klingi w napiętą szyję. Potem uderzył jeszcze raz w to samo miejsce. Trzymał jeszcze przez chwilę bezgłowe ciało obryzgany fontanną krwi, nim sam opadł na kolana. Złapał tkwiący między żebrami miecz i spróbował go wyciągnąć, lecz szybko zabrakło mu sił i osunął się na ziemię, padając z rozłożonymi rękoma na plecy.

Maria krzyknęła i zaczęła się szarpać się w rękach trzymających ją serjeantów. Nie zdołała jednak przerwać silnego uścisku.

– Puście! Puście mnie!!! - rozdzierający leśną ciszę krzyk Marii kontrastował z bezruchem, w jakim stali zbrojni.

Walka dosłownie odebrała im dech w piersiach i dopiero po chwili nienaturalny spokój przerwali Włosi. Alberto przyskoczył do leżącego na ziemi barona i pospiesznie zabrał się do wyciągania tkwiącej w jego ciele stali. Nie szczędził przy tym gorzkich komentarzy w rodzimym języku dotyczących porywczoci i bezsensownego

przyspieszania biegu wydarzeń. Luigi, jak zwykle zachowujący zimną krew, spojrział podejrzliwie na zebranych wokół ludzi de Crecy'ego, chcąc się upewnić, że żaden z nich nie rozumie wypowiedzianych po włosku komentarzy. Jednak zarówno pan Raul, jak i jego towarzysze pozostawali nadal nieruchomi i wpatrzeni bezmyślnie w polanę, jakby zaczarowani sceną, którą przed chwilą ujrzeli. Ponadto pełne bezsilnej rozpaczki krzyki panny Rambures zagłuszały inne dźwięki. W końcu czar prysł i zbrojni przystąpili do miejsca pojedynku i do uwijających się przy rannym baronie Włochów.

– Czegoś takiego, jak żyję, nie widziałem. Żeby tak odrąbać komuś łeb, na pieszko, w zwarciu, i to mając ostrze między zębami... - skomentował jeden z pocztowych.

Inni poszli w jego ślady i na polanie zrobiło się gwarno od głosów niedowierzania i podziwu. Narastającą atmosferę gawędy przerwał nagle donośny głos de Crecy'ego.

– Kurwa mać!!! Starczy tego gaworzenia. Myślałby kto, że się handlarki po targu zebrały. Odsunąć się wszyscy, psia wasza mać!

Zbrojni postąpili w tył. Od ciała odsunęli się również Włosi, czujnie obserwując dowódcę oddziału. De Crecy milczał przez chwilę, patrząc rozbieganym wzrokiem to na bezgłowe ciało towarzysza, to znów na leżące obok, ledwo żywego barona. Po zagubieniu malującym się na jego obliczu łatwo można było się domyślić, że sytuacja go przerosła i nie bardzo wie, co począć.

– Będzie żył? - spytał w końcu, zwracając już nieco przytomniejsze spojrzenie w stronę Lombardczyków. Mężczyźni zgodnie pokręcili w milczeniu głowami.

– Ty głupcze! Ty kurwi synu zatracony! - De Crecy podszedł do bezgłowego ciała i zaczął je kopać. Na twarz uderzyły mu wypieki.

– Cóżes najlepszego uczynił!?

Ludzie pana Raula spoglądali po sobie mocno zakłopotani bezradnym gniewem wodza.

– Żałosny głupiec... - wyszeptał pod nosem Alberto.

Szloch Marii przycichł wreszcie, podobnie jak przekleństwa ciskane przez de Crecy'ego. Dało się jednak słyszeć jakiś nowy dźwięk. Początkowo cichy, lecz miarowy i narastający.

– Konni! - wykrzyknął jeden ze zbrojnych.

Po tych słowach polana aż zafalowała od ruchu. Zbrojni chwyтали za broń. Ci znajdujący się blisko koni próbowali do nich dobiec, pozostali rozpięchli się, szukając dogodnego schronienia. Poczet Alana Rambures'a wpadł na polanę niemalże galopem. De Crecy zbladł i zrozumiał, że nie ma najmniejszej szansy w potyczce z nacierającymi w gotowości bojowej konnymi, ruszył pędem w stronę swojego wierzchowca. Czuł, że da radę do niego dobiec. Skoncentrował się tylko na tym. Zapomniał o okupach i o dumie. Po prostu puścił się przed siebie ile sił w nogach. Zdążył jedynie kątem oka wychwycić jakiś szybki ruch. Jakaś postać wychynęła z boku i trąciła go barkiem.

Zdziwiony rycerz zdołał mimo to utrzymać równowagę. Przebiegł nawet jeszcze parę kroków, nim uczył wykręcający wewnątrz ból. Padł ścięty z nóg i dopiero leżąc, spostrzegł wystający z brzucha, wbity prawie po jelce pugiński. W tle zamajaczyła mu postać podchodzącego zwawo mężczyzny. Nim ból spowodowany wyszarpieniem świeżo wbitego ostrza na dobre odebrał konającemu świadomość, pan Raul zdążył jeszcze ujrzeć ciemnoskórą, zaciętą twarz zabójcy.

Maria poczuła, że w końcu nadszedł ratunek, na który tak długo przyszło jej czekać. Widząc brata stojącego w strzemionach, by lepiej wymierzać kolejne śmiertelne razy, poczuła w sobie ogromny przypływ energii. Trzymający ją silnie zbrojni postanowili pociągnąć ją za sobą w las, sądząc zapewne, że dzięki zakładniczce ocalała skórę. Maria nie zamierzała już jednak ani chwili dłużej dawać sobą pomiatać. Serjeanci, którzy ją prowadzili, byli do tego stopnia przerażeni, że nie zwracali zbyt wiele uwagi na swojego jeńca, uznając najwyraźniej niewiastę za niezdolną do walki. Gdy jednak jeden z porywaczy puścił na chwilę ramię Marii, by wolną ręką odsunąć gałęzie sosny, które blokowały dostęp do lasu, panna Rambures szarpnęła mocno całym ciałem i wymierzyła trzymającemu ją mężczyźnie potężnego kopniaka w kolano. Serjeant był kompletnie zaskoczony. W pierwszym odruchu chciał pochwycić Marię, ale gdy tylko postąpił krok do przodu, omal nie upadł przeszyty bólem. Podbity drewnem but Marii poważnie zbił osłonięte jedynie nogawicą kolano. Nim drugi mężczyzna zauważył, że jego więzień zdołał się oswobodzić, panna Rambures biegła już co tchu na środek polany. Serjeant zawahał się przez moment. Pomyślał, czyby nie ruszyć w pogoń, ale w tle zamajaczyły mu postacie konnych, którzy do tego czasu zdołali już prawie całkiem znieść poczet de Crecy'ego. Zawrócił więc i puścił się pędem między otaczające pole walki drzewa.

Zaledwie paru zbrojnych z pocztu de Crecy'ego zdołało dobiec do swoich wierzchowców. Nie miało to jednak większego znaczenia dla przebiegu walki. Ci, którzy mieli na tyle szczęścia, by poczuć pod sobą koński grzbiet, nawet nie myśleli o kontrataku. Puszczali się w karkołomny galop, między drzewa i leśne wykroty, nie oglądając się nawet na wołających rozpaczliwie o pomoc towarzyszy. Wkrótce okrzyki i dźwięki zadawanych ciosów ucichły. Na polance zapanował spokój. Zbrojni pana Rambures'a jeździli stępą przy granicy lasu, szukając ukrytych uciekinierów i dobijając rannych. Na środku polany zgromadzono kilku serjeantów, którzy rzucili broń i zaryzykowali oddanie się do niewoli. Nie zabito ich od razu, bo takie ich potraktowanie mogło świadczyć o szlacheckim pochodzeniu pojmanych, ponadto każdy, kto uciekł spod miecza, miał jeszcze szansę zawisnąć.

Pan Alan zlekceważył na moment obowiązki dowódcy i wybiegł naprzeciw Marii. W pierwszej chwili uniesienia zapomniał, że ma na sobie zbroję i jest jeszcze spięty po niedawnej potyczce. Przycisnął dawno niewidzianą siostrę tak mocno, że dopiero jej głośny jęk uświadomił mu własny brak rozwagi. Wypuszczona wreszcie z braterskiego uścisku Maria wzięła kilka głębszych wdechów, gdyż powitanie prawie pozbawiło ją przytomności, a potem przemówiła chwiejnym ze wzruszenia i zmęczenia głosem.

– Jakże dobrze cię widzieć, Alanie. Nie pojmuję zupełnie, skąd się tu wziąłeś. Chyba anioł cię tu jakowyś sprowadził - panna Rambures dała upust swoim gwałtownym emocjom, a po jej policzkach pociekły po raz pierwszy od

dawna łązy szczęścia.

Rychło jednak jej naturalna bystrość umysłu dała o sobie znać. Ujrzała bowiem Clermonta i sir Ralfa, nachylających się nad rozciągniętym na ziemi baronem Pitchforkiem.

– Ach... zapewne tym to rycerzom zawdzięczam tę interwencję, którą w pierwszej chwili wzięłam za czysto niebiańskie dzieło.

– Masz rację, siostrze, jak to zazwyczaj bywa. Ci panowie doprowadzili mnie do ciebie i ujawnili zdradę Vaartbruta, której się względem nas dopuścił.

– Nie wiem dokładnie, o jakiej zdradzie mówisz, ale na wyjaśnienia przyjdzie jeszcze pora. Tymczasem twój ratunek choć dla mnie skuteczny, okazał się, jak sądzę, zbyt późny dla pana Pitchforka - to powiedziawszy, Maria ruszyła do grupki ludzi otaczających leżącego barona.

Rozglądała się przy tym pilnie, co nie uszło uwagi podążającego za nią brata.

– Za kimże tak się rozglądasz, najmilsza siostrze?

– Mniejsza z tym, śpieszmy do rannego - odparła Maria, ukrywając skrępowanie i przyspieszając kroku.

Baron leżał podtrzymywany przez Clermonta. Twarz miał bladą i drżącą. Z kącików ust ciekła mu krew, którą sir Ralf starał się otrzeć chustą, na przemian z własnymi łzami.

– Próbowałem dopełnić ślubu... który dałem Robertowi - wyszeptał dziwnie w jego ustach brzęczącym słabym głosem sir Artur.

– Doprowadź go w moim imieniu przed ołtarz, stryju - dodał po chwili, wypluwając więcej krwi.

– Spowiednika! Dajcie tu spowiednika! - zakrzyknął Clermont, spoglądając na otaczających go zbrojnych.

– Nie da rady tu dotrzeć. Ciągnie razem z wozami, nie zdąży na czas - odrzekł ponuro Alan Rambures, wychodząc przed krąg swoich ludzi.

– Przysięgam, że to zrobię. Bądź spokojny o swą duszę, bo choć nie ma tu księdza, Pan cię właściwie osądzi - powiedział spokojnie sir Ralf, mimo płynących mu z oczu łez.

– Nie. Umieram w grzechu, zostawiwszy mego potomka w łonie diablicy. Niech choć dopełnienie ślubu będzie mi zapamiętane - po tych słowach potężne ciało konającego rycerza przeszły drgawki.

Z ust spłynęło mu więcej krwi, a głowa opadła mu bezwładnie na ramię pana Bertranda.

– Niech Pan ma cię w swojej opiece - sir Ralf był już zupełnie opanowany.

Złożył ręce i zaczął się modlić. Pan Clermont i Maria uklękli i poszli w jego ślady.

Minęło sporo czasu, nim wozy, na których jechała pani Anna z córką, dotarły na cichą, pachnącą opadłymi liśćmi i krwią polaną. Ogromna radość towarzysząca ponownemu spotkaniu całej rodziny Rambures zmacona była wymianą wieści o poległych. Śmierć trzech braci wycisnęła z Marii nowe łzy, których istnienia już nie podejrzewała. Sceneria nie sprzyjała zresztą zbyt radosnym doznaniom. Ciało ludzi de Crecy'ego wraz z nim samym zrzucano po prostu na



kupę przy skraju lasu, odmawiając im ostatniej posługi. Tuż obok kołysały się ciała powieszonych zbrojnych, którzy dobrowolnie oddali się w niewolę. Nie dano im pardonu, mimo iż dwóch z nich pokrzykiwało wniebogłosy o swoim szlacheckim pochodzeniu. Oszczędzono jedynie dwóch Włochów, za którymi wstawiła się Maria.

Potem nastąpiło lekkie zamieszanie. Rodzina Rambures zaczęła się czule witać, wśród łez i uścisków, a także ku konsternacji zbrojnych pana Alana. Pan Clermont przyglądał się temu z boku, walcząc ze sobą, by nie pochwycić ukochanej Julii. Sir Ralf również był w nie lada rozterce. Zerkał to na zgromadzenie rodzinne, to znów na zwłoki barona. Wiedział, iż powinien jak najszybciej rozmówić się z panią Anną lub panem Alanem, z drugiej strony nie wyobrażał sobie pozostawienia bratanka bez godnego pochówku. Z rozterki wybawili go niespodzianie dwaj cudzoziemcy, doskonale domyślając się przyczyny utrapienia sir Ralfa.

– Pochowamy tego rycerza, panie, jesteście mu to właściwie winni - zaproponował Alberto, podchodząc do pana Moorowa. Rycerz podniósł zdziwiony wzrok na Lombardczyka.

– A dlaczegoż to? - spytał trochę podejrzliwie.

Starał się zarazem ustalić, z kim ma do czynienia. Modny strój i oryginalne uzbrojenie nie składały się na przejrzysty obraz.

– Niech to pozostanie naszą tajemnicą, dość, iż podejmiemy się tego. Tu niedaleko jest cmentarz - kontynuował Włoch. Sir Ralf namyślił się szybko, po czym skinął głową. Wiedział, iż nie ma zbyt dużo czasu na podejmowanie decyzji.

– Poczekajcie tu jeno chwilę. Pojadę z wami - po tych słowach sir Ralf podszedł do Clermonta, który nadal obserwował państwa Rambures.

– Zwalniam was, panie Bertrandzie, i dziękuję za wierność, którą okazaliście mojej sprawie - przemówił poważnym tonem pan Moorow. Francuz przez chwilę nie rozumiał, co się do niego mówi. Potem jednak uśmiechnął się słabo.

– Niewola w waszych rękach nie była mi ciężarem, a cel mieliśmy wszakże wspólny - skwitował pojednawczo.

– Cóż zamierzacie? - spytał.

– Pojadę z tymi tam pochować mego drogiego bratanka. Mam też do was prośbę, byście nie wyjawiali przed panią Anną mego prawdziwego pochodzenia. Nie wspominajcie też, proszę, o celu mojej wyprawy. Ot, powiedzcie, iż towarzyszyłem wam w drodze na Vaartbrutowy zamek... - pan Moorow przemawiał zwięźle i konkretnie, w jego oczach malowała się gorąca prośba.

– Niech tak będzie, ale tylko pod warunkiem że gdy nas dogonicie, sami wyjawicie, kim naprawdę jesteście... - ripostował uroczyście Clermont, mierząc sir Ralfa wzrokiem.

– Tak uczynię. Obierzcie ten trakt, którym tu przyjechaliśmy, dopędzę was pewnikiem jeszcze przed nadejściem zmierzchu...

Pogrzeb był nader skromny, choć ciało barona owinięto przed pochówkiem w jedwabny płaszcz. Był to dar od pani Anny i pochodził z jej bagażu. Sir Ralf zdążył się jedynie pokrótce przedstawić damie i wytłumaczyć potrzebę opuszczenia na chwilę jej towarzystwa. Pan Clermont szybko wymienił zasługi pana Moorowa w odbiciu Marii. To wystarczyło, by pani Anna przekazała rycerzowi podarunek, choć uczyniła to dopiero po tym, gdy ten przyrzekł czym prędzej dołączyć do jej orszaku i przedstawić się lepiej. Gdy tylko więc ksiądz z pobliskiej parafii zakończył swoje dzieło, pan Moorow wrócił pośpiesznie na trakt. Był w duchu bardzo rad z pomocy Lombardczyków, bez której miałby ogromny kłopot, by rozmówić się z miejscowym kapłanem. Po wielce skromnej ceremonii nad grobem zostało tylko dwóch cudzoziemców. Alberto spojrział jeszcze raz na świeżą mogiłę, a potem na towarzysza.

– Tak to jest, mój drogi druhu, jak się ludzie niecierpliwią. Zaczekałby jeszcze nocy i nie dość, że by żył, to jeszcze nie musiałby się martwić o swego wroga. Jeśli nie ten Francuz i jego rycerze, to my byśmy wszystko załatwili, a tak...

– Aż niesmak brać tę głowę, która wszak sama spadła - podchwycił zamyślony Luigi, klepiąc okrągłą sakwę zawieszoną u siodła.

– Ech... no trochę może niezasłużenie, ale liczy się skutek. Jak już wszyscy ludzie to rozumieją, to i takim jak my będzie się może ciężiej żyło. Bo nie nadarzy się już żaden dumny a porywczy pan, co człowieka ciężko na chleb pracującego wyręczy.

– Ja tam za takimi niepewnymi czasami jak te, w których żyjemy, tęsknić nie będę - wyznał rzeczowo Luigi i popędził lekko konia. Alberto westchnął i ruszył za kompanem.

Jechali powoli. Orszak nowego pana na zamku Rambures przemierzał kolejne połacie flandryjskich pól. Zbrojni nie silili się już nawet na czujność. Uwolnione spod hełmów, zastygłe, przepocone czupryny chygotały się sennie. Co rusz któraś głowa opadała z wolna na piersi. Pan Alan otworzył zlepięte oczy, czując w ustach kolczugę kaptura. Spojrzał wokół. Już prawie zupełnie ściemniało. Po prawicy młodego rycerza stąpał utrudzony podjezdek Clermonta. Rycerz nachylał się do powozu i szeptem wymieniał czule słowa z panną Julią. Za każdym razem gdy przechylał się, by przemówić, jego lichej postury koń zbaczał lekko z trasy. Widok ten zadziwił wielce niezbyt lotnego w materii miłosnej pana Alana. Zaczął więc mimo woli przyglądać się i przysłuchiwać toczonyj tuż obok rozmowie. Nie mogąc zaś dosłyszeć, o czym rozprawiano, przysunął się lekko. W tejże chwili pan Clermont nazbyt gwałtownie wychylił się w siodle. Podjezdek zszedł w bok, nieledwie chybiając łbem powozu. Utraciwszy na moment równowagę, rycerz podparł się ręką o drewnianą ściankę. Deski skrzypnęły pod naporem stalowego nałokietnika. Pan Clermont odsunął się od pojazdu jak oparzony, po czym rzucił wkoło zakłopotane spojrzenie. Od razu też natrafił na przyglądającego mu się uważnie młodego kompana, który na skutek swej dociekliwości jechał już z nim niemal strzemię w strzemię.

Obaj szybko odwrócili zmieszane oblicza.

– Cóż tam się dzieje? - odezwał się z ciemnego wnętrza lekko zachrypnięty głos pani Anny.

– Ależ nic, droga matko, to jedynie koń pana Clermonta uderzył łbem o nasz powóz - wyjaśniła błyskawicznie Julia.

– Czy wierzchowiec pana Clermonta nosi naczółek? - odezwał się lekko zaspany, choć już czujny głos Marii.

– Nie wiem, coż to takiego, droga siostró - rzekła zmieszana Julia.

– To stalowa osłona końskiego łba - wyjaśniła Maria.

– Ach tak, rozumiem. Zatem nie, nie ma niczego takiego.

Pan Clermont oddalił się już znacznie i ledwo słyszał prowadzoną rozmowę. Wyczuł mimo to zmieszanie w głosie swojej wybranki.

– Świetnie, jak zatem wydał w zetknięciu ze ścianą powozu ten metaliczny odgłos? - indagowała Maria, drocząc się z siostrą.

– Ależ, on, no nie wiem, jak to zrobił - fuknęła młodsza z dam.

– No dobrze, starczy tego - zawyrokowała spokojnym, acz nieznoszącym sprzeciwu głosem pani Anna.

– Widać czas na popas, skoro już nawet pan Clermont zsuwa się z siodła.

Na te słowa pan Bertrand zrobił poważną minę i dumnie wyprostował się w siodle. Nic jednak nie powiedział. Przemówił za to pan Alan, podjeżdżając bliżej do powozu.

– Radzisz, byśmy stanęli matko? - dopytał niepewny.

– Tak, synu - odparł głos z wnętrza powozu.

– Zatem staniemy, jeśli taka twoja wola, choć już zmierzcha i raczej winniśmy znaleźć jakieś miejsce na nocleg.

– A czy przybył może pan Neville? Wolalabym nie stawać, póki do nas nie dołączy. Nie zniósłabym myśli, iż dopadli go po drodze jacyś rabusie, kiedy my usiądziemy w ciepłe, przy strawie - rzekła pani na zamku Rambures.

– Niestety, nie ma go jeszcze z nami.

– O rabusiów się jednak troszczyć nie musicie. Ziemie tu spokojne i ludne, a pan Neville doskonale potrafi o siebie zadbać - zapewnił żywo Clermont.

– Karczma przed nami! - rozległ się okrzyk z czoła kolumny.

Zapadły już zupełne ciemności, nim rozsiodłano konie i wniesiono bagaże. Karczma, z zewnątrz niepozorna, okazała się całkiem przestronna. Do czasu nim goście mieli okazję ujrzeć jej wnętrze, gospodarz zadbał również o należyte oświetlenie. Na pachnących nowością, tanich sosnowych stołach rozstawiono już pękate lipowe misy, w których piętrzyło się jadło. Do stołu pierwsza zasiadła pani Anna, a zaraz potem jej obie córki, których płaszcze zostały zrzęcznie przechwycone przez pana Alana i Bertranda. Ten ostatni usiadł tuż obok panny Julii. Następnie pozostali zbrojni i pachołkowie zajęli przeznaczone im miejsca. Karczmarz dwoił się i troił, by wraz ze swoimi służkami nastarczyć każdemu gościowi jedzenia i napitku. Po jego zdenerwowaniu i ogromnej skrupulatności, jak również po wystroju

wnętrza znać było, iż zajazd powstał niedawno. Panowie zaczęli usługiwać trzem niewiastom, podając im obyczajnie co lepsze kąski z wystawionych mis. O ile jednak pan Alan dzielił zrećźnie swoją uwagę pomiędzy matkę i siedzącą obok niego Marię, o tyle ruchy Clermonta były niezdarne. Dwa razy też pani Anna musiała poprosić go wprost o nalanie wina do jej szklanego pucharu, a raz niemal napełnił własny kubek, nim upewnił się, iż damy mają trunek. W końcu pani Anna przemówiła karcąco.

– Panie Clermont, czyż wojna tak was pochłonęła, iż nie umiecie już należycie usłużyć przy stole? Rycerz spąsował jak napomniane pachole.

– Wybaczcie, pani, lecz to nie wojna jest powodem mojej niezdarności - sumitował się szczerze urażony pan Bertrand.

– Cóż więc? - spytała nieco łaskawiej pani na zamku Rambures.

Pan Clermont spojrział na Julię, a ta spuściła oczy na udko kurczaka, które właśnie trzymała.

– Nie godzi się mi teraz o tym mówić, pani - odparł wreszcie Clermont, również zwieszając głowę.

– Czy chodzi wam o żalobę? - drążyła niestrudzenie pani Anna, a głos jej nabrał cieplejszego odcienia. Pan Clermont podniósł wzrok, a jego szczerą i ufna twarz do reszty zmiękczyła szlachciankę.

– Och, drogi panie Bertrandzie, w czas wojny insze rządzą sprawami ludzkimi, choć nie prawa, to obyczaje. Kiedy czas nagli, a wokół szaleją śmierć i zawierucha, nie można przecież ze wszystkim czekać na najwłaściwszą porę...

Ta wyraźna zachęta sprawiła, iż pan Clermont runął z krzesła na kolana, aż zatrzeszczała podłoga.

– Skoro tak, to proszę was, pani, o rękę waszej córki Julii - rzekł z mocą. W kącikach ust pani Anny czaił się z trudem powstrzymywany uśmiech.

– Daję wam ją od razu, bo widzę, iż w przypadku odmowy sami byście wzięli. A i z zachowania mojej córki wnoszę, że wami nie wzgardzi.

Julia postanowiła natychmiast potwierdzić słowa matki, rzucając się panu Bertrandowi na szyję. Po sali przeszedł szmer odsuwanych krzeseł, wszyscy bowiem zebrani powstali za przykładem pana Alana. Ten natomiast, dzierząc w dłoni kielich, zakrzyknął:

– *Vivat* Clermont, zdrowie mojej siostry!

Po czym jednym wprawnym ruchem opróżnił naczynie. Wszyscy poszli za jego przykładem, wiwatując na cześć narzeczonych. Maria również wypiła, choć w jej oczach łzy szczęścia zmieszały się z tymi wywołanymi smutkiem.

– Dajcie i mnie wina, karczmarzu! - głos sir Ralfa przebił się przez powszechny zgiełk.

Zebrani spojrzeli w stronę drzwi. Stał w nich, ciężko oddychając z utrudzenia, pan Neville, a w jego garści czekał już podróżny cynowy kubek. Karczmarz zerknął niepewnie na pana Alana, a ten wraz dał mu znak, by spełnił życzenie gościa.

Parę wychylonych czar później wszyscy goście w komplecie zasiadali przy stołach. Zmęczenie, które tak dawało się we znaki na trakcie, opuściło podróżnych ożywionych śmiałymi oświadczeniami. Mimo ogólnego poruszenia związanego z tym wydarzeniem pani Anna znalazła chwilę, by porozmawiać z sir Ralfem, któremu przykazała siadać tuż obok siebie. Swoje życzenie poparła słowami.

– Zechciejcie przy mnie usiąść, panie Ralfie z Neville’ów, i usłużyć mi choć trochę, bo wszak gdybym zdała się na tego jegomościa, to chyba przyszloby mi paść z głodu.

Wypowiedź, choć okraszona ciepłym uśmiechem i przyjęta śmiechem przez współbiedników, dotknęła jednak nieco pana Clermonta. Julia powstrzymała jednak protest rycerza, ujmując delikatnie jego dłoń. Sir Ralf tymczasem przysiadł się, chcąc, a raczej bardziej nie chcąc, do stołu. Owe mieszane uczucia podyktowane były łatwymi do odgadnięcia powodami. Choć pani Anna robiła na rycerzu jak najlepsze wrażenie, to przecież zdawał sobie sprawę z tego, że jego „gaskoński” akcent może zabrzmieć dziwnie dla wprawnego ucha. Do takich należało natomiast bezsprzecznie zaliczyć ucho pani Anny, która będąc wdową po wysokiej rangi dygnitarzu królestwa, zetknęła się z różnymi dialektami. Sir Ralf miał pełną świadomość tego niefortunnego stanu rzeczy, sadowiąc się na sosnowej ławie. Od razu też chwycił gliniany dzban i dolał wina mierzącej go bacznie wzrokiem towarzysze biesiady.

Sir Robert przystanął przed bramą klasztorną. Guillaume spojrział na niego wyczekująco.

– Mam pomysł, jak zainwestować pieniądze, które byłeś dłużny, Guillaume - oznajmił.

– Doprawdy? - odparł giermek, poprawiając na plecach lniany wór, do którego wrzucili cały swój obecny dobytek.

Sir Robert pokiwał tylko głową i zaczął żwawym krokiem przemierzać dziedziniec klasztorny. Guillaume nie próbował go zatrzymywać i dalej indagować. Wiedział, iż byłby to w tej chwili daremny wysiłek. Opuścił tylko trzymany worek i usiadł nieopodal, czekając. Sir Robert zapukał do drzwi celi brata Marcina. Gdy tylko usłyszał przyzwolenie, wszedł do malutkiej izby. W celi brata Marcina było nieco jaśniej niż w pomieszczeniach dla gości. W oknie nie było żadnego pergaminu ani innej zasłony. Światło dzienne wpadało wprost do pomieszczenia, w którym już od progu czuć było przybory do pisania. W rogu stał skromnie sklecony pulpit, a obok tkwiła sarta książek. Brat Marcin odłożył gęsie pióro, które trzymał w prawicy, i spojrzął na wchodzącego rycerza.

– To wy, bracie Marcinie, prawda? To wy stworzyliście brewiarze używane w czasie godzin, nieprawdaż? - sir Robert był podniecony, a jego niezbyt składna mowa rozbawiła kanonika.

– No tak... to ja. Ale wpadliście tutaj, panie Robercie, z miną, jakbyście rozwiązali dobitnie problem uniwersaliów. Tymczasem wasze odkrycie wydaje mi się cokolwiek błahe. Choć przyznać muszę, iż nie wiem, jak do tego doszliście, nie wchodząc tutaj wcześniej - dodał, uśmiechając się łagodnie.

– Pismo. Wasz charakter pisma jest jak manuskryta profesora uniwersyteckiego, szybka i niestaranna. Ilustracje są stworzone ze znacznie większą uwagą i dbałością - sir Robert wyjaśnił swoje domysły, odwzajemniając przyjacielsko uśmiech.

– No cóż, rozgryźliście mnie. Nikt z moich współpracowników nie domyślił się tego. Wszyscy sądzili, że kupuję modlitewniki w Abbeville. Czy mnie wzrok myli, czy też macie na sobie szaty podróżne? - zmienił nagle temat kanonik.

– Tak. Opuszczamy z moim giermkiem te gościnne mury. Zrozumiałem bowiem, iż nie jest to miejsce dla nas - młody Neville przemówił po chwili wahania.

– A te wszystkie dyskusje i cały spokój, który stracie, oddając się sprawom tego świata? - zapytał z niezmaconą łagodnością zakonnik.

– Różnie można by na to spojrzeć, lecz dla mnie to nie jest spokój. Podobnie zresztą jak dla was, bracie Marcinie. Problemy dialektyczne jątrzą wasz umysł i odsuwają go raczej od kontemplacji. Nie miejcie mi za złe tych słów. Mówię je w szczerzej trosce.

– Może i macie rację - odparł trochę smutno kanonik.

– Przyszliście się pożegnać? - dodał po chwili.

– Właściwie to tak. Mam jednak, nim odjadę, ostatnią prośbę. Chciałbym u was zamówić napisanie książki godzin. Czy podejmiecie się tego dla mnie? Zamierzam przeznaczyć pieniądze na jakiś zbożny cel... - sprostował sir Robert, widząc zdziwienie rysujące się na obliczu mnicha.

– Podejmę się tego dla was, lecz jak chcecie odebrać owoc mojej pracy? Wszak nie mieszkanie w pobliżu - zauważył z naciskiem brat

Marcin.

– Wychodzi na to, iż przyjdzie mi tu jeszcze kiedy zawitać... - odrzekł z uśmiechem sir Robert.

Ruszyli wąską dróżką prowadzącą w stronę traktu. Ten z kolei wiódł na wschód, do Flandrii. Sir Robert szedł, żywiąc ogromną nadzieję na spotkanie z ojcem i kuzynem. Guillaume towarzyszył mu w milczeniu. Dzień był chłodny, ale słońce dodawało mu uroku. Podróżnicy owinęli się szczelnie płaszczami, które Guillaume wyprosił u zakonników. Zdecydowanie wolał być obecnie w objęciach mleczarki, ale rozumiał, iż pozostawanie zbyt długo w klasztorze było niepodobieństwem. Pograżeni w swoich myślach, początkowo nie dostrzegli wyjeżdżającego ku nim konnego. Gdy w końcu Guillaume uniósł głowę, jeździec był już dość blisko. Giermek pana Moorowa przystanął, łapiąc za rękaw sir Roberta. To mógł być konny kasztelana Azincourt. Byłby to prawdziwie niefortunny zbieg okoliczności w mniemaniu Guillaume'a. Właściwie przez cały czas pobytu w klasztorze obawiał się, iż miejscowi

stróża prawa przypomniała sobie o zapowiedzianej wizycie. Dopiero chwilę później Guillaume uświadomił sobie coś osobliwego. Otóż nadjeżdżający prowadził ze sobą dwa osiodłane wierzchowce. Wkrótce potem stało się jasne coś jeszcze.

– Ojcze! - wykrzyknął sir Robert i ruszył pędem przez ostatnie kilkadziesiąt metrów dzielących ich od siebie.

Pan Moorow osadził konia, po czym zeskoczył na ziemię. Sir Robert wpadł na niego, prawie pozbawiając go równowagi, i uściskał mocno. Sir

Ralf odwzajemnił silny uścisk, a potem odsunął pierwotnego od siebie, obserwując go uważnie.

– No, ładnie cię opatrzyli, ale bliznę będziesz już nosił do końca życia - stwierdził, obserwując szramę biegnącą niemal pionowo wzdłuż prawej połowy twarzy.

Krótką przerwę w ranie stanowiło nienaruszone i wilgotne od wzruszenia oko młodego rycerza.

– A cóż z Arturem? - spytał po chwili Robert.

Guillaume zdążył w tym czasie dołączyć do Neville'ów. Powitał ukłonem sir Ralfa i sam z niecierpliwością czekał odpowiedzi na właśnie zadane pytanie.

– Powiedz mi, synu, miłujesz ty szczerze pannę Rambures? - odparł nieoczekiwanie sir Ralf.

– Tak ojcze, ale dlaczego...

Pan Moorow nie dał sir Robertowi dokończyć.

– To i dobrze, bo twój szlachetny kuzyn zginął, byś mógł się z panną Marią połączyć - wyrzekł ze smutkiem rycerz.

Robert z Guillaume'em spuścili głowy i uczynili znak krzyża.

– Jak to się stało, ojcze, i co z Huxleyem no i z samą Marią? - zapytał sir Robert, podnosząc niespokojne oczy na ojca.

– Opowiem ci o tym wszystkim, lecz nie teraz. Teraz bowiem trzeba ci, synku, uprosić panią Annę Rambures o rękę jej córki. Miałem z nią wprawdzie o tym pomówić, ale nie zdążyłem. Musisz bowiem wiedzieć, iż niewiasta ta niezwykle zręcznie prowadzi rozmowę. Ani się człowiek obejrzy, a już sam rozprawia o sobie, miast wypytywać rozmówcę, a wszak nie od dziś stąпам po tej ziemi i swoje wiem. Wsiadajcie na konie. Rzeknę wam, ile zdołam, nim dojedziemy do traktu, tam postój swój urządził pan Alan, syn świętej pamięci mistrza kuszników.

Sir Robert chłonał każde słowo ojca, rozumiejąc, iż dane mu będzie niewiele czasu, by połączyć się w sytuacji. Serce biło mu przy tym w zawrotnym tempie, co bynajmniej nie ułatwiało zebrania myśli.

Po krótkiej jeździe dotarli wreszcie do traktu. Stamtąd już zauważyli, że przy drodze kręcą się zbrojni. W pobliżu stało też kilkanaście koni i powóz. Gdy podjechali bliżej, sir Robert rozpoznał wśród popasających pana Clermonta. Rycerz siedział na rozłożonym płaszczu obok nieznanej Robertowi niewiasty i trzymając jej rękę, przemawiał. Trudno było dosłyszeć słowa, ale już samo oblicze pana Bertranda zdradzało słodycz, z jaką odnosił się do panny. Gdy zsiadli z koni i prowadzeni przez sir Ralfa, podeszli bliżej, Robert bez trudu domyślił się, iż białogłowa była siostrą Marii. Jej

oczy i trochę wystające spod czepca włosy były tej samej barwy co u starszej panny Rambures. Zaraz też naprzeciw Robertowi, Ralfowi i Guillaumowi wyszły trzy osoby. Był to pan Alan, pani Anna i Maria. Sir Robert próbował opanować rozszalałe emocje. Pierwszych słów powitania, które zostały wypowiedziane, w ogóle nie dosłyszał pochłonięty widokiem swojej „rzecznej nimfy”. Dopiero szorstko napominający go głos ojca przywrócił młodemu rycerzowi mowę.

– Witajcie, pani, i wy panie Rambures. Bądź pozdrowiona moja... Mario. Ehm. Bądźcie pozdrowieni, panno

Rambures – poprawił się, po solidnym chrząknięciu, sir Robert.

Wszyscy troje odwzajemnili powitanie. Potem przemówiła pani Anna.

– Widzę, iż zaiste silnym afektem pała wasz syn, panie Ralfie, skoro mimo swojej uczoności ma takie problemy z

mową - reprimenda pani

Anny była wypowiedziana łagodnym głosem, w którym tliło się rozbawienie.

Mimo to sir Ralf zmieszał się na krótką chwilę, co było widokiem wielce rzadkim. Sir Robert zaś wyprostował się dumnie i odparł.

– Wybaczcie, pani, mowę nieskładną. Dobrze jednakże odgadliście jej przyczynę. Skoro więc moje serce jest przed wami obnażone, nie będę długo ukrywał swojego zamiaru. Nie wiem tylko, kogo prosić - zakończył dwornie sir Robert, przerzucając spojrzenie z pani Anny na młodego pana Alana.

– Mnie - zapewniła bez wahania matka Marii.

Pikardyjski rycerz miał niewyraźną minę, jakby pytanie Roberta dało mu do myślenia, a odpowiedź matki jeszcze wzmogła ten proces. Nie umknęło to uwadze pani Anny.

– Drogi synu, jesteś, to prawda, panem na zamku Rambures, lecz kwestie zrękowin, uwierz mi, wolałbyś mnie pozostawić. Będzie tak lepiej dla wszystkich, również i dla ciebie, i dla twojego spokoju - już sam ton głosu matki zdołałby powstrzymać wątpliwości młodego rycerza.

Pan Alan pokiwał tylko głową, trudno powiedzieć, czy na znak przyzwolenia czy zwykłego przyznania racji. Maria wykorzystwała tę krótką chwilę zamieszania, by nacieszyć się widokiem młodego Anglika. Sir Robert nie patrzył jednak na nią, wiedząc, iż jeśli tylko to zrobi, jego mowa znów stanie się bełkotliwa. Zamiast tego uklęknął uroczyście.

– Pani, dajcie mi za żonę waszą córkę Marię.

Pani Anna spojrzała na młodego rycerza uważnie. Sir Ralf patrzył na nią z równym skupieniem i ku swojemu utrapieniu, zobaczył smutek.

– Nie jesteście Gaskończykami, nieprawdaż? - pani Anna bardziej stwierdziła niż spytała, zerkając na sir Ralfa. Pan Moorow poczuł, jak marna była maskarada, którą naprędce przygotowali, wyruszając do Flandrii.

– Pani Anno...



Cała szóstka obróciła zaskoczona głowy w stronę przemawiającego. Okazał się nim Clermont, który stał teraz tuż obok wraz z Julią.

– Mogę ręczyć za szlachetność każdego z tych rycerzy. Obaj stawali dzielnie w polu i żaden nie zhańbił się w czasie wielu ciężkich chwil, które z nimi przeżyłem. Nic już nie wróci nam pana Dawida i waszych synów. Zapomnijcie o tym żalu, który was gnębi. Pomyślcie o szczęściu, które możecie ofiarować córce, a które było dla niej dotąd niedostępne.

Każdy z zebranych pogrążył się po tych słowach na moment w zamyśleniu. Pan Alan Rambures pojął, iż ma do czynienia z Anglikami. Julia uprzytomniła sobie w jak bardzo fortunnej znajduje się sytuacji, będąc już narzeczoną francuskiego rycerza.

– Skąd macie tę bliznę? - spytała pani Anna, przerzucając wzrok na klęczącego Roberta.

– Odniosł tę ranę, stając w mojej obronie, matko - Maria skłamała z ogromną lekkością.

Jej głos zabrzmiał w głowie sir Roberta, budząc już zapomniane wzruszenia. Życie uczonego mnicha straciło do reszty swój łagodny powab. Młody Neville wiedział już, iż Maria będzie jego żoną, choćby miał wyrwać ją bratu w tejże chwili przemocą. Uniósł dumnie głowę i spojrzał w twarz pani Anny. Kobieta uśmiechnęła się doń przychylnie, acz bardzo delikatnie. Na jej obliczu był wciąż odmalowany żal. Milczała długo i zebrany zdążyło się, iż pozostanie taka - niema i nieprzejednana. Sir Robert czekał napięty jak stufuntowy łuk. Nim pękł, rozległy się jednak wyczekiwane słowa.

– Niech tak będzie. Daję wam moją córkę, Robercie z Neville'ów.

## Rozdział 12

Mimo późnej pory i ciemności zimowej nocy zamek Pitchfork tętnił życiem. Wielka sala niemal pękała w szwach od zaproszonych gości. A było wśród nich wielu znamienitych. Począwszy od najuboższych krewnych, którzy czekali tylko na okazję, by najeść się do syta i napić za rodzinne pieniądze, poprzez wielu zacnych panów i ich małżonki, zaproszonych z ościennych wsi i miasteczek, a kończąc na takich znakomitościach jak doradca królewski sir Erpingham czy syn wielkiego poety i wyśmienity rycerz sir Tomasz Chaucer. Wszyscy, nawet nieco niedomagający i kulawi, podrygiwali i tańczyli, ile komu sił starczało, by godnie uczcić wydarzenie i pokazać się na wystawnym weselu. Muzyka huczała wielodźwiękiem piszczałek, fletów, flazoletów, lutni, bębnów i dzwonków, przebijając się przez stare kamienne mury i sącząc wraz ze światłem w mroźną noc. Wino tryskało z kufli, kielichów i rogów, padając na zdeptywaną ochoczo podłogę oraz upstrzone tłuszczem rękawy eleganckich sukni.

Guillaume nie pozostawał w tyle, a wręcz przodował, jeśli idzie o wlewanie w siebie znakomitego wina przypominającego mu rodzinne strony. Zerkał też z ogromną ciekawością na przywiezione przez gości prezenty. Zaiste, było, na czym zawiesić oko: jedwabne i aksamitne suknie, misternie zdobione srebrne naczynia i wysadzone szlachetnymi kamieniami ozdoby wspinały sokół norweski, dar od pana Erpinghama, i małpa, którą przywiódł ze sobą pewien sąsiad, wracając z pielgrzymki do Ziemi Świętej.

Nowy baron Ralf był w swoim, drugim obok bitewnego, żywiole. Rzadko ustawał w tańcu, by przepić do kogoś lub uszczknąć skrawek jakiejś rozmowy. Otoczony pannami i obrzucany niechętnymi spojrzeniami mężów, dawał z siebie wszystko. Mimo że był pijany jak satyr, zachował jednak pewną trzeźwość i ani na chwilę nie zaniedbał gości. Zawsze na czas wyrwał się z wieńca panien, żeby nakazać podanie nowych dań, zmianę melodii lub zaproponować jakąś grę. Starsi krewni patrzyli z uznaniem na te poczynania nowego gospodarza zamku, wymieniając między sobą łaskawe uwagi. Młodzi doceniali owe starania, ani na moment nie tracąc impetu zabawy.

Mimo całego zgiełku i wrzawy panujących wokół dwoje ludzi zdawało się mało baczyć na wszystkie te zgotowane dla nich igraszki. Sir Robert nie odrywał wzroku od swej ukochanej i choć jego lica były czerwone jak królewski płaszcz, a spojrzenie straciło już znacznie na bystrości, Maria odwzajemniała je z ogromnym oddaniem i zapalem. Nie przeszkadzało jej nawet to, że sama utraciła alabastrową cerę, a spod starannie wiązane czepca wypadł jej zadziornie długi kosmyk włosów.

Tak też, już w pełnym składzie, bawili się wszyscy długo w noc, a nikt, kto wówczas tamtego sławetnego dnia był na zamku Pitchfork, nie wyszedł z niego smutny ani w poczuciu niedosytu. I choć nie wszystkie modły zostały wysłuchane, a niektórych ludzi zabrakło na owej przeświecnej uroczystości, zapadła ona w ludzką pamięć na długo i

stała się godnym rozpoczęciem nowych porządków, które zapanowały w baronii.

## Słowniczek trudniejszych terminów

**aketon** - zob. **przeszywanica**

**bajlif** - urzędnik w średniowiecznej Francji, którego zadaniem było pilnowanie porządku publicznego w danym regionie; był odpowiednikiem angielskiego szeryfa

**basinet** - jeden z najpopularniejszych hełmów używanych pod koniec XIV i na początku XV wieku; miał obły zwężony u czubka dzwon chroniący głowę, boki twarzy i szyję; często mocowano do niego kaptur kolczy

**berdysz** - broń drzewcowa używana przez piechotę; żeleźce berdysza stanowi długie toporzysko, zakończone ostrym szpicem do wykonywania pchnięć

**bigwanty** - górna osłona nóg w zbroi płytowej

**brygandyna** - pancerz złożony ze stalowych płytek wszytych między dwie warstwy grubej skóry; płytki zaćwieczano za pomocą często finezyjnie zdobionych nitów.

**chaperon** - bardzo popularne wśród zamożniejszych stanów męskie nakrycie głowy, którego istotnymi elementami były: wałek (okalał głowę), kołnierz kaptura (spływał po wałku, zakrywając bok głowy i szyję aż do barków), ogon (zawijany zwykle wokół szyi); początkowo chaperon był inaczej noszonym kapturem, później stał się oddzielnym nakryciem głowy i nie można go już było nosić jak zwykły kaptur

**destrier** - z francuskiego, rumak bojowy

**eswaurder** - stare północnofrancuskie określenie rzemieślnika zajmującego się kontrolą jakości sukna w warsztatach tkacich

**olusznik** - rzemieślnik zajmujący się oczyszczaniem sukna tuż przed jego wysuszeniem

**ambeson** - zob. **Przeszywanica**

**oedendag** - rozpowszechniona we Flandrii, gdzie służyła solidniej wyszkolonym piechurkom do zatrzymywania (często nieskutecznie) konnego rycerstwa francuskiego w trakcie licznych buntów, dwuręczna broń obuchowa, na której czubku znajdowała się stalowa kula z kolcami; sama nazwa znaczy „dzień dobry” i pochodzi od jednego ze zrywów, kiedy to flandryjscy żołdacy, wchodząc do miasta, pozdrawiali napotkanych ludzi słowami „dzień dobry” - dla tych, którzy odpowiedzieli w takiej sytuacji z francuskim akcentem, dzień okazywał się jednak wielce niefortunny

**groat** - srebrna angielska moneta

**hakownica** - późnośredniowieczna ręczna broń prochowa; swoją nazwę wzięła od haka zamocowanego przy krótkiej lufie, za pomocą którego można ją było zaczepić na przykład o mur, zza którego prowadzono ostrzał

**herbarium** - ogródek klasztorny, w którym uprawia się zioła

**hipokras** - słodzone wino doprawione ziołami

**houppelande** - obszerna, reprezentacyjna szata dworska z długimi, sięgającymi nawet ziemi lejkowatymi rękawami, często ze sztywnym stojącym kołnierzem

**kord** - broń biała o jednosiecznym ostrzu, krótszym niż (współczesny mu) miecz jednoręczny; kordy miały często jelce, które z jednej strony opadały, tworząc osłonę palców

**kropierz** - płachta narzucana na rycerskiego konia, na której widniały barwy heraldyczne jeźdźca

**ladry** - zbroja końska

**liripipe** - długi, rurkowaty ogon kaptura, często fantazyjnie zawijany wokół szyi

**lollardzi** - angielscy wędrowni kaznodzieje ścigani jako heretycy i głosiciele poglądów Wiklefa

**Lombardczyk** - w XV-wiecznej Francji określenie używane w odniesieniu do przybyszów z Italii (niekoniecznie z samej Lombardii)

**mantikora** - mityczny potwór o tułowi lwa, skrzydłach smoka (nietoperza [dla tych, którzy nie widzieli smoka]), ogonie skorpiona i ludzkiej twarzy

**manuskuła** - rodzaj odręcznego pisma używanego w średniowieczu

**menzura** - dystans dzielący walczących podczas fechtunku; umiejętność kontrolowania menzury należy do jednej z najważniejszych, jakie musi opanować dobry szermierz

**naczólek** - część końskiej zbroi chroniąca głowę zwierzęcia

**oblat** - człowiek oddany jako dziecko pod opiekę klasztoru i pobierający w nim naukę; nie należy do wspólnoty zakonnej

**pojedynek siedmiu** - pojedynek, który rozegrał się w 1402 roku między siedmioma francuskimi oraz siedmioma angielskimi rycerzami; Francuzi rzucili wyzwanie a następnie pokonali Anglików, z których jeden zginął w czasie walki; w pojedyнку brał również udział Clignet z Brabantu (lub, jak chce kronikarz Jean Juvenal des Ursins, Colinet z Brabantu)

**poleaxe** - długi dwuręczny młot bojowy zaopatrzony w siekierę bądź obuch, kończysty hakowaty dziób i grot, używany głównie przez rycerstwo.

**przeszywanica** - miękki pancerz lniany noszony jako samodzielna osłona (w przypadku słabiej opancerzonych jednostek, jak na przykład łucznicy) lub narzucany na kolczugę bądź wkładany pod zbroję płytową (albo noszony pod kolczugą, na której noszono zbroję płytową)

**puginał** - broń sieczna, miniatura miecza, wykorzystywana w ostateczności lub jako broń drugiej ręki do zadawania ran kłutych, o różnych typach głowni i rękojeści

**refektarz** - jadalnia klasztorna

**robe** - wkładana przez głowę fałdzista szata męska, często z poszerzonymi ramionami i kołnierzem stojką, noszona od połowy XIV do końca XV wieku, początkowo długa, do kostek lub kolan, w drugiej połowie XV wieku sięgająca

bioder

**sabatony** - stalowe buty o długim czubie chroniące stopę, noszone w późnym średniowieczu przez rycerstwo

**serjeant** - zbrojny

**spisa** - używana przez piechotę broń drzewcowa o długim kolcu, służąca do wykonywania pchnięć

**tabard** - krótki płaszcz w barwach herbowych wkładany na zbroję

**wizura** - otwór (lub otwory) umożliwiający widzenie w zamkniętym hełmie

**zbrojniki** - część pancerza zbrojnikowego (zbroja zbrojnikowa składała się z przytwierdzonych do skóry pasów stali, dawała mniejszą ochronę niż zbroja płytowa, ale była nieco lżejsza i dużo tańsza; tego typu pancerz w XV wieku był już przestarzały i używali go głównie ci, których nie stać było na pełną zbroję płytową)

[1] Łac.: nieznanajomość prawa szkodzi.

[2] „Nasz król na Normandię najechał śmiało, Mocnych rycerzy z sobą brał niemało;

Ukuł dlań Bóg tak piękny los,

Zatem nieś, Anglio, dziękczynny głos,

Bogu dzięki: za zwycięstwo Bogu Anglia niesie swą podziękę. Oblegać poczęli, kłamu nie zadacie,

Pod Harfleur szyk armii królewskiej poznacie, Wziął miasto i bitwę tak gromką im sprawił,

Iż po Dzień Sądu będzie się Francuz łąą dławił.

Bogu dzięki: za zwycięstwo Bogu Anglia niesie swą podziękę”.

Wypada mi przeprosić szanownego Czytelnika za niedostatki powyższego autorskiego tłumaczenia. [3] Franc.:  
rogaty, w rogi.

[4] Wł.: Dwa, być może trzy. [5] Franc.: winogrono.

[6] Franc.: podjezdek.

[7] Jan Szkot Eriugena, *Homilia do Prologu czwartej Ewangelii*, cyt. za: Giulio d’Onofrio, *Historia teologii*, t. 2,  
*Epoka średniowieczna*, tłum. Wiesław Szymona, Kraków 2005.

[8] Łac.: Tak jest.

[9] „Po kołnierz się rozchyła

W sukniach nowej mody,

By piersiątkom dać swobodę

I przez cięcie w materiale

Móc je dostrzec doskonale”.

Cyt. za: Michel Mollat, *Średniowieczny rodowód Francji nowożytnej XIV–XV wiek*, tłum. Eligia Bąkowska, Warszawa  
1982.

[10] „I tak będzie ta panienka W zadzie wielka, w pasie cienka”. Cyt. za: tamże.

[11] Łac.: Rozstrzygnięcie wraz z uzasadnieniem (specjalna dyskusja, po której pomyślnym przebiegu otrzymywano  
tytuł magistra).

[12] Łac.: Co było do udowodnienia.

[13] Łac.: Do sedna sprawy.

[14] „Żywię do nich tak głęboką odrazę, iż kocham tych, którzy ich nienawidzą, a nienawidzę tych, którzy ich  
kochają”.